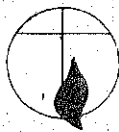


przegląd powszechny

4/812/89

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Provincia Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ
Jacek Ambroziak
Henryk Bogacki SJ
Jacek Bolewski SJ
Kazimierz Dziewanowski
Ryszard Otowicz SJ

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stanisław Opieła SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

REDAKTOR TECHNICZNY

Anna Jagiełło

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 211
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-76

PRENUMERATA

roczna 1980 zł
za I półrocze 1080 zł
za II półrocze 900 zł
cena egzemplarza 180 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

*Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.
Część nakładu jest do nabycia w kioskach
„Ruchu” i w katolickich księgarniach.*

Skład i druk: Oficyna „Przeglądu Powszechnego”,
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Zam. 2/87, (A-37), nakład 8000+350 egz., ark. druk. 10,0
Papier druk. kl. V, 71 g., format A1
Numer zamknięto 30 I 1989 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Spis treści

O jedności Europy	7
W odpowiedzi na ankietę „PP” wypowiadają się: Edmund Jan Osmańczyk, Mieczysław A. Krapiec, Paul Valadier SJ – red. nacz. „Etudes”, oraz Włodzimierz Zagórski.	
Naczynia połączone	24
Z amb. Józefem Klasą, Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, rozmawia Michał Jagiełło.	
<i>Julian Humeński SJ</i>	
Wojskowa służba duszpasterska w powstaniach śląskich (I)	47
Organizację i działalność służby duszpasterskiej w powstaniach śląskich można odtworzyć na podstawie istniejących meldunków, sprawozdań i rozkazów odnoszących się do tych zagadnień.	
<i>Stefan Amsterdamski</i>	
O patologii życia naukowego – casus T. D. Łysenko (I)	61
Pretensja łysenkizmu do tego, że jest jedyną prawidłową wykładnią marksizmu na terenie biologii, stała się głównym orężem walki z genetyką. Spowodowało to zerwanie w 1938 r. kontaktów biologii radzieckiej z nauką światową na blisko 20 lat.	
<i>Brand Blanshard</i>	
Miejsce filozofii w rozumieniu świata	87
Droga rozumu, na której filozofia jest tylko jednym z etapów, to powolne, uporczywe wspinanie się do wizji całości.	
<i>Kazimierz Dziewanowski</i>	
„La force des choses“	103
Rewolucja wolności, równości, braterstwa – i gilotyny – podzieliła historię ludzkości na pół, przedarła jak zapisaną kartę, nadała dalszemu ciągowi inny bieg.	

Ku nowemu ładowi ekologicznemu. „Raport o stanie świata – 1988” (Roman Warszawski)	113
Słuszność i prawda „Dzieci Arbatu” (Włodzimierz Marciniak)	124
Świadek wiary. Kościół Św. Joachima i Św. Anny w Dziewkowicach k. Strzelec Opolskich (Konrad Kucza-Kuczyński)	133
Książki – J. Pleszczyński: Nowe perspektywy teizmu (ks. Józef Życiński, „Teizm i filozofia analityczna”, t. 2)	139
Cz. Łukasz SJ: W poszukiwaniu Jezusa historii (Gerd Theissen, „Der Schatten des Galiläers. Historische Jesusforschung in erzäh- lender Form”)	142
ks. J. Sochoń: Pytania najtrudniejsze (Tadeusz Pulcyn, „Powraca- jące pytania”)	146
Sztuka – J. S. Wojciechowski: Publiczność w Centrum, Centrum bez publiczności	149
Teatr – J. Majcherek: Portret z Krakowa (Stary Teatr w Krakowie, „Portret” S. Mrożka, reżyseria – Jerzy Jarocki)	152
Film – J. Uszyński: Trzy słowa otuchy („Odwagi, ja jestem” And- rzeja Jurgi)	471
Komunikaty	158
Książki nadesłane	159

Sommaire

A propos de l'unité de l'Europe

7

En réponse à une enquête de „Przegląd Powszechny”, Edmund Jan Osmańczyk, Mieczysław A. Krąpiec, Paul Valadier SJ – rédacteur en chef de la revue „Etudes”, et Włodzimierz Zagórski disent leur point de vue.

Des vases communicants

24

Michał Jagiełło s'entretient avec l'ambassadeur Józef Klasa, secrétaire général de l'Association de liaison avec les Polonais vivant à l'étranger „Polonia”.

Julian Humeński SJ

Les aumôniers militaires dans les insurrections de Silésie (I)

47

L'organisation et l'activité des aumôniers militaires dans les insurrections de Silésie (1919, 1920 et 1921) pour le rattachement de la Haute Silésie à la Pologne, sont à reconstituer d'après les rapports militaires, les comptes rendus et des ordres de l'époque qui s'y rattachent.

Stefan Amsterdamski

De la pathologie de la vie scientifique – les cas de T. D. Lyssennko (I)

61

La prétention du lyssennisme à s'ériger en seule interprétation juste du marxisme en biologie devint le fer de lance d'un combat sans merci contre la génétique. Elle entraîna, en 1938, la rupture des contacts de la biologie soviétique avec la recherche mondiale dans cette discipline pour environ 20 ans.

Brand Blanshard

La place de la philosophie dans notre intelligence du monde

87

Le cheminement de la raison dont la philosophie n'est qu'une des étapes, c'est une lente et opiniâtre ascension vers une vue d'ensemble.

Kazimierz Dziewanowski

„La force des choses”

103

La révolution de la liberté, de l'égalité, de la fraternité – et de la guillotine – scinda en deux le cours de l'histoire de l'humanité, la déchira telle une page écrite; elle imprima un cours nouveau à ce qui devait en être la suite.

Vers un nouvel ordre écologique.	
„Rapport sur l'état du monde – 1988“	
<i>(Roman Warszawski)</i>	113
La justesse et la vérité de	
„Les Enfants d'Arbatt“ d'Anatolij Rybakov	
<i>(Włodzimierz Marciniak)</i>	124
Un témoignage de foi. L'église St-Joachim	
et Ste-Anne à Dziewkowice près de Strzelce	
Opolskie <i>(Konrad Kucza-Kuczyński)</i>	133
Comptes rendus	139

O jedności Europy

Koncepcje rozwiązania problemu Niemiec i problemu Europy

Piszę ten raport o koncepcjach rozwiązywania problemu Niemiec i problemu Europy w listopadzie 1988. Koncepcje inne, które mogą się pojawić do marca 1989, kiedy ten raport podobno będzie mógł wydrukować „Przegląd Powszechny”, nie mogą być uwzględnione. To ważne na wstępie wyjaśnienie, ponieważ – moim zdaniem – weszliśmy pod koniec 1988 r. w przyspieszony okres poszukiwania czy już formowania się na Wschodzie, Zachodzie i w Środkowej Europie nowych poglądów na oba problemy. Poglądów odmiennych od tradycyjnych w ostatnim półwieczu.

Zanotujmy zatem sine ira et studio, jakie możliwości do listopada 1988 były dyskutowane.

I. Pierwszym aktem historycznym, który stworzył „kwestię niemiecką” w Europie XX. w., był podział Niemiec, postanowiony w czasie II wojny światowej i realizowany po zakończeniu wojny w Europie od wiosny 1945 do jesieni 1949 r. w formie początkowo 4. stref okupacyjnych Niemiec i 4. sektorów Berlina. Następnie pogłębiony administracyjnie, ekonomicznie, finansowo (odrębne waluty), wreszcie ustrojowo (wolna gospodarka w NRF i planowa w NRD).

Chciałbym wyjaśnić na wstępie, że nigdy nie byłem entuzjastą podziału Niemiec i wielokrotnie od 1946 r. wypowiadałem się publicznie za zjednoczeniem Niemiec wbrew przeważającej opinii wśród sąsiadów obu państw niemieckich, w tym i w Polsce. [— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. Otóż dla mnie było jasne to, co było widoczne zresztą przed i po I wojnie światowej, iż parcie narodu niemieckiego na wschód zakończyło się w erze Bismarcka, kiedy centrum nowoczesnych Niemiec stały się Niemcy Zachodnie nad Ruhrą i Renem. Ziemie kolonizowane przez wieki od Łaby po Niemen

wyludniały się. II wojna światowa doprowadziła Niemcy, tak jak i Francję, do granicy upływu krwi. Ich demograficzny niż wyraża się dziś w NRF i NRD niemożnością reprodukcji i ludnościowo Niemcy Zachodnie (61 mln) są już mniejsze od swych zachodnich sąsiadów: Szwajcarii (6,5 mln), Francji (55 mln), Belgii (10 mln), Holandii (13,5 mln). A w jeszcze gorszej proporcji znajduje się NRD (16,2 mln) w stosunku do Polski (38 mln). Na tle tych widocznych już w 1945/46 r. perspektyw demograficznych uważałem i uważam energię kierowaną w Polsce na hasła antyrewizjonistyczne za zmarnotrawioną, szkodliwą, odwracającą uwagę społeczeństwa od istotnych zagrożeń. Symbolem stereotypu tej propagandy był uroczysty oficjalny program Telewizji Polskiej 11 listopada 1988 rozpoczęty odśpiewaniem przez Chór Filharmonii jednej tylko zwrotki „Roty” M. Konopnickiej: *Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz*. Zwrotka ta już przed I wojną światową zyskała nazwę *programu minimum niepodległości* i brzmiała dziś w stosunku do NRD i RFN raczej dziwnie. Zapomniano o mądrym Liście Pasterskim Episkopatu Polski na 70-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, wybijającym ten oto najistotniejszy program niepodległości, sformułowany przez wielkich kapłanów Ziemi Zachodnich Polski, ks. Piotra Wawrzyniaka i ks. Stanisława Adamskiego: *Walka o niepodległość to walka o samoorganizację i niezależność ekonomiczną, /.../ walka o polską szkołę i język*. Ale to są nasze wewnętrzne kryteria spoglądania na odzyskaną w 1918 r. niepodległość i na Niemcy.

Istnieją jednak i zewnętrzne aspekty powojennego podziału Niemiec.

Pogłębianie się tego podziału na Łabie przedłuża w nieskończoność potrzebę stacjonowania obcych wojsk w Niemczech po obu stronach rzeki, a w konsekwencji – zgodnie z umowami trzech wielkich mocarstw – potrzebę stacjonowania wojsk ZSRR w Polsce, zaś wojsk USA i W. Brytanii w Belgii i Holandii. Jedna Francja gen. de Gaulle’a wyzwoliła się z obecności na jej terytorium sojusznicznych wojsk anglosaskich.

[— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

II. Po tym koniecznym wyjaśnieniu (tezy te postawiłem w formie naukowej 23 marca 1984 r. w Instytucie Śląskim w Opolu i opublikowane zostały przezeń w maju 1988 r. w nakładzie 99 egz. pt. „Podział Środkowej Europy w oczach Polaka“) przejdźmy z kolei do aspektów koncepcji zjednoczenia Niemiec w świetle racji stanu wielkich mocarstw.

Możliwość zjednoczenia Niemiec, debatowana między mocarstwami w latach 1946–54, została przez Wschód i Zachód pogrzebana w latach zimnej wojny, a następnie zabetonowana w latach 1955–63, najpierw przyjęciem Bundeswehry do NATO (8 V 1955), utworzeniem formalnego Układu Warszawskiego (14 V 1955) oraz Murem Berlińskim (13 VIII 1961).

Nowe koncepcje zjednoczenia Niemiec, zakładają: Wariant A – pozostawienie wojsk USA i ZSRR po obu stronach Łaby do czasu rozwiązania *na początku XXI wieku* (Gorbaczow)-NATO i Układu Warszawskiego. Budowanie *wspólnego domu europejskiego* przez EWG i RWPG na drodze współpracy gospodarczej. Wariant odrzucony przez M. Thatcher. *Póki nie zburzony zostanie Mur Berliński, nie może być mowy o budowie jednej Europy.* Wariant B – odsunięcie wojsk USA i UK znad Łaby poza NRF i wojsk ZSRR z NRD, Czechosłowacji i Polski za Bug przy pozostaniu NRF w NATO (możliwość wspólnych manewrów między Łabą a Renem oraz przy pozostaniu NRD, Czechosłowacji i Polski w Układzie Warszawskim i możliwości wspólnych manewrów Układu między Bugiem a Łabą i Wełtawą). Zbliżenie gospodarcze EWG z RWPG. Ewentualna strefa bezatomowa po obu stronach Łaby pod wzajemną kontrolą. Konfederacja dwuustrojowa NRD z NRF przy zachowaniu zobowiązań każdej strony wobec swych integracji wojskowych i ekonomicznych.

Obie koncepcje zjednoczenia mają przeciwników na Wschodzie i na Zachodzie, z różnych przyczyn. Na Wschodzie obawa, że NRF ze swym potencjałem gospodarczym wchłonie NRD i stanie się ona bardziej zależna faktycznie od NRF niż formalnie od ZSRR. Na Zachodzie istnieje głęboka obawa, że potencjał wspólny NRF i NRD zwichnie równowagę w Europie Zachodniej i wzmocni osie Bonn – Waszyngton i Bonn – Tokio. Choć NRF – NRD będą

obszarem mniejsze od Francji (Niemcy skonfederowane 248 690 km² + 108 333 km²), gdy Francja 543 963 km², a ludnościowo Niemcy razem jeszcze przeważają (61 mln + 16,2 mln) nad Francją (56 mln), to jednak przyrost naturalny w NRD jest minus 1,2 promile, a w NRF równy zeru, co zapewnia Francji przewagę w pierwszym ćwierćwieczu XXI w. Przewaga zachodnich i wschodnich sąsiadów obu państw już nie istnieje.

Zwolennicy na Zachodzie konfederacji Niemiec zakładają, że dla NRF wyludniona NRD będzie większym ciężarem niż zyskiem, zaś Drang nach Westen NRF zostanie sparaliżowany zbliżeniem – przez tunel – Anglii do Francji. Anglia nie jest zainteresowana w rośnięciu wpływów osi Bonn – Waszyngton i swe szczególne stosunki z USA będzie mogła wzmacniać wielkim aliansem z Francją i nową wspólną angielsko-francuską polityką wschodnią.

III. W ostatnich latach zarysowały się też koncepcje Trzeciej Europy. Znów je w kolejności ponumeruję.

Wariant A – nazwany został umownie finlandyzacją. Był on od początku i pozostał prawdopodobnie na długie dekady nierealny. Finlandia to nie jest wzór dla Europy Środkowej.

Wariant B – nazywany przez pamiętających rolę cesarskich Austro-Węgier obywateli państw powstałych po I wojnie światowej habsburskim. Słabość tej koncepcji polega – poza wszystkimi niekorzystnymi dla niej współczesnymi uwarunkowaniami Europy Środkowej – przede wszystkim na tym, że Austria nigdy nie sięgała do Bałtyku ani nie integrowała Saksonii czy Meklemburgii.

Wariant C – pochodny wariantu B, nazwany został w 1978 r. „Alpy – Adriatyk” i znalazł swe odbicie we wspólnotie mniejszości południowo-europejskich popartej w 1988 w życzeniach z racji 10-lecia przez rządowe instytucje Austrii, RFN, Węgier i Jugosławii.

Wreszcie Wariant D – nazywany konfederacyjnym, ma swoją historię wojenną polsko-czechosłowacką.

W czasie II wojny światowej gen. Władysław Sikorski z prezydentem Edwardem Beneszem 21 stycznia 1942 r. zawarli układ o konfederacji obu państw, opartej na wspólnej polityce zagranicznej, wojskowej, ekonomicznej, finan-

sowej, socjalnej, transportu, komunikacji, poczty i telegrafu. Wspólną granicą z Niemcami miała być cała Nysa Łużycka i Odra z lewobrzeżnym pasem granicznym, cały Zalew Szczeciński oraz wyspy Uznam i Rugia. Wspólny port wolnocłowy i bazy na Rugii dla floty alianckiej na Bałtyku, by trzymała w szachu Niemcy, były w założeniu konsultowanej z Churchilllem przez gen. Sikorskiego koncepcji. Benesz przedstawił Stalinowi za pośrednictwem amb. Majskiego w Londynie założenia antyniemieckie podpisanego z Sikorskim paktu. Stalin doszedł do logicznego wniosku, że jeśli on dojdzie pierwszy do Odry, a może i Łaby, oraz zajmie Szczecin, Uznam i Rugię, to jego armia i jego flota będą mogły spełniać rolę pokojową lepiej niż nawet okrojone przezeń, ale skonfederowane republiki Czechosłowacji i Polski z niepotrzebnymi mu zupełnie bazami alianckiej floty na środkowym Bałtyku. Tyle historii, która wyjaśnia rzadką u Stalina rzetelność w popieraniu uzyskania *dla Polski i Słowiańszczyzny* granicy na Nysie Łużyckiej, Odrze i Bałtyku.

Druga koncepcja „konfederacyjna“ nie dotyczyła już Polski i Czechosłowacji, lecz NRD i NRF. Zrodziła się już w czasie pieriestrojki. Wpływ pewien miały eksperymenty Chińskiej Republiki Ludowej próbowania stworzenia długoterminowych różnoustrojowych konfederacji w jednym formalnie państwie, mianowicie do 1999 r. z Hongkongiem i w dalszej przyszłości z Tajwanem. Cierpliwość i dalekowzroczność chińska stała się wzorem, który spowodował analizy takiej możliwości w kancelariach spraw zagranicznych Wschodu i Zachodu. Ale o tym była już mowa wcześniej.

[— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

Edmund Jan Osmańczyk

Stańć na własnych nogach

Wydaje się, że samo wyrażenie „jedność” jest niemal wieloznaczne, gdyż należałoby wyróżnić rozmaite supozycje tego wyrażenia, np. jedność polityczna, administracyjna, ekonomiczna, religijna, kulturowa... i to w aspekcie diachronii i synchronii. Wydaje się, że Ojcu Świętemu chodzi o jedność kultury chrześcijańskiej jako syntezy myśli biblijnej i antyku śródziemnomorskiego. W tej kulturze wychowywały się wszystkie ludy Europy, wzbogacając zarazem różne nurty tej kultury od strony teoretyczno-poznawczej (naukowej), moralno-obyczajowej, artystyczno-technicznej i religijnej. Harmonijna synteza tych nurtów ogniskuje się w człowieku, którego osobowy rozwój stanowi istotny wyraz tej kultury; stąd kultura chrześcijańska jest zasadniczo kulturą humanistyczną, w której prymat osoby jest czymś bezwzględny do tego stopnia, że sobory nicejski i konstantynopoliński wyraziły to w symbolu wiary: *Bóg dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba i za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Marii Dziewicy i stał się człowiekiem...* Ta stara kultura europejska jako kultura chrześcijańska jest nadal konieczną niszą, w której człowiek może się osobowo rozwinąć i dlatego powrót do tego typu kultury – zwanej także cywilizacją miłości – jest dla ludzi, zwłaszcza Europejczyków, czymś koniecznym, szczególnie po strasznych doświadczeniach apriorycznych doktryn instrumentalizujących człowieka i ostatecznie go zniewalających.

Ale gdy chodzi o nasz naród i jego obecny stan społeczno-moralny, to „jednoczenie” go ze współczesnymi silniejszymi narodami Europy musi być obwarowane silniejszym „narodowym zdrowiem” i wzmoczoną narodową suwerennością. Albowiem zza kurtyny „europejskiej jedności” wychylają się dla nas groźne oblicza „Kulturträgerów” z jednej strony i „panstwianšczyzny” z drugiej. A oba te oblicza należały kiedyś do takich bestii, które chciały nas pożreć i strawić przy zastosowaniu i brutalnej siły, i niezwykle wymyślnych metod społecznego rozkładu.

Dzisiaj widząc ucieczkę młodzieży za granicę i szybkie pozbywanie się bagażu polskości (np. w RFN i USA przez

tzw. repatriantów i uciekinierów) można żywić obawy, że – przy osłabieniu organizmu narodowego przez 50-letnią kwarantannę – duchowa ucieczka od polskości może się spotęgować, zwłaszcza przy obniżeniu w całym narodzie historycznej świadomości kultury polskiej. A osłabienie nastąpiło wskutek zakłamania historii, wskutek braku wykształcenia humanistycznego, wskutek nieobecności „kultury polskiej” w nauczaniu szkół średnich. I z czego dziś – w takim stanie świadomości – młodzież może być dumna? Z jakich osiągnięć kulturowych? Mamy katastrofę ekologiczną, ekonomiczną, moralną... A z takim „posagiem” nie można wchodzić do żadnej „jedności europejskiej”, bo nas tam „zjedzą”, jak zjedzono Obotrytów, Prusów, Jadźwingów. Trzeba upodmiotowić sam naród tak w dziedzinie społecznej jak i politycznej, jak wreszcie ekonomicznej. Na razie pojawiają się w różnych środowiskach „postulaty” pod adresem rządu i różnych władz, ale jeszcze nie ma realnego organizowania się społecznego (zaczątki może się pojawiają). Z takim posagiem nie można wchodzić do żadnej „jedności”. Trzeba się wzmocnić; trzeba organizm narodowy doprowadzić do jakiegoś takiego zdrowia, by było mniej mordowania nie narodzonych dzieci, by obniżyć straszny alkoholizm, by wzmocnić rozpadające się w rozwodach rodziny, by uzdrowić szkolnictwo, szpitalnictwo, transport itd. Wszystko to jest niemożliwe bez suwerenności osobowej i narodowej. Dlatego raczej trzeba dbać o poprawę moralną narodu, aniżeli „chorą osobę Europy” wprowadzać do środowiska, które może nam jeszcze bardziej zaszkodzić i przyczynić się do utraty młodych i zdrowych ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, jaką kulturę dziedziczą i przez to nie mogą szanować u siebie tego, czego nie posiadają świadomie. Dlatego też pozbywają się „polskości”, a szkoda, gdyż w kolebie polskiej kultury są niezwykle szanse rozwoju osobowości człowieka.

Zatem trzeba usiłować stanąć na własnych nogach narodowej kultury, która jest odmianą kultury chrześcijańskiej, i następnie samodzielnie – jako partner – wiązać się z silniejszymi, tam gdzie jest nasz narodowy interes i szansa wszechstronnego naszego rozwoju, by nie zatracić tego, co zachowaliśmy przez lat tysiąc i co pozwoliło nam nie tylko przetrwać, ale wyłonić z naszego społeczeństwa takie osoby,

które ubogaciły swym duchem całą ludzkość. A szczególnie niebezpieczna staje się dla nas koncepcja (zresztą stara) „Mitteleuropy”, ze znaną nam dobrze z historii jej ideologią i niewygasłymi pruskimi zamiarami.

Tyle na gorąco mam do powiedzenia o naszym stosunku do „zjednoczonej Europy”, która musi dojrzewać jeszcze, by nie stała się „kwasem pruskim” rozpuszczającym złoto narodowych kultur.

Mieczysław A. Krąpiec OP

Przed nami Europa

Czy Europa ma przyszłość? Ten maleńki kontynent przysgniatą dziś azjatyckie i amerykańskie giganty. Europa wydaje się skazana na opłakiwanie swej tyleż chwalebnej, ile zamarłej przeszłości. Sprzeczność interesów, brak odwagi władz politycznych i niedosyt wyobraźni Zachodu paraliżują zryw ku jedności; ociężałe instytucje europejskiej wspólnoty wzmagają jeszcze ów bezwład. We wschodniej części Europy, arbitralnie odciętej od Zachodu od przeszło 40 lat, systemy polityczne, społeczne i ekonomiczne przysgniatą całe narody swoim ciężarem; immobilizm owych struktur – wzmocniony ogromnym aparatem wojskowym – niweczy przedwczesne marzenia o europejskim zjednoczeniu.

Czy zatem Europa jest skazana na trwałe rozdarcie? Czy uwięziona w swojej przeszłości musi trwać z nie zabliźnionymi ranami swojego ciała?

Wspólne dzieje

Nieco przenikliwsze spojrzenie pozwala jednak dostrzec jeszcze inną – ukrytą w skamieniałych pozorach, sprzeczności interesów i drgawkach snów o potędze – rzeczywistość; pozwala zauważyć wspólne i silne odniesienia, wokół których skupiają się i rozpoznają wszystkie jej narody.

Odniesieniom tym na imię PRAWA CZŁOWIEKA. Nawet jeśli odwoływanie się opresyjnych systemów politycznych do tych praw było i nadal jest możliwe, nie sposób nie dostrzec, że odnoszenie się do praw człowieka może na dłuższą metę zadawać kłam oficjalnym fałszom, krystalizować aspiracje narodów, rozluźniać wszelkiego rodzaju okowy. Niezależnie zatem od nadużyć – dostrzeżonych choćby na konferencji helsińskiej – prawa człowieka stanowią bazę tak rewindykacji jak i wymagań oraz wartości. Nie są one oczywiście programem społecznego i politycznego działania rządowych instytucji. Są bowiem czymś więcej niż programem, stanowiąc zbiór aspiracji do wolności myśli, słowa, komunikacji, pracy; aspiracji do poszanowania prywatnego życia, do publicznego królestwa prawa zgodnego z elementarnymi wymogami sprawiedliwości i aspiracją do innych dążeń zrodzonych w zróżnicowanej sytuacji historycznej. Europejczycy zjednoczeni w tym ideale już przez to samo łamią bariery narzucone im przez historię, geografię czy tyranie; spotykają się bowiem jako Europejczycy żyjący identycznymi wartościami, które budowały ich przeszłość i które inspirują teraźniejszość.

W rzeczywistości – mówił Jan Paweł II wobec Europejskiego Trybunału Praw Człowieka 8 X 1988 r. – pojęcie „praw człowieka” nie tylko zawiera katalog praw pozytywnych, lecz także zbiór podtrzymujących je wartości, które Konwencja [Europejska Praw Człowieka] słusznie nazywa „wspólnym dziedzictwem” albo ideałami i zasadami narodów Europy. „Wspólne dziedzictwo” – to szczęśliwe wyrażenie przywołuje na myśl otrzymaną i dzieloną ojcowiznę, kapitał wartości, z którego należy korzystać, by jednoczyć i owocować. Gdy pan Wałęsa, Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, przybył do Paryża w grudniu 1988 r., przypomniał, że Europejczycy – niezależnie od systemu politycznego, w którym przyszło im żyć z wyboru czy z przymusu – spotykają się wokół demokratycznych ideałów. Znaczy to, że ideał wolności wciąż ożywia ich pozornie zróżnicowane dążenia.

Otóż komunizm w takim ideale człowieka wolnego nie ma nic z przejściowości. Ideał ten bowiem ukierunkowuje na przyszłość, zmusza Europejczyków – gdziekolwiek są – do działania na rzecz obalania niesprawiedliwości, do podejmowania wyzwania większego szacunku dla osoby. Więcej –

ponieważ ten ideał jest ideałem człowieka, charakteryzuje go uniwersalny wymiar, którego nie można wciskać w ciasne ramy Europy. On bowiem powinien mobilizować Europejczyków do dostrzegania brata w każdym człowieku tej planety, w szczególności zaś w każdym najbardziej sporniewieranym w swojej godności, w najbardziej nieszczęśliwym człowieku. Europa pozostaje wierna swojej tradycji także wtedy, gdy wychodzi naprzeciw najbardziej nawet oddalonemu bliźniemu. Nie ulega wątpliwości, że Europa może skutecznie się bronić przed zawsze niebezpiecznym skupianiem uwagi na sobie samej; znajduje bowiem w swoim ideale siły skłaniające do otwierania się na to, co uniwersalne – a nie kolonialne czy „internacjonalistyczne” – co umożliwiałoby poszanowanie i wzajemne wzbogacanie.

Duchowy fundament

Powoływanie się na prawa człowieka stanowi wspólne i skuteczne dziedzictwo także w najbardziej bezpośredniej aktualności; a przecież jest ono zarazem wykwittem intelektualnej i duchowej tradycji, która przez wieki kształtowała Europę. Bez żywotności tej tradycji prawom człowieka mogłoby zagrażać spłaszczenie do poziomu egoistycznych i żałośnie ograniczonych rewindykacji. Prawa człowieka li tylko wówczas nabierają sensu i owocują, gdy płyną ze specyficznej idei człowieka, jego godności, wolności i przeznaczenia – olbrzymia zaś większość tego odnosi się do wszystkich.

Otóż owa idea człowieka powstaje na styku wielu tradycji, które użyźniały Europę. Ich trwanie może też zapewnić żywną przyszłość. Mając na uwadze Kościół katolicki Jan Paweł II mówił, iż Kościół powinien oddychać obydwooma płucami, a więc tradycją religijną Wschodu (Konstantynopol) i Zachodu (Rzym). Tę myśl zawarł również w liście-encyklice „*Slavorum apostoli*” wskazując, iż to podwójne źródło musi *wzbogacić kulturę Europy i stanowić właściwe podłoże duchowej odnowy, jakiej ona potrzebuje* (nr 25). Czyż nie byłoby właściwe, by Europa też oddychała obydwooma płucami?

Chrześcijańska tradycja wschodnia i zachodnia nie jest przecież jedynym stykiem. Europę tworzą i inne koneksje,

jak – choćby grecki racjonalizm i chrześcijaństwo. Dzięki greckiemu racjonalizmowi Europejczyk nabył zmysłu krytycznego; łączy się zatem z tym, co uznaje za prawdziwe, słucha autorytetu prawa i władzy tylko wówczas, gdy przekonuje się, że jest to uzasadnione; dzięki owemu racjonalizmowi Europejczyk daje się wciągnąć w nurt poczucia ustawicznej niewystarczalności; poczucie to zaś nie pozwala mu nigdy spocząć na tym, co już zdobyte, co wyznacza jakąś granicę. Ta przyjemność nieustannego podawania w wątpliwość tradycji czy instytucji tak naznaczyła Europejczyka, że była u początków wszystkich odkryć naukowych, geograficznych, społecznych czy politycznych. I dziś jest ona niezwykle żywotna, skoro – na przekór sztucznym podziałom – Europejczyków skupia wprawdzie niejasna, ale wspólna wola nieuznawania status quo, którego ewentualna zmiana jest i trudna, i nieprawdopodobna.

Ale ten krytyczny racjonalizm, tak silny i przecież czasem tak niewygodny w życiu, nie wydałby chyba dobrych owoców, gdyby nie został wszczepiony w chrześcijańskie dziedzictwo. Oto jeszcze jedno dziedzictwo wspólne Europejczykom: Nawet jeśli nie wszyscy inspirować się wiarą chrześcijańską, mało kto zaprzeczy, że prawa człowieka wypływają z chrześcijańskiego pojmowania osoby. Ideę tę wyraził doskonale Jan Paweł II wobec Parlamentu Europejskiego w Strasburgu (październik 1988) mówiąc, że *biblijne pojęcie człowieka pozwoliło Europejczykom rozwijać wzniosłą koncepcję godności osoby, która wciąż jest istotną wartością TAKŻE TYCH, KTÓRZY NIE DZIELĄ RELIGIJNEJ WIARY* (podkreśl. P. V.). Kościół twierdzi, że człowiek ma sumienie niezależne od uwarunkowań, które je przytłaczają; sumienie zdolne poznawać swoją własną godność i otwierać się na absolut; sumienie będące podstawowym źródłem wyborów zmierzających ku dobru innych i swojemu; sumienie, które jest miejscem odpowiedzialnej wolności (nr 64). Jakież Europejczyk nie mógłby odnaleźć siebie – choć może z niuansami – w owym „credo” będącym prawdziwą kartą humanizmu naszego kontynentu? Czyż to „credo” nie jest wspólnym cokołem, bez którego Europa nie mogła być zaznać swojej przeszłości i bez którego najprawdopodobniej nie miałyby przyszłości?

Europa jest podzielona. Nikt na średnią metę nie może przewidzieć, czy zdoła ona rozluźnić krępujące i duszące ją pęta. A jednak Europa może się oprzeć na wspólnocie intelektualnej i duchowej wizji znacznie silniejszej i dynamiczniejszej niż wszelkie materialne i administracyjne przeszkody, które barykadują jej przyszłość. Jeśli Europejczycy przyswoją sobie naprawdę ideał odpowiedzialnej wolności, zdołają powoli rozluźnić sztuczne pęta, które ich dzielą; zdołają krok za krokiem budować i kuć swoją przyszłość w niepewnej terażniejszości. Przyszłość bowiem zależy od siły ducha, nie zaś od sparaliżowanej siły chytrych ideologii.

Paul Valadier SJ
thum. Stanisław Opiela SJ

Powietrze miasta jest powietrzem wolności

Gdy zapytano mnie, czy zechciałbym napisać kilka słów na temat wizji paneuropejskich przedstawionych przez Kazimierza Dziewanowskiego i Edmunda Osmańczyka (por. „PP” 3/1989 i 4/1989 – red.), odpowiedź nasunęła się natychmiast, odpowiedź w stylu sokratejskim: *A dlaczego ja?* Po chwili refleksji sformułowałem (w tym samym stylu) drugą odpowiedź: *A dlaczego o Europie?* I na tym mógłbym skończyć, rozumnemu bowiem krótkie sformułowanie wystarczy. Ale lakoniczność – choć może, jest ważną zasadą – czasem prowadzi do niezrozumienia wypowiedzi. A że akurat to może mi grozić, pozwolę sobie krótko je rozwinąć.

Po pierwsze, czy w ogóle można dziś mówić o Europie jako o czymś innym niż jednostka geograficzna? Czy istnieje jakakolwiek jedność europejska? Czy EWG, oprócz tego, że jest oczywiście istniejącą organizacją handlową, ma jakąkolwiek spójnię ideową? Wydaje mi się, że odpowiedź na te pytania jest negatywna. Europa w końcu XX w. nie jest tym, czym była do II wojny światowej. Europa przestała być centrum politycznym, artystycznym, naukowym świata. Europa stała się ofiarą swojej własnej historii zwieńczonej potwornościami dwu ostatnich wojen zwanych światowymi,

zaś w istocie będących międzyeuropejskimi. Wojny te rozbiły jedność kontynentu, zakwestionowały wartości kultury europejskiej. Przemiana istoty ludzkiej w kupę ożywionego mięsa proponowana przez filozofie mechanistyczne a dokonana w Kuropatach czy Oświęcimiu obalila wszelkie dotychczasowe zasady (religijne, moralne, filozoficzne, ekonomiczne, wychowawcze), na których opierała się praidea Europy. Zasady te oczywiście miały źródła chrześcijańskie; można więc sądzić, że w Europie chrześcijaństwo poniosło klęskę, może nawet nieodwracalną. Z jej rozmiaru Polacy jeszcze nie do końca zdają sobie sprawę. Z prostej przyczyny – wśród ofiar klęski chrześcijaństwa znalazło się nasze społeczeństwo, stawiające w swojej większości opór nowym, niszczycielskim koncepcjom. Istnienie oporu potwierdza – nam – ciągle istnienie idei. Ale wśród społeczeństw Europy Zachodniej, które albo opowiedziały się czynnie po stronie burzycieli ładu chrześcijańskiego, albo się im poddały, świadomość zaniku chrześcijaństwa jest mocna. Może szczególnie we Francji, gdzie ważnym motorem działania ludzi jest wyrażana w słowach analiza idei. We Francji mającej być centrum tworzącej się wspólnoty Europy uczęszcza do kościołów i posyła dzieci na lekcje religii 5% ludzi. Krajobraz francuski z martwymi romańskimi czy gotyckimi kościołami, ciągle jeszcze stojącymi w każdym miasteczku, na przybyśzu z Polski robi takie samo wrażenie, jakie kilkanaście lat temu odczuwał w Gorcach widząc zamarłe świątynie unitów. A potwierdzenie tego odczucia znajduje przybyśzu w kilku zdaniach wywiadu z Jean Guittone'm przeprowadzonym z okazji 90 rocznicy urodzin filozofa przez „Libération”, gdzie ten jeden ze współtwórców myśli II Soboru Watykańskiego twierdzi, iż w XXI w. chrześcijaństwo wróci do podziemia i stanie się sektą zapewne wybranych i niosących słowo przez pokolenia, ale już nieobecną w życiu społecznym.

Czy po wyróżnieniu w pień przez Europejczyków jednego z narodów europejskich, narodu Biblii, na której były oparte zasady jednoczące Europę, można mówić o dalszym istnieniu zasad tworzących do II wojny światowej wspólne rozumienie praw ludzkich?

Europa jest ofiarą swojej własnej historii również w jeszcze innym sensie. Często mówimy o historii kolonizacji

rozpoczętej wielkimi odkryciami jako o dziejach klęski, widzimy bowiem zniszczenie społeczeństw skolonizowanych przez Europejczyków zwieńczone rozpadem na naszych oczach europejskich imperiów kolonialnych. Zapominamy jednakże, że historia ta jest w rzeczywistości historią kolonizacji udanej. Po tamtej stronie oceanów powstały trwałe, nowe (w swojej koncepcji) społeczeństwa USA, Kanady, Australii, Ameryki Łacińskiej. W pewien sposób dynamika rozwoju kultury europejskiej znalazła swoje ujście w tworzeniu tych nowych społeczeństw. Co więcej, wydaje się, że w dalszym ciągu energia europejska, przedsiębiorczość Europejczyków znajdują ujście w ciągłym transferze owej energii do tych „kolonii”. Kolonie wysysają metropolię z jej sił żywotnych. Przecież wystarczy spojrzeć na nasze społeczeństwo i na ciężącą na nim siłę marzenia o emigracji do Ameryki, żeby zdać sobie sprawę z tego, iż nie są to uwagi bezzasadne.

Można mi zarzucić, że tego typu procesy nie dotyczą innych, szczęśliwych krajów europejskich. Ale tak nie jest. Ważna jest tu oczywiście odpowiedź na pytanie: Co oprócz inercji może młodego obywatela EWG zatrzymać na jego kontynencie? Trudno na to odpowiedzieć. Przecież nie kultura, której nie rozumie. Na wiosnę spacerowałem w Pradze po moście Karola z moim rówieśnikiem, Francuzem, profesorem z Instytutu Pasteura, i dwoma dwudziestoparoletnimi studentkami z Grenoble. Znaleźliśmy się w tym mieście z okazji światowego Kongresu Biochemii. Mając dość słuchania wykładów, których treść cała nasza czwórka dobrze rozumiała i była w stanie o nich dyskutować, wybraliśmy się na zwiedzanie miasta. Chodząc po moście rozszyfrowywaliśmy z moim rówieśnikiem na wysługi znaczenie poszczególnych rzeźb. Obie studentki nie były w stanie zrozumieć, dlaczego te dwie kobiety bawiące się z dzieckiem to statua świętej Anny, czy dlaczego właściwie koło sceny ukrzyżowania wyrzeźbiono zniecka koguta. Po prostu przekaz kulturalny w Europie Zachodniej został przerwany i nie zabytki europejskie zatrzymują obojętnego w stosunku do ich treści człowieka na tym kontynencie. Ani język. Przecież angielski nie dlatego stał się językiem międzynarodowym, że używają go Anglicy i pisał w nim Szekspir, lecz dlatego, że posługują się nim Amerykanie; cała

młodzież europejska mówi w tym języku i bariera językowa nie stanowi przeszkody przy szukaniu lepszego bytu po tamtej stronie oceanu. A byt tam jest lepszy choćby z tego względu, że zaludnienie jest 10-krotnie mniejsze, zasoby energetyczne jeszcze dalekie od wyczerpania, parasol atomowy – politycznie szczelnniejszy. Porównując globalne wartości produkcji europejskiej i USA i twierdząc, że są one do siebie zbliżone, dokonuje się pewnego zabiegu zaciemniającego rzeczywistość. Wystarczy sobie zdać sprawę, że np. produkcja drewna w USA jest tańsza niż w Europie, co przy tej samej czy zbliżonej końcowej wartości produkcji oznacza, iż drewno w Stanach jest tańsze. Tańsze są więc i domy. Warto pamiętać, że w USA na jedzenie (obfite) wydaje się 25% zarobków, zaś w Europie Zachodniej – 50–60%. W sumie – młodzi Anglicy, Niemcy, Szwajcarzy, często decydują się na wyjazd do Stanów, bo tam im się wiedzie lepiej. Wobec łatwości komunikacji z krajami rodzinnymi wyjeżdżają, nie zaś emigrują – przynajmniej w kategoriach psychicznych. Bariera komunikacji również ich nie zatrzymuje.

Europa jest ofiarą swojej historii – przecież będącej nie tylko historią wspólnych dokonań, rozwoju sztuki, postępów cywilizacji, ale i historią bezustannych konfliktów i zbrodni. To dlatego w szkołach Stanów Zjednoczonych nie uczy się historii europejskiej, uznanej przez Ojców Założycieli za ciężar, za opis krwawych zmagañ różnych dynastii o panowanie, za element niszczący koherencję społeczeństw. Oni sobie mogli na to pozwolić, bo zakładając kolonię oderwali się od historii metropolii. Zaczęli historię od nowa. I jeszcze nie nagromadzili w niej tylu dzielących ludzi wspomnień. Europejczycy od swojej historii się nie oderwą, musieliby ją zakłamywać. Dopóki Europa trwa, jej historia, historia wzajemnych zbrodni będzie przeciwdziałać idei zespolenia narodów kontynentu.

Mimo to Europa Zachodnia wkroczyła na ścieżkę wiodącą ku unifikacji. Sądzę, że zbyt wiele jest jeszcze niewiadomych, by wyrokować o wyniku tego doświadczenia. Dość łatwo wprowadzić wspólne paszporty i znieść cła, założyć wspólny parlament. Ale już trudniej zunifikować armię – z jakiego np. powodu żołnierz niemiecki miałby w Ulsterze dzielnie stawiać czoło bojowcom IRA? Trudniej jest zunifikować system szkolnictwa (to już się stało w wyniku zabiegu

administracyjnego), ale przecież matura prowincjonalnej szkoły greckiej niekoniecznie jest równoznaczna z maturą paryskiego liceum Henryka IV i dość trudno wprowadzić do końca równość obywateli EWG przy zatrudnieniu. Czy hiszpański maszynista może naprawdę prowadzić lokomotywę TGV? Francuscy maszyniści nie są o tym ani całkowicie przekonani, ani specjalnie z takiej możliwości zadowoleni.

Czy widzę wobec tego wszystkiego jakiś wyróżnik europejski scalający i wyróżniający członków społeczeństw Europy Zachodniej? Chyba tylko jeden. Skrótowno nazwę go chodnikiem rano splukanym strumieniem wody ze szlauchu, a szerzej – życiem miejskim. W Europie Zachodniej społeczeństwa nie odwróciły się od miasta jako miejsca wspólnego życia; miasto (i mieszczaństwo) są dalej postrzegane jako naturalne formy życia ludzkiego. I tu dochodzę do pierwszego z moich wstępnych pytań: *A dlaczego ja?*

Mówiąc mniej lakonicznie, dlaczego mieszkaniowiec naszego kraju miałby znaleźć swoje miejsce w powstającej wspólnej Europie? Akurat Polska po 50 latach oderwania od Europy Zachodniej, po zniszczeniu właśnie miast i stworzeniu na ich miejsce zbiorowisk bloków zanurzonych w błocie, rozciągniętych na kilometry, pozbawionych tego, co stanowi esencję życia mieszczańskiego – handlu (zastąpionego przez zaopatrzenie), odeszła daleko od wspólnoty europejskiej. Kogo z nas bawi życie w naszych miastach? Cieszy chodzenie po ich ulicach? Nawet w Krakowie – ostatnim w Polsce mieście w rozumieniu europejskim – przechadzki po ulicach stają się coraz smutniejsze, bo te ulice są zżerane przez cywilizację naszych czasów.

Jednym ze źródeł życia europejskiego miasta jest prawo rzymskie tak czy inaczej modyfikowane. A w naszym smutnym kraju prawo rzymskie zostało złamane. I niełatwo będzie odtworzyć proste prawo własności, którego istnienie decyduje o tym, że równo ułożone płyty chodnikowe splukiwane są co rano strumieniem wody ze szlauchu.

Dlatego rozważanie o wspólnej Europie i o naszym w niej miejscu przyjmuję jako programy dla przyszłości tak dalekiej, że mogącej ulec nie znanym nam modyfikacjom. Modyfikacje te mogą przecież wbrew wszystkim moim zastrzeżeniom doprowadzić do tego, że wspólna Europa

stanie się kiedyś rzeczywistością. Kto wie? Może wystarczy tego chcieć? A może wystarczy pomodlić się za parę lat do przyszłego patrona Europy, Maurice Schumanna, o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego, o rozpoczęcie którego występowało w Alzacji? Jeśli tak, to propagatorom idei paneuropejskich w Polsce proponuję jako program stare zawołanie: *Powietrze miasta jest powietrzem wolności*, i pracę nad odtworzeniem w Polsce miast i mieszczaństwa. Nie bourgeois, lecz burgera. Świadomego swojej wartości, swojego posiadania, dla którego chęć współżycia, tworzenia z innymi wspólnoty wolnych obywateli, jest ideowym źródłem cywilizacji.

Włodzimierz Zagórski



Naczynia połączone

Z amb. Józefem Klasą, Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia“, rozmawia Michał Jagiełło

– Są co najmniej dwa powody upoważniające mnie do poproszenia Pana o rozmowę. Po pierwsze – „Przegląd Powszechny“, jako pismo o ponad stuletniej przeszłości, jest szczególnie przywiązany do idei ciągłości polskiej tradycji duchowej i do podkreślania jedności polskiej kultury, niezależnie gdzie jest ona tworzona. W tym nurcie mieszczą się więc np. zainteresowania losami naszych rodaków na Syberii jak i przypominanie dorobku ruchu wydawniczego na obczyźnie, duszpasterstwo w armii Andersa jak i odzyskiwanie dla krajowego czytelnika dzieł wybitnych twórców mieszkających poza krajem. Pan z urzędu zajmując się relacjami kraj – Polonia może wnieść do naszej wiedzy na ten temat swój punkt widzenia.

Jest też i drugi powód dzisiejszego spotkania. Gościliśmy na naszych łamach wybitnych przedstawicieli Polonii amerykańskiej: Janą Nowaką-Jeziorańską („PP“ 11/88), Alojzego Mazewskiego oraz Kazimierza Łukomskiego i Jerzego Przyłuskiego („PP“ 12/88). W druku jest rozmowa ze Stefanem Korbońskim („PP“ 1/89). Nasi rozmówcy czasem wprost, czasem pośrednio dawali do zrozumienia, że obserwują z uwagą nowe poczynania władz PRL w stosunku do emigracji i Polonii. Ten załączek nowej polityki jest jednoznacznie łączony z Pana osobą. Równocześnie nasi goście nie kryli sceptycyzmu; może nie tyle wobec Pana, ile wobec deklarowanej przez władze chęci rozsądnego ułożenia stosunków z Wychodźstwem. Jak Pan odbiera te głosy?

– Cieszę się, że doszło do tej rozmowy. Wysoko oceniam wasz miesięcznik. Przede wszystkim za poważny, odpowiedzialny stosunek do historii i za wyważoną ocenę współczesności. Trudno nie wyrazić uznania redakcji oraz wydawcy, Towarzystwu Jezusowemu, za odwagę wydawania pisma, które jest katolickie, ściśle związane z Kościołem, ale przecież tak redagowane, że przemawia również do

ludzi o innych motywacjach światopoglądowych i innym niż środowisko tego miesięcznika usytuowaniu politycznym. Jest to pismo jawnie opozycyjne wobec marksizmu i „realnego socjalizmu”, a przecież DIALOGOWE w poważnym sensie tego słowa. Mówiąc wprost i może nazbyt osobiście...

– *Rozmawiajmy jak człowiek z człowiekiem, a nie jak instytucja z instytucją.*

– Zgoda. Aczkolwiek nie oderwiemy się całkiem od instytucji. Kończąc zdanie poprzednie: otóż czytając „Przegląd Powszechny” nie czuję się intruzem. Uznaję, że – przy wszystkich przeszkodach natury politycznej czy filozoficznej – jest to pismo adresowane również do mnie.

– *W końcu, idea ciągłości i jedności kultury nie jest chyba Panu obojętna?*

– Nie może być obojętna nikomu, kto chce na serio robić to, co ja chciałbym robić.

– *A co naprawdę chce Pan osiągnąć?*

– Chcę się przyczynić do oparcia relacji kraj – Wychodźstwo na uczciwych i racjonalnych podstawach. Do przyjęcia przez obie strony. Wiem, że nie jest to proces łatwy.

I teraz dopiero odpowiadam na Pana pierwsze pytanie. Nie dziwi mnie sceptycyzm znacznej części emigracji wobec zapowiedzi nowej polityki władz. Odnosząc się już bezpośrednio do opublikowanych przez „PP” wypowiedzi czołowych przedstawicieli emigracji niepodległościowej i Polonii amerykańskiej wyznam, że najpełniej problem ten ujął p. J. Nowak-Jeziorański. Natomiast śp. prezes A. Mazewski uciekł jakby w sferę anegdotyczną... Nie chcę dyskutować z wyrażonymi tam poglądami. Trudno zresztą dyskutować, nie znając całości wywodu; wypowiedź p. J. Nowaka została tak pokiereszowana przez cenzurę, że byłoby nierzetelnością z mej strony czepianie się, w tej nie-normalnej sytuacji, słów czy poszczególnych sformułowań. (Nawiasem mówiąc: odnoszę wrażenie, że jesteście wyjątkowo surowo traktowani przez cenzurę; ostrzej niż pisma rządowe.) Oczywiście, bołą mnie niektóre sformułowania, a może jeszcze bardziej odmawianie mi – z góry! – rzetelnych i czystych intencji w mych działaniach w „Polskii”. Ale – powtórzę – ROZUMIEM rezerwę rodaków, szczególnie

tych z emigracji niepodległościowej. Zgrzeszyliśmy wobec nich ciężko.

- *My - to znaczy?*

- No, przecież nie będę mówił o jakichś „onych”. My - władza PRL - skoro wypowiadam się w imieniu „reżimowego” Towarzystwa. Stosunki pomiędzy emigracją a władzami państwowymi w Polsce cierpią do dzisiaj z powodu tego, co się działo w pierwszych latach powojennych - w okresie stalinowskim. Przypomnijmy: do Polski po wojnie nie powróciła wielosettysięczna rzesza wybitnych fachowców, twórców, dowódców wojskowych i administratorów, a także czołowe osobistości II Rzeczypospolitej. Nie zaakceptowali oni nowej rzeczywistości i nowego kształtu państwa ze względów politycznych. Nie powracali do kraju również w obawie o swoją przyszłość. Dzisiaj wiemy, że nie były to obawy nieuzasadnione. Ci ludzie objęli przywództwo polskiej emigracji. Oskarżano ich w Polsce o zdradę państwa i narodu, nie o odmiennność poglądów politycznych, do czego każdy powinien mieć prawo. W atmosferze stalinowskich prześladowań i zimnej wojny wielu z nich, wybitnych Polaków, zostało pozbawionych polskiego obywatelstwa. Był to NIEWYBACZALNY błąd. Ale na tym przecież nie koniec. Ci, którzy wrócili do kraju chcąc uczestniczyć w jego odbudowie, byli traktowani co najmniej podejrzliwie. Wiele z nich uwięziono. Część nigdy już nie wyszła z tych więzień. Inni byli wywożeni dalej, poza wschodnią granicę państwa. Stosunek do Delegatury Rządu na Kraj, do Armii Krajowej był taki, że pozostawił głęboki uraz w pokoleniu, które było świadkiem tych haniebnych praktyk; urazy te nie zniknęły całkowicie w kraju, co dopiero mówić o emigracji!

Co tu mówić o polityce. Nawet emigracja zarobkowa była traktowana jako zachowanie wysoce naganne. Samo posiadanie kogoś bliskiego zagranicą poważnie utrudniało życie. Jak w tych warunkach mogły się rozwijać więzi emigracji z krajem? Utrzymywanie kontaktów z Polakami z Zachodu uniemożliwiała też sytuacja międzynarodowa: zimna wojna prowadzona między dwoma obozami, atmosfera podejrzliwości, psychoza szpiegowania. Poza tym nawet zgodność ustrojowa się sprzyjała kontaktom np. z Pola-

kami w Związku Radzieckim. Nastawienia z tamtych lat utrzymują się do dziś.

U źródeł tego wielkiego błędu władz PRL legła obca polskiej tradycji niechęć do emigracji, do przebywania poza krajem macierzystym. I ta niepolaska tradycja została żywcem przyniesiona do nas przez stalinizm. Konkretna sytuacja polityczna młodego państwa po rewolucji październikowej oraz tradycyjnie wrogie Zachodowi i w ogóle emigracji nastawienie rosyjskiej ideologii państwowej spowodowały, że emigracja była równoznaczna ze zdradą: narodu, kultury, państwa, komunizmu w końcu. Za to traktowanie naszej emigracji przez obcą nam, Polakom, „białogwardyjską” kalkę płacimy wygórowaną cenę. Nie wolno było naszej Polonii i emigracji traktować tak, jak młoda władza radziecka traktowała „białą” emigrację.

– Jeśli jesteśmy przy problemie emigracji w ogóle, to może warto, właśnie w tym miejscu, uzgodnić poglądy na ten temat. Pozwoli Pan, że zacznę od wygłoszenia paru stwierdzeń oczywistych, których jednak przyjęcie lub odrzucenie przez Pana nie jest dla mnie bez znaczenia. Oto one: – każdemu człowiekowi przysługuje prawo do swobodnego wybierania dla siebie języka i kultury, z którą chce być w danym momencie swego życia identyfikowany; – nikt nie jest, z definicji, raz na zawsze przypisany do jednego tylko państwa; – podstawowa przynależność narodowa jest człowiekowi dana z chwilą urodzenia, co nie znaczy, że jest się „własnością” tego narodu; – tylko poszczególne jednostki mogą decydować o formach i jakości swych związków z krajem urodzenia. Emigracja jest zatem zjawiskiem naturalnym, tak jak i odchodzenie od „starego” kraju na rzecz przejmowania kultury „nowego” kraju; – doświadczenie uczy, że wcale liczni są ci, którzy czują się związani różnorodnymi niemi z więcej niż tylko jedną narodowością, nie mówiąc już o organizmach państwowych.

Wszystko to dotyczy oczywiście sytuacji, w których dana jednostka ma możliwość pełnego decydowania o sobie. Jest to więc pewna konstrukcja idealna, w której nie mieści się np. cały skomplikowany problem uchodźstwa – wymuszonej groźbą uwięzienia lub utraty życia zmiany miejsca zamieszkania.

– Rozumiem potrzebę takiego uporządkowania zagadnienia. Wiadomo przecież, że gdy dwóch mówi o tym

samym, to nie zawsze znaczy, że mówią to samo. Zgadzam się z Pana stwierdzeniami, choć każde z nich można by obudować komentarzami i obrysować cieńszą kreską. Polonia liczy dziś co najmniej 13 mln na Zachodzie i około 2 mln na Wschodzie. Nie wszyscy z tej liczby wychodźców utrzymują stałe, bezpośrednie kontakty z Polską. Dla wielu polskość ogranicza się do świadomości swego pochodzenia, a czasem również do zachowywania niektórych elementów polskiej kultury. W tej wielkiej Polonii jest jednak grupa szczególna – to są ci, którzy urodzili się, wychowali i wykształcili w Polsce i mają z tego tytułu szczególnie emocjonalny stosunek do Starego Kraju; na ogół uważają się oni za Polaków. Jak duża jest to grupa? Należy do niej wojenna fala polskiego uchodźstwa (ok. 800 tys. osób) – emigracja zwana niepodległościową. Dołączyły do niej kolejne fale, niekiedy niekiedy motywowane politycznie, ale i ekonomicznie. I tak w latach 1945–50 wyemigrowało 500–600 tys. osób, w latach 1951–55 około 20 tys. Potem przyszła emigracja po 1956 r. i po marcu 1968. Łącznie w latach 1955–79 wyemigrowało prawie 800 tys. Polaków, z czego blisko pół miliona osiedliło się w RFN, a 300 tys. w USA. No i emigracja lat osiemdziesiątych wynosząca ok. 800 tys. osób, głównie młodych.

– *Mówiąc o niezwykłym prawie każdego człowieka do swobodnego decydowania o miejscu swego zamieszkania byłem daleki od lekceważenia skutków tego odpływu dla kraju. Czym innym jest prawo do emigrowania, czym innym zaś tak masowe korzystanie z tego prawa. Chęć wyjazdu z kraju urodzenia zawsze jednak bywa czymś spowodowana.*

– W naszym przypadku jest to spłot polityki i ekonomii. Tylko unormowanie sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej tu, w kraju, może zahamować ten odpływ, szczególnie ludzi młodych, zdolnych i przedsiębiorczych. Tylko w ten sposób – dając im realne szanse godziwego życia – możemy ich tu zatrzymać. Budowanie barier administracyjnych nie wchodzi w ogóle w rachubę. Mamy już to przeciwczone. Z wiadomymi skutkami.

– *A co z kruszeniem barier utrudniających kontakty Polonii z krajem?*

– Przepisy muszą być zmienione. I są zmieniane. Ważne też, że zaczyna się zmieniać oficjalne nastawienie władz do

tego problemu. Uważam, że nie zachęcając do emigrowania należy uznać prawo każdego człowieka do decydowania o swoim losie, traktować emigrację bez uprzedzeń, nie jako zło, od którego trzeba się odgradzać, ale również jako potencjalne dobro dla kraju. Dlatego tak powinniśmy edukować społeczeństwo, aby emigracja nie przekształcała się w porażkę polityczną, ekonomiczną i moralną państwa i narodu.

– *Spółeczeństwo jest już raczej do tego przygotowane.*

– Władza też nauczyła się co nieco. Chodzi o to, aby Polak z zagranicy nie był traktowany w Polsce jak obcokrajowiec. Dlatego pilnej nowelizacji wymaga ustawa z 1962 r. o obywatelstwie polskim, ciągle wywołująca konflikty związane z posiadaniem przez emigrantów również obcego obywatelstwa. Należy umożliwić łatwe przywracanie obywatelstwa polskiego, zwłaszcza w przypadku gdy „zrzeczenie się” obywatelstwa zostało wymuszone działaniami administracyjnymi naszego lub obcego państwa.

Dalsze utrzymywanie paszportu konsularnego dla obywateli polskich na stałe zamieszkujących zagranicą jest anachronizmem. A w ogóle nie ucieknie się od tego, co jest już społecznym i politycznym faktem tak wyraźnie widocznym choćby w Europie Zachodniej; chodzi o posiadanie paszportu w kieszeni, a zatem o możliwość nieskrępowanego poruszania się po świecie. To jest jedna z fundamentalnych zdobyczy demokracji. Zmieniają się funkcje granic państwowych. Chciałbym za chwilę wrócić do tej kwestii. Teraz jeszcze parę słów o zmianach: tych już dokonujących się i tych, które powinny zostać wnet wprowadzone.

Znacznym przełomem była już liberalizacja przepisów paszportowo-wizowych z lipca 1987 r. Od początku 1989 r. powinny wejść w życie nowe, korzystne regulacje, m.in. ma być zniesiony obowiązek wymiany dewiz dla przyjeżdżających do kraju obywateli polskich. Podwójne obywatelstwo też już nie jest przeszkodą w odwiedzeniu rodzinnych stron na wybranym przez siebie paszporcie. Przedłuża się ważność paszportów zdejmując odium nielegalności pobytu zagranicą ciężące setkom tysięcy Polaków. Wystarczy przedłożyć w urzędzie konsularnym dokument o legalnym pobycie w aktualnym kraju zamieszkania. Czas też na dokonanie zmian w ustawie jeszcze z 1920 r., która praktycznie unie-

możliwia nabycie lub posiadanie przez Polonię i emigrację mieszkań, domów i innych nieruchomości w Polsce. Jest już w Sejmie nowa, wreszcie korzystna ustawa o prowadzeniu działalności gospodarczej z udziałem kapitału zagranicznego, która – mam nadzieję – zachęci wielu polonijnych przemysłowców do inwestowania w kraju.

– *Słyszysz się czasem, w kraju i wśród Polonii, że u podłoża tych nowych poczynań władz wobec emigracji i Polonii leżą po prostu dolary. W myśl tej interpretacji waszych działań, chodzi wam przede wszystkim o interes. Materialny!*

– To jest naturalne korzystać z zaplecza materialnego Polonii, przecież nie dla siebie, lecz dla kraju. To nie gra o sumie zerowej, że jak jeden wygrywa, to drugi musi przegrać. Inwestycja i zysk mogą służyć obu. A proszę mi powiedzieć: część tych kontaktów czasem odgrzebywanych, odgrzewanych na siłę z ciocią z Ameryki, to wypraszenie zaproszeń albo tych paru dolarów w listach, czy to jest aby taka głęboka więź rodzinna, taki czysty sentyment? Czy nie ma w tym też trochę interesu? Jest. W ogóle życie jest głęboko powiązane z interesami, choć nie jest z nimi tożsame. Ale przecież to, co robiono dotychczas, to jak gdyby odrzuć całe zaplecze techniczno-materialne Polonii; ustawy nie pozwalały tu inwestować, lokować pieniędzy, zakładać biznesu itd. Wobec tego to posądzenie jest irracjonalne, bo nie otwarto jeszcze w zasadzie drzwi...

– *Posądzenie dotyczy właśnie obecnego otwierania. Dla tego ponoć liberalizujemy przepisy paszportowe i finansowe, aby ściągnąć dolary. Osobiście nie widzę w tym nic naganego, jeśli tylko obie strony mogą na tym skorzystać.*

– Nie sędzę, aby jakikolwiek biznesmen angażował się finansowo, nie widząc w tym także korzyści dla siebie. I o to nam chodzi. Chcemy stworzyć warunki, w których kapitał polonijny zaangażowany w Polsce przynosiłby zyski Polonusom i Polsce. W gospodarce skrzeczącej ludzie z pomysłem, z techniką i dobrą organizacją, jak widzimy, szybko się dorabiają. Niech więc przyjadą, niech zainwestują i niech się dorobią. Ich aktywność, doświadczenia organizacyjne, nowoczesne technologie przydadzą się naszej gospodarce, przyniosą korzyść społeczeństwu.

– *Mnie nie musi Pan do tego specjalnie przekonywać, ale czytelników „PP”, szczególnie tych z emigracji i Polonii – tak! Tu zresztą nie chodzi o to, że PRL chce zarobić otwierając się na kapitał polonijny; rzecz idzie o jasne i rzetelne reguły normujące ten biznes. Nie można liczyć na większy dopływ kapitałów bez stabilności przepisów ekonomicznych – powiedzmy – na 25 lat.*

– Rozumiem tę tęsknotę do stabilności, tak powszechną przede wszystkim w kraju. Tutaj też wiele nagrzeszono, jeśli chodzi o prywatne rzemiosło i handel, nie mówiąc już o kapitale zagranicznym. Po krótkotrwałych odwilżach przychodził zazwyczaj przymrozek i przepisy zmieniały się na niekorzyść tych dziedzin gospodarki. I tak ustawa z 1982 r. o tzw. kapitale polonijnym została w 1986 r. zmieniona w sposób pogarszający zasadniczo warunki działalności przedsiębiorstw polonijnych. Czy uda się, aby przez 25 lat nie pogorszyły się reguły gry ekonomicznej? Tego nie wiem. W nowej ustawie, w preambule, zawarta jest daleko idąca deklaracja władzy w tej materii. Tylko że po wojnie H. Minc dawał „żelazne glejty” prywatnym przedsiębiorcom i dzięki temu przez 2 lata mogli oni w miarę normalnie funkcjonować, przyczyniając się do ożywienia gospodarczego kraju, a potem nic z tych glejtów nie zostało. Tak więc i w tym przypadku rozumiem rezerwę biznesmenów. Przeszłość długo jeszcze będzie nad nami ciążyć. Jestem jednak optymistą. Wierzę, że świat idzie w stronę otwierania drzwi, nie zaś ich zamykania. W tym nadzieja. Świat i Polska to – mimo wszystkich przeszkód – naczynia połączone. Tak samo jak połączone są dwie sprawy: sytuacja wewnętrzna w kraju i stosunek emigracji i Polonii do kraju.

– *Czy Pana nadzieje na zracjonalizowanie sfery kontaktów gospodarczych wiążą się w szczególności z nową ekipą?*

– Premier M. F. Rakowski, dzięki temu, że był (wciąż jeszcze jest) przewodniczącym komisji ekonomicznej Towarzystwa „Polonia”, nie dopuścił do uchwalenia niedobrej, wstecznej nawet ustawy o działaniu kapitału zagranicznego w Polsce. Wnet będzie uchwalana przez Sejm nowa ustawa, porównywalna do dobrych w tym przedmiocie aktów prawnych w Europie Wschodniej. Na ile uda mu się jednak doprowadzić do szerokiego otwarcia w stronę emigracji, która

przecież identyfikuje się głównie z opozycją, będzie to zależne przede wszystkim od ułożenia się z opozycją tu, w kraju. Bez porozumienia w kraju nie ma mowy o rzeczywistym, spójnym programie wobec emigracji. Po prostu: jeśli tu, nad Wisłą, nie dogadamy się w sposób rozsądny, logiczny, po europejsku z opozycją – słabsze będą szanse na porozumienie się z emigracją. Możemy oczywiście coś tam korygować, wprowadzić pewne udogodnienia w kontaktach, wprowadzić bardziej liberalne niż dotychczas przepisy paszportowe, ale i na tym koniec.

– *Marzy się Panu wspólny, krajowo-emigracyjny program, a nie doraźna łatanina starych dziur?*

– *Czy i przed Panem muszę się z tego marzenia tłumaczyć?*

– *Najpierw, jak sądzę, musiałoby dojść do uzgodnienia pewnego „minimum narodowego”, które obowiązywałoby wszystkich: władze i ich zwolenników oraz szeroko rozumianą opozycję w kraju i emigrację jako całość. Trzeba by określić to, co jest NIEZBĘDNE do zachowania ciągłości polskiej kultury, i uznać to za swoistą polską rację stanu obowiązującą każdego, kto patrzy trochę dalej niż czubek własnego nosa i widzi nie tylko interes własnej grupy czy partii. Dotychczas Kościół spełnia główną rolę integracyjną emigracji z krajem. Kultuwując wartości katolickie i polskie odwołuje się głównie do swych wyznawców, ale przecież nie tylko do nich. Czy sądzi Pan, że władze PRL są zdolne do wyciągnięcia wniosków z faktu, iż to nie komunizm jest spoiwem duchowym Polaków?*

– *Wierzę, że autentyczne porozumienie z emigracją nie byłoby przegraną ani władzy państwowej, ani idei socjalistycznej.*

– *I zrobiła się rozmowa wierzącego – w dalekowzroczność i odwagę władzy – ze sceptykiem. Chcę zatem przypomnieć Panu obiegowe sądy o Towarzystwie „Polonia”.*

– *Że jesteście tubą reżimu!*

– *Że wasze zabiegi wokół emigracji są podszyte dwuznacznością. Według tych opinii mówicie o jedności kultury, a myślicie o rozmywaniu emigracyjnych struktur i postaw. Podejrzewa się was, że będąc tak ściśle związani z MSZ służycie nie tylko temu resortowi; w skrajnych przypadkach mówi*

się, że za waszym parawanem ukrywają się organa inwigilujące emigrantów.

– Cokolwiek powiem, może być obrócone przeciwko mnie.

– *Milczenie też nie będzie Panu sprzyjać.*

– Boleję nad niechęcią do nas. W ocenie Towarzystwa funkcjonuje wiele mitów, nie brak też pomówień. Zostawmy to. Towarzystwo bywało rzeczywiście używane jako tuba partii i rządu, a nawet konkretnych ekip sprawujących władzę. Widzimy konieczność odideologizowania i odpolitycznienia Towarzystwa. Ale żeby to osiągnąć, muszą tego chcieć OBYE STRONY.

– *Pan musi być pierwszy. Pan musi, faktami, udowodnić szczerą swych intencji.*

– Tak. Zgoda. Pamiętajmy jednak o tym, że nie jesteśmy, jako Towarzystwo, na tyle niezależni, aby formułować program państwa wobec emigracji. Proszę mnie nie przeceniać. Mam świadomość, gdzie działam; jeśli najwyższe władze nie zechcą nam pozwolić na większą samodzielność, to nam nie zezwolą! W tym sensie jesteśmy uzależnieni od tego, jak się będzie rozwijała demokracja w Polsce, a konkretnie mówiąc – jak będą traktowane inne aniżeli czysto państwowe nurty społeczno-polityczne. Sterujemy w kierunku niezależności organizacyjnej. Nasze związki z MSZ są silne, choć nie jest prawdą, że jesteśmy – tak jak dawniej – przybudówką tego resortu. Nie mając innych możliwości korzystamy z usług konsulatów, Towarzystwo bowiem nie ma swoich placówek w świecie.

– *I w ten sposób trudne i delikatne zagadnienia polonijne i emigracyjne zostały włączone w rutynowe działania konsulatów. Nie sprzyja to likwidowaniu uprzedzeń co do intencji władz.*

– Zagadnienia polonijno-emigracyjne to nie powinien być wydział w konsulacie, chociaż konsulat, jako przedstawicielstwo państwa, ma obowiązki takie, jakie ma państwo w stosunku do swojego Wychodźstwa. Czy to realizowano mądrze i rozsądnie – to inna rzecz. Różnie z tym bywało. Zazwyczaj Wychodźstwo traktowano koniunkturalnie. Niełatwo jest odrobić tamte błędy.

– *A więc, co dalej z Towarzystwem?*

– Powiadam: chcemy być niezależną organizacją skupiającą niezależne siły, mającą program nie związany ani z jakąś konkretną polityką, ani ideologią. Takie jest nasze założenie. Będzie to proces, a nie jednorazowy akt czy deklaracja. Taka jest moja ambicja. Swoją rolę widzę w U-SPOŁECZNIANIU kontaktów kraj – emigracja. Nie chcemy być monopolistą. Chcemy natomiast być pomocni tym wszystkim, którzy zechcą włączyć się, na własny rachunek, do pracy na rzecz zbliżenia emigracji z krajem. Naszym zadaniem jest ułatwiać to zbliżenie.

Istnieje natomiast i druga strona! Oni, nasi rodacy zagranicą, muszą kupić ten wzorzec. Nie może być tak, że my będziemy uciekać od polityki i ideologii, a druga strona będzie wołała: *My tylko z opozycją, my tylko z przeciwnikami reżimu!* Czyli jeśli tamta strona będzie się tak jednoznacznie identyfikowała z określonymi siłami politycznymi w kraju, to będzie nas, ludzi po stronie władzy dążących do pojednania z emigracją, stawiało to w sytuacji co najmniej kłopotliwej, a faktycznie – bez wyjścia.

– *Przecież emigracja nie wyprze się „Solidarności”; ulokowała w tym ruchu znaczną część swych nadziei. Niektórzy – nawet na powrót do kraju.*

– Rozumiem to. I dlatego mówię o zasadzie naczyń połączonych. Dopóki nie nastąpi dogadanie się władzy z tym nurtem, dopóki nie będzie harmonijnych relacji państwa z Kościołem (choć widzę tu ogromny postęp), dopóty nie będzie dobrych stosunków państwa z emigracją. Podobnie w Warszawie jak w Chicago nie o to idzie, żeby osłabić państwo czy budować alternatywne, ale żeby to jedyne, jakie jest, doskonalić i nakłaniać, żeby służyło narodowej sprawie.

Mogą być natomiast nieco lepsze stosunki „Polsonii” z emigracją – jeśli uda nam się uniezależnić od państwa. Mam nadzieję, że zmiany w kraju wywołają także zmianę stosunku emigracji do państwa. Obydwie strony mają zle doświadczenia w tym względzie. Przecież emigracja niepodległościowa jawnie mówiła o chęci obalenia nowego ustroju w kraju, tuż po wojnie. Zostawiło to pewien uraz w ludziach władzy. Także to wielkie oficjalne i nieoficjalne dotowanie

opozycji przez emigrację stwarza określony stosunek władzy do tej emigracji.

– *Więc emigracja ma pozostawić opozycję ministrowi spraw wewnętrznych?*

– No, to nie tak! Trzeba sobie zdawać sprawę, że na stosunek władzy do emigracji ma wpływ wiele czynników; także ten, że około 7 mln Polaków utrzymuje różnego rodzaju kontakty ze swoimi rodzinami i bliskimi żyjącymi poza granicami kraju. To nie jest w ogóle proste zjawisko. Uważam jednak, że władza ma większe obowiązki niż największa siła społeczna w kraju czy reprezentatywna grupa na emigracji; państwo musi być wspaniałomyślne, musi się wznieść ponad dawne urazy i dzisiejsze konflikty.

– *Przedtem powiedział Pan, że władza faktycznie niczego nie musi... Są to zresztą rozważania teoretyczne. Interesuje mnie teraz praktyka. Co powinno zmienić się w samym Towarzystwie „Polonia”, aby spełniało ono rolę, którą mu Pan wyznacza?*

– Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli odegrać poważniejszą rolę bez spełnienia dwóch warunków. Po pierwsze, we władzach Towarzystwa muszą być reprezentowane wszystkie siły społeczno-polityczne kraju. Po drugie, na program Towarzystwa musi mieć realny wpływ sama emigracja. Wtedy dopiero Wychództwo nam uwierzy, że nie jesteśmy niczyją oficjalną tubą. Jeśli Towarzystwo zdoła wywalczyć sobie autonomię, to wtedy będzie mogło spełniać pożyteczną rolę tak dla państwa jak i dla narodu, i Polonii.

Jest wiele do zrobienia i w planie generalnym, i w działaniach cząstkowych. Wiele np. mówi się ostatnio o jedności kultury narodowej, a przecież tak niewiele zrobiliśmy w tej sprawie. Niestety, społeczeństwo w kraju jest dość ściśle oddzielone od kultury tworzonej w świecie przez Polaków. Ciągłe nie zna całego dorobku Cz. Miłosza, i G. Herlinga-Grudzińskiego, nie zna ważnych dzieł L. Kołakowskiego, że przywołam najwybitniejszych. A co z polską historiografią tworzoną poza krajem? Są to wszystko wstydlive zaniedbania. Twierdzę, że nie ma spójnej i całościowej koncepcji udostępniania krajowi tego, co tworzą Polacy poza granicami Polski. To musi się zmienić. Dotyczy to tak wydawania w kraju dzieł emigrantów jak i swobodnego rozprowadza-

nia w Polsce dorobku emigracyjnych domów wydawniczych i instytucji naukowych. Paryska „Kultura” i „Aneks”, instytuty J. Piłsudskiego, R. Dmowskiego i W. Sikorskiego, malarstwo i proza J. Czapskiego, poezja W. Iwaniuka i w ogóle praca tylu innych osób i środowisk – to niezbywalna część naszej kultury.

– *Brzmi to pięknie. Gdy czytam zdanie Tadeusza Łepkowskiiego: „Uważam, że wolna politycznie emigracja, stanowiąca i tworząca ważną część kultury narodowej, przyczynia się w pewnej mierze do zwiększenia stopnia narodowej i państwowej suwerenności Polski” – opublikowane w waszym wydawnictwie pt. „Wkład Polonii w odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku” (Warszawa-Lublin 1988), to nie sposób nie zauważyć zmian, które mogą napawać nadzieją. Ciekawie też przekształca się „Panorama Polska”.*

– To dopiero początki. Chcę z całą mocą podkreślić, że troska o jedność kultury narodowej to dla nas nie hasło propagandowe, ale samo jądro naszej działalności.

– *I nie macie „czarnych list”?*

– Wreszcie zaczynamy nie mieć takich list. Przecież nie dla taniego gestu prosiliśmy J. Nowaka-Jeziorańskiego o wyrażenie zgody na druk „Kuriera z Warszawy”. Nie dla jakichś podejrzanym knowań zapraszaliśmy i nadal będziemy zapraszać do Polski czołowe osobistości emigracji niepodległościowej – są nam bliscy bez żadnych warunków wstępnych i bez oczekiwania na doraźny zysk polityczny. Jeśli np. z okazji III Kongresu Uczonych Polskiego Pochodzenia, który przygotowujemy, odwiedzą Stary Kraj liczni wybitni Polacy, to zyska po prostu nauka i kultura polska.

Oświadczam: „Polonia” nie ma listy osób niepożądanych. Co nie znaczy, że inni jakieś listy mieć nie mogą.

– *Ale zapewne dzielicie Polonię na „lepszą” i „gorszą”, do pierwszej zaliczając współpracujących z wami i innymi agendami PRL, do drugiej wrzucając tych, którzy dystansują się od was.*

– Czy my dzielimy Polonię? Ona się sama dzieli, co jest zresztą naturalne. Są podziały formalne będące rezultatem poszczególnych fal emigracji: emigracja „za chlebem” okresu przedwojennego; emigracja wojenna o motywacjach politycznych i ekonomicznych, są tu też emigranci z konie-

czności, którzy nie mieli gdzie wrócić na skutek korekty granic Polski; emigracja powojenna również ma charakter polityczny i ekonomiczny. Podziały, o których Pan wspomina, nie przebiegają ani falami emigracyjnymi, ani pokoleniami. Nie ma tu sztywnej prawidłowości. My nie mamy wpływu na integrację wewnątrz samej Polonii, ale chcemy być pożyteczni w integrowaniu jej z krajem. Chcemy przede wszystkim umożliwić emigrantom i osobom polskiego pochodzenia swobodne przyjeżdżanie do kraju.

– *Przeczytam Panu fragment wypowiedzi jednego z Pana kolegów, człowieka znajdującego się w ekipie rządzącej: „Diaspora jakiegokolwiek narodu jest tylko miarą jego położenia. Jeżeli Polacy zostali w Związku Radzieckim w latach 45–46, a potem po 56, to był to także ich wybór. Nie była to decyzja łatwa. I jeśli zastanawiamy się nad nimi, widziałbym obowiązek uszanowania ich decyzji i obecnego sposobu życia.*

Z faktu, że milczano na temat tamtej Polonii, nie wynika, że wolno nam rozstrzygać, czego ona ma chcieć, jak żyć itd.”

Jest to zdumiewająca „delikatność”: jakby nie było w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu deportacji Polaków w głąb ZSRR, całej akcji zwanej paszportyzacją, a także atmosfery nie sprzyjającej przyznawaniu się do polskości. Przecież dziś, kiedy można już nieco śmieiej mówić, tamtejsi Polacy nie kryją żalu do rodaków w kraju, że zapomniało o nich.

Ponieważ stosunek władz Polski do Polaków w ZSRR jest jednym z proberzy i waszych, jako Towarzystwa „Polonia”, rzeczywistych intencji, ciekawi mnie zdanie Pana na temat cytowanej przed chwilą opinii.

– Chcę powiedzieć (niezależnie od tego, kto ją wygłosił), że rozminął się z realiami i z faktami historycznymi. Z pewnością były i takie przypadki, że część Polaków z wyboru została w Związku Radzieckim, co jest naturalne, bo tam była zakorzeniona.

– *Ale nie można zamazywać problemu.*

– Jest to nie tyle zamazywanie problemu, ile fałszowanie faktów historycznych. Uważam, że fakt, iż nie zajmowaliśmy się Polonią w Związku Radzieckim, jako państwo i w tym jako Towarzystwo, jest obciążający i państwo, i Towarzystwo. Obciążający oczywiście w takim stopniu, w jakim realnie biorąc państwo mogło się zajmować tym

zagadnieniem. Nie doszukałem się śladów, nawet w okresach odwilży, publicznego upominania się o losy, o dolę Polaków w Związku Radzieckim. Chociaż Gomułka dyskretnie robił dużo w tej sprawie. Nie lekceważmy tego, co zrobiono, by umożliwić Polakom repatriację; była pierwsza, druga i trzecia fala powrotów do kraju. Był to jedyny sposób – niezwykle ważny – zajmowania się Polakami. Ale też innych, realnych możliwości chyba nie było.

– *Nie o repatriację teraz chodzi.*

– Nam chodzi o upominanie się o tych, którzy tam zostali, bo z różnych powodów nie chcieli się repatriować albo im odmówiono tego prawa. Sami oni już na tyle związali się z nowym miejscem pobytu, że nie myślą go zmieniać. Od Bieruta nie można było tego wymagać. Ale już od Gomułki – tak. Rozumiał on te problemy, a jednak nie zdobył się na to, lub też nie mógł, aby dać ze strony państwa polskiego tamtejszym Polakom to, na co oni zasługiwali, a raczej – do czego mieli prawo. Chodzi o zwyczajne ludzkie prawo do książki, do języka, do kultury polskiej.

– *Upominał się kiedyś o to Antoni Ślonski.*

– Bez rezultatów. I tu dochodzimy do twardego pytania: Czy były realne szanse uzyskania tych podstawowych praw dla Polaków w ZSRR? Sądzę, że szans takich nie było aż do Gorbaczowa. Takie jest moje zdanie i zanim rzucę w kogoś kamieniem, najpierw odtwarzam sobie, w jakich warunkach on pracował.

– *Najgorsze, że nawet nie próbowano. Wygląda na to, że państwo o nich zapomniało. Dobrze, że Polonia Świata zachodniego pamiętała.*

– I tak, i nie. Bez wątpienia na emigracji powstało wiele wartościowych opracowań naukowych i dzieł literackich opisujących los Polaków w ZSRR. Zasluguja one na przypomnienie; powinny wejść w krwiobieg kultury krajowej. Natomiast sposób, w jaki mówiono na ten temat czasem na Zachodzie, nie tylko że nie pomagał sprawie, ale bywało, że jej szkodził. Upominanie się o Polaków w ZSRR np. przez Kongres Polonii Amerykańskiej było zawsze uwikłane w kontekst polityczny; stawalo się elementem amerykańskiego nacisku Waszyngtonu na Moskwę. Jeśli ktoś sądził, że za pomocą gromkich deklaracji i postulatów kierow-

nych do prezydenta USA można było pomóc Polakom na wschód od Bugu, to stwierdzam, że rozmiął się z realiami.

- *Mieli milczeć czekając, aż Rosjanie pozwolą im mówić?*

- Między milczeniem a krzykiem można zmieścić różne formy wypowiedzi. Nie namawiam emigracji do milczenia! Chcę tylko powiedzieć, że krzyki wcale nam nie pomagają. Nie pomagają też tamtym Polakom. Na tym polega złożoność tego problemu. Przecież Towarzystwo „Polonia” chciało się zajmować Polakami w ZSRR, ale nie mogło tego robić.

- *Jakie są dowody, że chciało się zajmować?*

- Deklaracje i krzyki nic by nie pomogły, wręcz przeciwnie. Nie przenośmy dzisiejszej atmosfery politycznej w ZSRR i w kraju na lata czterdzieste, pięćdziesiąte, sześćdziesiąte czy siedemdziesiąte. Rozsądniej było dyskretnie, po cichu pomagać np. nauczycielom z Litwy, wysyłać im książki, przyjmować ich tutaj, dawać dowody ciepła i przyjaźni.

- *Czy robiono choć tyle?*

- W różnych okresach różnie to wyglądało; w zależności od tego, kto tu był gospodarzem. Mogę tylko powiedzieć, że działania takie obserwowałem na długo przed swoim tu przyjściem. Mówmy jednak o dniu dzisiejszym. Trzeba zacząć od przyznania się do niewiedzy. Nie umiemy nawet odpowiedzieć na pytanie: Czy istnieją tam Polacy, którzy chcieliby się repatriować? Nie wiemy też, czego ci Polacy, którzy żyją tam i tam chcą pozostać, oczekują od nas. Nie prowadzono takich badań. Nie umiemy nawet postawić właściwej diagnozy. Ani ośrodki naukowe, ani administracja w kraju, ani nasze placówki w ZSRR nie mają pełnego rozeznania ani postaw tamtejszych Polaków, ani ich oczekiwań wobec Polski.

- *Czy rząd Polski nie jest w stanie uzyskać od rządu ZSRR umożliwienia tamtejszym Polakom wyartykułowania ich potrzeb?*

- Właśnie. Do tego chcę dojść. Pragnę w tym miejscu nadmienić, że w ZSRR jest nie Polonia, tam są po prostu Polacy. Mieszkańcy Litwy obrażają się, gdy określa się ich mianem Polonii: *Jesteśmy Polakami żyjącymi na Litwie!* – powiadają. *Jesteśmy autochtonami, to jest ziemia naszych*

ojców i nie chcemy jej zmieniać. Nie jest to żadne żądanie korekty granic lub inny zamach na jedność i stabilność ZSRR, to jest rzetelne stwierdzenie faktów historycznych i aktualnej rzeczywistości. Polak mieszkający na Zaołziu też nie chce, aby go przypisywać do Polonii. On nigdzie nie emigrował. On żyje tam, gdzie żył jego dziad. On jest u siebie.

Wróćę teraz do sytuacji w ZSRR. W najśmielszych wyobrażeniach nie sądziliśmy, że będziemy mogli tak szybko nie tyle odkryć tam Polonię i Polaków (bo o tym, że są tam Polacy, wiedzieli w kraju wszyscy), ile nawiązać z nimi kontakt. Według spisu z 1979 r. jest ich 1 151 tys., a wiadomo, że przyznawanie się do polskości nie było nagradzane. Odwrotnie. Kiedyś gdy Polak nie czuł łokcia drugiego Polaka, wołał raczej ukryć polskie pochodzenie. Nie ma wątpliwości, że gdyby spis przeprowadzono teraz, przynających się do polskości byłoby znacznie więcej. Ilu? Nie chcę stawiać diagnozy. Na pewno łącznie z drugim i następnymi pokoleniami jest ich kilka milionów.

– *Czy chętnie kontaktują się z wami?*

– Wystarczy, jeśli powiem, że na III Kongres Uczonych Polskiego Pochodzenia zgłosiło się 23. chętnych. Nie mówiąc o licznych zgłaszaniu dzieci na kolonie letnie organizowane przez nas, na kursy nauczycielskie, bibliotekarskie, na studia w Polsce. Już w „Lecie polonijnym 1988” wzięło udział prawie 300 osób ze Związku Radzieckiego, głównie z Litwy. Po raz pierwszy w tym właśnie roku 21. młodych Polaków z Litwy rozpoczęło wyższe studia w Polsce. Jest to całkowita nowość, rezultat „pieriestrojki”.

– *Sądzi Pan, że np. za parę lat, na kolejnym kongresie, uczonych polskiego pochodzenia z ZSRR może być, powiedzmy, 50.?*

– Z całą świadomością twierdzę, że raczej 500. Przy okazji: mało znany jest wkład Polaków w rozwój Rosji: kulturalny, naukowy, techniczny, ekonomiczny. I Rosji Radzieckiej, ZSRR również. Dotychczas ukazywano u nas udział Polaków w rewolucji październikowej i w wojnie obronnej, zaniedbując inne sfery polskiej aktywności. Chcemy odgrzebać te pokłady polskiej aktywności w dziejach Rosji i ZSRR.

– *Jaki jest wasz program pomocy Polakom w ZSRR?*

– Po pierwsze – czekamy z niecierpliwością na rozwijanie aktywności powstających tam organizacji polonijnych, z którymi my jako Towarzystwo oraz inne stowarzyszenia i instytucje zaczynamy być w stałym kontakcie. Czekamy na odrodzenie się choćby takiego systemu organizacyjnego, jaki istniał po rewolucji. Polacy mieli swoje rady, pisma, szkoły, biblioteki. To wszystko pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych zostało zniszczone przez Stalina i stalinizm. Po drugie – język; przecież język polski jest kultywowany tylko w szkołach na Litwie. I troszeczkę na Ukrainie. Na Białorusi nie było do tego roku żadnej szkoły, a żyje tam pół miliona osób polskiego pochodzenia.

– *Podobno nie ma chętnych.*

– Na ten temat też nie wiemy nic pewnego. Że są chętni, najlepszym dowodem Lida i Grodno. W ostatnich miesiącach żywo powstało kilkanaście kursów języka polskiego w większych skupiskach Polaków. Po trzecie – dotarcie z polską książką. Zapotrzebowanie jest wielkie, chociaż rusyfikacja i represje, przesiedlenia i inne niedogodności spowodowały, że młode pokolenie czasem nie mówi już po polsku, poza Litwą. Nie chcemy nikogo repolonizować. Niech oni sami się określą. W znacznym stopniu określenie to jest związane z procesami demokratyzacji całego systemu społecznego i politycznego ZSRR. Po czwarte – swoboda odwiedzania kraju. Tu jesteśmy bardzo zapóźnieni. Uważamy, że wpis w dowodzie *narodowość polska* powinien upoważniać do odwiedzania Polski bez specjalnego zaproszenia. Po piąte – opieka nad miejscami pamięci narodowej. Przecież Polacy i od tego byli odsuwani, wszystko przejęło państwo i jego agendy. I ta sfera powinna podlegać rzeczywistemu uspołecznieniu. Po szóste – dopuszczenie Polaków z ZSRR do tej wielkiej rodziny polonijnej przez ich udział w festiwalach polonijnych, zawodach sportowych, kursach języka polskiego.

Długo by tak można wyliczać różne formy współpracy kraju z emigracją i Polonią. Zdajemy sobie sprawę, że potrzeby Polaków ze Związku Radzieckiego, będą się ujawniać powoli. Pamiętamy przecież, że po dojściu Chruszczowa do władzy a u nas po powrocie Gomułki zaczęło się nieśmiało odmrażanie spraw polskich, ale rychło znów chwycił mróz. To się nawet źle skończyło dla niektórych, którzy uwierzyli, że państwo polskie będzie o nich dbać

i chronić ich polskość. Niektórzy z Polaków byli później poddawani ciężkim represjom. Jest pamięć o tym i dlatego tak wielu woli nie ujawniać się za bardzo z polskością. Nie dziwimy się, że są ostrożni. Problemów jest moc. Choćby sprawa kombatanów, żołnierzy armii polskiej i partyzantów polskich z czasów ostatniej wojny zamieszkałych w ZSRR. Oni nie korzystają z przywilejów kombatanckich przysługujących żołnierzom i partyzantom radzieckim. Zresztą, podobnie jest z Polakami-kombatantami z Zachodu; oni też nie są w pełni uhonorowani w Polsce. Część z nich nie została nawet usatysfakcjonowana krajowymi odznaczeniami za udział w II wojnie światowej. To wszystko jest wciąż przed nami.

I wreszcie sprawa posług religijnych. Jest to niezwykle bolesny problem. Większość obiektów kultu religijnego została odebrana Kościołowi i zeświecczona. Obecnie władze radzieckie zaczynają oddawać kościoły i kaplice wiernym. Wierzę, że przerodzi się to w proces, że nie są to akty incydentalne. To samo dotyczy cmentarzy. Oczywiście, część Polaków została wychowana w innym duchu, ateistycznym. Takie są realia. Towarzystwo „Polonia” ze zrozumiałych względów nie myśli w kategoriach misyjnych, ale nie może pomijać w swym działaniu istnienia potrzeb ludzi wierzących. Potrzeby te powinny być zaspokajane. Religia jest częścią kultury duchowej. Nie można mówić na serio o jedności polskiej kultury bez odwoływania się do chrześcijaństwa, zaś głównie do katolicyzmu. Widzimy przecież, jak wielki jest głód książki i prasy religijnej, jak duże jest zainteresowanie nauką w seminariach duchownych w Polsce.

Są to kwestie poważne, a może nawet i wciąż drażliwe. Są one tej wagi, że mogą być uregulowane w rozmowach między rządami PRL i ZSRR. Myślę, że i to nastąpi. Fakt, iż w krótkim czasie prymas Polski, kard. Józef Glemp dwukrotnie odwiedził Związek Radziecki, a ostatnio także ks. bp Jerzy Dąbrowski i inni dostojnicy polskiego Kościoła, ma swoją wymowę.

– *Właśnie, jak Pan widzi współpracę Towarzystwa „Polonia” z Kościołem rzymskokatolickim w Polsce i z duszpasterstwem polonijnym?*

– Jest to sprawa kluczowa. To przecież Kościół miał najbardziej stabilną politykę w stosunku do emigracji.

Pozostając ponad emigracyjnymi sporami i podziałami politycznymi traktował jednakowo tych wiernych, którzy zwalczyli reżim w Polsce, jak i tych, którzy go uznawali, a nawet wspierali. Zasługi Kościoła są tu olbrzymie. Poprzez sieć ponad 3000. własnych obiektów: świątyń, domów parafialnych i punktów katechetycznych – stałych i trwałych – Kościół był i jest czynnikiem scalającym emigrantów z polskością. Chroniąc obyczaj i tradycję polską, tak przenikniętę katolicką religijnością, kultywując język polski podtrzymuje tym samym więź emigracji z polskimi korzeniami.

Ma zresztą możliwości działania; ma program i infrastrukturę. My, mówię o Towarzystwie, nie mamy swoich agend w świecie, my możemy tylko kontaktować się z organizacjami polonijnymi. Kościół wypracował cały system łączności z Polonią i dla znacznej części Polonii Kościół polski jest głównym partnerem. Działania Ojca Świętego, Episkopatu i w ogóle ludzi Kościoła w Polsce, wyspecjalizowanego duszpasterstwa polonijnego, działalność misyjna w świecie prowadzona przez Polaków – oto atuty Kościoła. Przecież wszystkie pielgrzymki Jana Pawła II są równocześnie duszpasterskimi wizytami wśród Polonii. Ma to kapitalne znaczenie integracyjne emigracji ze Starym Krajem. Podzielać opinię, że na rzeczywiste powodzenie może liczyć tylko taka inicjatywa państwa skierowana ku emigracji, która uzyska wsparcie Kościoła. Bez takiego wsparcia nasze poczynania będą mieć ograniczoną skuteczność, a mogą się zdarzać i takie sytuacje, w których wyniki działań nie spełnią założeń wyjściowych. I właśnie tu, w tym codziennym – a nie odświętnym czy nawet koniunkturalnym – porozumieniu agend państwa z duszpasterską misją Kościoła polskiego widzę szansę na owo „minimum narodowe”, o którym mówił Pan wcześniej. Polska racja stanu wymaga bliskiego i partnerskiego współdziałania państwa i Kościoła.

– Tak, ale najpierw państwo musiałoby się dość znacznie zmienić. Czy władze stać np. na wyciszenie komunistycznej i pepeerowskiej genezy PRL akcentując w zamian niepodległościową tradycję PPS, oddając sprawiedliwość PSL-owi, Stronnictwu Pracy, a także – przy wszystkich zastrzeżeniach – narodowej demokracji?

– Ja nie mogę czekać! Ja muszę pracować w warunkach, jakie są mi dane. Powtarzam – bez porozumienia Towarzystwa „Polonia” z Kościołem niewiele zdziałam. Kościół też zresztą nie podoba sam nawałowi pracy. Musimy ze sobą współpracować. My wiemy, że sam Kościół nie jest w stanie ochronić języka polskiego wśród emigrantów, ale i my niewiele tu zwojujemy bez Kościoła. Przykład: dopóki ksiądz w polskiej parafii nie zarekomenduje naszego podręcznika do nauki języka, dopóty nie będzie go rozpowszechniała londyńska „Macierz Szkolna” itd. Stosunki państwo – Kościół dopiero tam, na emigracji, ujawniają się w swej wyostrzonej formie. Wciąż panuje spora doza nieufności wobec nas. Część księży nie chce współpracować z placówkami PRL. Opory są po obu stronach. Przecież nie można nazwać współpracą wizyty konsula z okazji „Gwiazdki” w jakiejś polskiej parafii i rewizyty księdza na przyjęciu w konsulacie! Są to czasem działania pozorowane i przez to powierzchowne. Tego nie zmieni się jakimś dekretem. To też jest proces, tu są konieczne czas i cierpliwość. Rola obu prymasów, kard. S. Wyszyńskiego i kard. J. Glempa, w tym niełatwym procesie przywracania normalności w stosunkach między Kościołem a państwem jest bezsporna. Stosunki państwo – emigracja są (w dużym stopniu, jeśli nie wręcz w zasadniczym) pochodną stosunków państwo – Kościół i państwo – opozycja. Najważniejsze sprawy rozstrzygają się nad Wisłą.

– *Na zakończenie pytanie osobiste. Trafił Pan tu, na fotel Sekretarza Generalnego Towarzystwa „Polonia”, po przebyciu dość burzliwej drogi. Zawodowy dyplomata: konsul we Francji, pracownik centrali, ambasador na Kubie, sekretarz wojewódzkiej PZPR w Krakowie, ambasador w Meksyku, po Sierpniu w Komitecie Centralnym, potem ambasador w Maroku. A teraz tu. Ruszył Pan z impetem. Nawet ludzie niechętni Panu przyznają, że o coś Panu chodzi. Zachowuje się Pan tak, jakby bardzo Panu zależało na tym, aby Towarzystwo nawiązało autentyczny kontakt z emigracją. Czym więc jest dla Pana obecne miejsce pracy?*

– Od 1956 r. uczestniczę w życiu politycznym i społecznym angażując się szczególnie w okresach przełomów i odwilży. Miałem sukcesy i miałem porażki. Obecne miejsce nie jest przypadkowe. Chciałem tu przyjść. Czego

chcę? Chcę swoje życiowe doświadczenia nabyte w poprzednich miejscach pracy powiązać z możliwościami, które pojawiły się ostatnio; z tą koniunkturą, która przyszła częściowo ze Wschodu, częściowo z Zachodu i padła na podatny rodzimy grunt, przygotowany m.in. przez Sierpień. Ta korzystna koniunktura polityczna i ideologiczna stwarza szansę RZECZYWISTEGO OTWARCIA KRAJU NA EMIGRACJĘ. O to mi idzie! Nie traktuję tej pracy jako trampoliny do odbicia się na wyższe stanowisko. Uważam, że Sekretarz Generalny Towarzystwa „Polonia” to dostatecznie ważna i dostatecznie potrzebna funkcja, żeby po prostu tutaj tkwić i próbować coś zrobić. I jeśli chodzi o mój punkt widzenia, to widzę to jasno: będę tu tak długo, jak długo będą możliwości zrobienia czegoś sensownego.

– Podróżmy ten problem. Jak Pan chce pogodzić uspołecznianie Towarzystwa „Polonia” – ze wszystkimi tego konsekwencjami – z własną przynależnością do partii, która wciąż jest organizacją centralistyczną, nie rezygnującą z bezpośredniego kierowania życiem politycznym i społecznym kraju?

– Problem jest wyjątkowo poważny. Nie chcę od niego uciekać, ale też nie sędzę, abym mógł odpowiedzieć w pełni na Pana pytanie, które – jak mniemam – jest pytaniem o szanse naszych reform w ogóle. Ograniczam się zatem do tego, co mnie bezpośrednio dotyczy. A zatem: po pierwsze sędzę, że PZPR ma szansę się zmienić i uważam, że Towarzystwo „Polonia” nie powinno być instytucją polityczną; po drugie – chcę powiedzieć, że dotychczas nikt, żadna władza, także partyjna, nie krępuje mojego postępowania, niczego mi nie narzuca. Po prostu mam wolną rękę i za to, co robię, biorę odpowiedzialność. Być może tak dużą swobodę mam dlatego, że nie mam realnej władzy, gdyż to nie Towarzystwo ustanawia prawa paszportowe, wizowe, majątkowe w stosunku do Wychodźstwa. Możemy jako Towarzystwo jedynie walczyć o zmianę złych a obecnie obowiązujących praw – i robimy to uparcie i uczciwie, w interesie Wychodźstwa przede wszystkim. Władza, w tym partyjna, pewnie wie, że deśtalinizacja i debierutyzacja leży w interesie nie tylko Wychodźstwa, Polski, ale także samej władzy – i dlatego sprzyja naszym działaniom; po trzecie – do przeszłości zaczynają należeć metody wymuszania określonego postępowania według wyobrażeń Centrum – przy-

najmniej w stosunku do mnie tak jest. To ja mam obowiązek wiedzieć, co powinno być dobre dla Polski i dla partii rządzącej – w działalności Towarzystwa „Polonia”. Nie może tego wiedzieć ktoś tam, z „góry”. O moich koncepcjach staram się przekonywać kogo należy. Oczywiście nie przychodzi to łatwo, ale nie można czekać w strachu na to, co powiedzą w KC. Gdy dojdą tam do wniosku, że błędę i szkodzę, to pewnie zechcą mnie przywołać do porządku. Myślę jednak, że będą miał prawo bronić moich racji. Robiłem to już po 56 r., po 70. i na początku lat osiemdziesiątych. Skutki były różne. Korzystano również z okazji, aby „przywrócić” mnie Ministerstwu Spraw Zagranicznych – należę bowiem do nielicznej grupy ludzi w Polsce, którzy z dyplomacji szli do polityki, a nie odwrotnie – jak to szczególnie teraz bywa. Na tym polega mój komfort, o ile tak otwarcie mogę się zwierzyć. Chcę więc stwierdzić, że nikt mnie w Towarzystwie „Polonia” nie trzyma za rękę; mówię i robię, co uważam za właściwe. Oczywiście w uzgodnieniu z Prezydium Rady Naczelnej. Walczę o prawo Wychodźstwa i Polaków z kraju do utrzymywania swobodnych kontaktów korzystnych dla obydwu stron, czyli czynię, co mogę, aby kojarzyć interes Wychodźstwa z interesem Polski. Jest w tej walce wiele przeszkód natury szerszej i rań czysto polskich, jak to się mówi rodem z „polskiego piekielka”. Ale jak się przekroczy pewien próg, w tym także wiekowy, nabiera się dystansu nie tylko do przeszłości, lecz również do teraźniejszości; więcej się myśli o tym, co dobrego można jeszcze zrobić, co po sobie pozostawić.

Dlatego tak zabiegałem, aby otrzymać nominację na Sekretarza Generalnego Towarzystwa „Polonia”. Pasjonuje mnie ta praca, bo widzę wielki ugór do rekultywacji. Dopóki tak będzie mi się wydawało, dopóki będę w to wierzył – pozostanę w Towarzystwie.

- *Życzę powodzenia.*

grudzień 1988 r.

Julian Humeński SJ

Wojskowa służba duszpasterska w powstaniach śląskich (I)

W nocy z 2 na 3 maja 1921 r. w ramach akcji „Mosty” wyleciały w powietrze wszystkie połączenia mostowe na 90-kilometrowym odcinku zachodniej granicy obszaru plebis-cytowego, powodując zniszczenie szlaków komunikacyjnych i odcinając Górny Śląsk od reszty Rzeszy. Akcji tej, która trwała 2 godz. i spowodowała zniszczenie około 50. mostów i 3. dworców kolejowych, dokonali żołnierze „Wawelberga”¹, rozpoczynając trzecie powstanie śląskie. Poprzedziły je dwa inne oraz przedtem kilkuwiekowa uporczywa walka miejscowej ludności polskiej z germanizacyjnym zalewem o zachowanie tożsamości narodowej, ojczystego języka i kultury. Walka ta trwała nieprzerwanie aż do końca I wojny światowej przy wzrastającej polskiej świadomości etnicznej wśród ludności Górnego Śląska.

Dotkliwa klęska cesarskich Niemiec w tej wojnie oraz związany z nią okres poważnych wewnętrznych wstrząsów w samej Rzeszy nie spowodowały bynajmniej zmniejszenia germanizacyjnego nacisku na Górnym Śląsku. Polska ludność w dalszym ciągu była narażona na szykany i coraz częstsze rugi z miejsc pracy w kopalniach i hutach, rezerwowanych dla powracających z frontu zdemobilizowanych niemieckich żołnierzy. Protesty Polaków nie znajdowały odzewu u niemieckich właścicieli i dyrektorów zakładów przemysłowych i kopalni, a nawet były często brutalnie tłumione przez oddziały Grenzschutzu. W takiej sytuacji miejscowa ludność polska – zapatrzona w wielkopolski zryw wyzwolenczy i sama już w znacznej mierze narodowo i patriotycznie uświadomiona – zaczęła coraz wyraźniej

¹ „Konrad Wawelberg” (kpt. Tadeusz Piszczuński) był dowódcą istniejącej przy NK WP dywersyjnej grupy mającej na celu dokonywanie akcji dywersyjnych na tyłach nieprzyjaciela. Powstała ona w l. 1920–21. Po zakończeniu powstania została rozwiązana (K. Popiolek, *Trzecie Śląskie Powstanie*, Katowice 1946, s. 71 n.; K. Pluta-Czachowski, *Organizacja Orła Białego*, Warszawa 1987, s. 37–40).

występować za przywróceniem Polsce zabranych jej po rozbiorach ziem. Dążenia te przejawiały się głównie w strajkach, wiecach i demonstracjach oraz we wzrastającym dążeniu do walki zbrojnej. Doprowadziło to do utworzenia na wzór i za poduszczeniem kierownictwa wojennej Polskiej Organizacji Wojskowej takiej organizacji na Górnym Śląsku. Od początku jednak brakowało zharmonizowanego działania, toteż powstały trzy odrębne i rywalizujące ze sobą ośrodki: Główny Komitet Wykonawczy Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska (POWGSŁ) z Józefem Grzegorzkiem na czele, Dowództwo Główne POWGSŁ Alojzego Zgrzebnioka i Wydział Spraw Wojskowych przy Podkomisariacie Naczelnej Rady Ludowej utworzonej w Poznaniu dla całego zaboru pruskiego, mającej swoją siedzibę w Sosnowcu².

Rozwój zbrojnych wydarzeń trzech śląskich powstań, zwłaszcza trzeciego, ma bardzo bogatą literaturę faktograficzną i historyczno-pamiętnikarską³, toteż będę skrótowo przedstawiał tylko te wydarzenia, których przypomnienie jest niezbędne dla interesującego nas tu tematu. Służba duszpasterska powstań śląskich nie doczekała się dotąd całościowego opracowania, aczkolwiek wzmianki o niej, mniej lub bardziej dokładne, niekiedy błędne, można spotkać w różnych publikacjach. Powstania śląskie miały wybitnie narodowy charakter, zmierzały do wyzwolenia górnośląskiej ziemi z wiekowej niemieckiej niewoli oraz do wcielenia jej w granice odradzającej się Rzeczypospolitej, nie przeto dziwnego, że zgodnie z wielowiekową tradycją wzięło w nich udział również polskie duchowieństwo katolickie.

Pierwsze powstanie śląskie zaczęło się w nocy z 16 na 17 VIII i zakończyło się 24 VIII 1919 r. Swym zasięgiem objęło powiaty: pszczyński, rybnicki, zabrzański, bytomski, tarnogórski i katowicki. Wszczęte przez niewielką, źle przygotowaną grupę, nie mającą jednolitego kierownictwa i pozbawioną koordynacji działań, kiepsko wyszkoloną i źle uzbrojoną – przy ogromnej dysproporcji sił, uzbrojenia i doświadczenia strony przeciwnej – musiało się zakończyć niepowodzeniem⁴. Ten pierwszy wolnościowy zryw Polaków na Górnym Śląsku spowodował wzmożenie straszli-

wego terroru na skutek działań oddziałów Grenzschutzu i uzbrojonych cywilnych bojówek niemieckich, który trwał aż do przybycia na Śląsk alianckiej Kontrolnej Komisji Wojskowej i podpisania pod jej naciskiem 1 X polsko-niemieckiej umowy normującej do pewnego stopnia życie polskiej ludności na tych terenach.

Podpisanie 28. VI 1919 r. traktatu wersalskiego i jego wejście w życie 10 I 1920 r. oraz wykonanie jego założeń w sprawie plebiscytu na Górnym Śląsku spowodowało przybycie wojskowych oddziałów państw sprzymierzonych (włoskich, francuskich i angielskich) mających na celu dopilnowanie wykonania postanowień traktatu.

Akcją plebiscytową trwającą od lutego 1920 r. do marca 1921 r. kierowały oficjalnie polski i niemiecki Komisariaty Plebiscytowe. Na czele Polskiego Komisariatu Plebiscytowego stanął wyznaczony przez polski rząd Wojciech Korfanty. Komisariat ten składał się początkowo z 12., w późniejszym okresie z 25. samodzielnych wydziałów, które miały po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski stanowić załazek przyszłej administracji państwowej⁵. Jednym z wydziałów był powołany przez W. Korfantego Oddział Religijny, na którego czele stanął ks. Julian Łukaszewicz⁶, a następnie Wydział Kościelny, którego naczelnikiem na życzenie ogółu polskich księży z Górnego Śląska został mia-

⁵ M. Wrzosek, *Militarny wysiłek powstańców śląskich w latach 1918–1921*, w: *Powstania Śląskie i plebiscyt z perspektywy 60-lecia*, Opole 1981, s. 52 n.

⁶ Należy tu wymienić następujące prace: M. Mielżyński, *Wspomnienia i przyczynki do III powstania górnośląskiego*, Mikołów 1931; A. Benisz, *Górny Śląsk w walce o polskość*, Katowice 1930; *Walki o Kędzierzyn i Górę Św. Anny*, Katowice 1961; J. Ludyga-Laskowski, *Materiały do historii powstań górnośląskich*, Katowice 1925; tenże, *Zarys historii trzech powstań śląskich*, Warszawa–Wrocław 1973; K. Popiołek, *Trzecie Powstanie Śląskie*, Katowice 1946; W. Ryżewski, *Trzecie powstanie śląskie. Geneza i przebieg działań bojowych*, Warszawa 1977; M. Wrzosek, *Powstania Śląskie 1919–1921. Zarys działań bojowych*, Warszawa 1977; oraz liczne artykuły: J. Wyglenda, *Plebiscyt i powstania śląskie*, Opole 1966; *Źródła do dziejów powstań śląskich*, praca zbior. pod red. K. Popiołka, Warszawa–Wrocław–Kraków 1974; *Powstania Śląskie i plebiscyt z perspektywy 60-lecia*, praca zbior., Opole 1981.

⁴ K. Malczewski, *Ze wspomnień śląskich*, Warszawa 1967, s. 261; K. Popiołek, dz. cyt., s. 25.

⁵ K. Brożek, *Polska Służba Medyczna w Powstaniach Śląskich i Plebiscycie*, Wydawnictwo „Śląsk”, Opole, s. 68; ks. M. Lewel, *Górnośląskie Plebiscyt z 1921 oraz udział w nim duchowieństwa katolickiego*, w: *Sacrum Poloniae Millemium*, t. VII, s. 546 n.

⁶ Ks. J. Łukaszewicz (1857–1937), ur. w Rzeszowie, tam ukończył gimnazjum, studia filozof. i teolog. – na UJK we Lwowie, specjalizację odbył w Wiedniu. W tym

nowany przez W. Korfantego ks. Michał Lewek⁷, sekretarz Sekcji Teologicznej Śląskiego Związku Akademickiego⁸. W skład Wydziału Kościelnego obok personelu biurowego wchodził początkowo dr Paweł Piechaczek, prawnik, później ks. Józef Niedziela⁹. 21 X 1921 r. Wydział ten został przeniesiony z Bytomia do Katowic i funkcjonował tam później jako Wydział Wyznań Religijnych w Narodowej Radzie Ludowej na Górnym Śląsku¹⁰.

Jednak sytuacja po pierwszym powstaniu nie sprzyjała polskiej akcji plebiscytowej, zryw ten bowiem nie spowodował jakichś zasadniczych zmian na lepsze, gdyż władzę administracyjną sprawowali nadal Niemcy, którzy mając do swojej dyspozycji wszystkie dotychczasowe środki nacisku, przede wszystkim policyjnego, dotkliwie dawali się we znaki polskiej ludności. Nie była też przychylna sprawie polskiej niemiecka administracja kościelna¹¹. Niemcy korzystając z odcięcia Śląska od Polski ściągałi na tereny plebiscytowe rzesze ludzi spoza Śląska w celu powiększania żywiołu niemieckiego. Wskutek tego, a zwłaszcza na skutek szerzącego się ustawicznie i coraz bardziej wzmagającego się terroru niemieckich bojówkarzy, wybuchło w nocy z 19 na 20 VIII 1920 r. drugie powstanie śląskie, które objęło swym zasięgiem powiaty: katowicki, bytomski, gliwicki, pszczyński, tarnogórski, rybnicki, raciborski i lubliniecki. Powstanie to, należycie przygotowane, mające jednolite kierownictwo i dobrze opracowany plan operacyjny, ponadto należycie zorganizowane oddziały zbrojne i specjalne oddziały szturmowe, choć niedostatecznie jeszcze uzbrojone, osiągnęło zamierzony cel¹². Spreczywał go jasno W. Korfanty stwierdzając, że powstanie stanowiło akt samoobrony przeciwko gwałtom niemieckim i walkę o równouprawnienie polskiej ludności, nie zaś o obalenie traktatu pokojowego¹³. Drugie powstanie śląskie zostało 25 VI 1920 r. pod naciskiem aliantów odwołane przez W. Korfantego, w rzeczywistości jednak trwało do 28 VIII, czyli do dnia zawarcia polsko-niemieckiej umowy¹⁴, i przyniosło pozytywny rezultat. Znienawidzona przez Polaków Sicherpolizei (Sipo) została rozwiązana, zaś na jej miejsce powołano Policję Górnego Śląska, zwaną potocznie Policją Plebiscytową, która miała zabezpieczać pokój i zapobiegać gwałtom i rozbojom

uzbrojonych niemieckich bojówkarzy. Nastąpiło to istotnie, ale jedynie we wschodniej części Górnego Śląska, opanowanej przez powstańców; w zachodniej nadal zdarzały się akcje terrorystyczne.

czasie współpracował z polskimi organizacjami. W czasie I wojny świat. kapelan wojskowy, w 1919 przeszedł do polskiego wojska. Oddelegowany na G. Śl. brał udział w działalności plebiscytowej, wydając m.in. broszurę *Jak przesładowali Prusacy lud polski na Górnym Śląsku*. Przyczynił się do rozwoju Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, ofiarując mu swoją bogatą bibliotekę. Po plebiscycie i po III powst. Śl. pracował w Grudziądzu, zaś po przejściu na emeryturę osiadł w rodzinnym Rzeszowie, gdzie do końca życia prowadził działalność kulturalno-oświatową (*Encyklopedia Powstań Śląskich /EPS/, s. 289*).

⁷ Ks. dr M. Lewek (1878–1967), ur. w Bralinie. Po ukończeniu szkoły powszechnej w rodzinnej wiosce i szkoły średniej częściowo w Kępnie i Wrocławiu odbył studia filozof. i teolog. na Uniw. Wrocł., i w 1904 otrzymał święcenia kapł. Już podczas studiów prowadził aktywną działalność społeczno-narodową w środowisku polskich studentów i teologów należąc do Kółka Polskiego w seminarium duchownym, będąc najpierw jego sekretarzem, później prezesem, oraz do Związku Młodzieży Polskiej „Zet”. Po święceniach kapł. był przez 4 lata kapłanem w zamku Ballestremów w Pławniowicach, podkreślając zawsze swoje polskie pochodzenie. Pracował następnie kolejno w Chorzowie i w Berlinie, gdzie pełniąc obowiązki proboszcza przy kościele „Charite” – ośrodku katolickich organizacji dobroczynnych – dał się poznać jako zdolny organizator i ofiarny społecznik. W 1920 przyjął propozycję W. Korfańskiego i 1 X 1920 objął stanowisko kierownika Wydziału Religijnego przy PKP najpierw w Bytomiu, później w Katowicach, pełniąc równocześnie rolę sekretarza Sekcji Teologicznej. W czasie plebiscytu i III powst. Śl. wykazał się wielkim patriotyzmem i ofiarnością, wygłaszając wiele referatów i przemówień. Po przyłączeniu części G. Śl. do Polski działał w wielu organizacjach kościelnych, dopomagając w organizowaniu nowo utworzonej katolickiej diecezji. Od 1923 był proboszczem w Tarnowskich Górach. Tu zastała go II wojna świat. Aresztowany już 12 IX 1939, a następnie wysiedlony ze Śląska, przebywał kolejno w Krakowie, Wieliczce i Częstochowie, poświęcając się pracy charytatywnej. Po wyzwoleniu wrócił na swoje probostwo i pełnił wiele funkcji kościelnych: piastował godność prałata, szambelana papieskiego i protonotariusza apostolskiego. Zm. w Tarnowskich Górach.

⁸ Sekcja Teologiczna powstała w ramach założonego 20 VII 1919 przez ks. dr. Teodora Kubinę (późniejszego bpa częstochowskiego) i adwokata Jana Mildnera Śląskiego Związku Akademickiego, którego celem było: „Zrzeszenie wszystkich sił akademickich na Śląsku do wspólnej pracy na sobą, nad akademikami-studentami, uczniami średnich szkół i nad ludem”. Sekcja Teolog. jako specjalny wydział tego Związku dla duchownych miała ok. 140. członków. Jej prezesem został ks. Jan Kapica, wiceprezesem – ks. T. Kubina, sekretarzem – ks. M. Lewek. Broniła ona polskiej racji stanu, reprezentowała polskich katolików i polskie duchowieństwo G. Śl. prowadząc równocześnie szeroką działalność na rzecz polskości w czasie akcji plebiscytowej i współpracując ściśle z Wydziałem Kościelnym PKP. Na skutek nacisku ze strony niemieckiej hierarchii kościelnej i zarzutów głoszenia „błędnych nauk”, które postawił papieski komisarz plebiscytowy Jan Ogno Serra, została rozwiązana 5 XI 1921, gdy plebiscyt był już zakończony, zaś III powst. Śl. dobiegało końca (ks. M. Lewek, dz. cyt., s. 588 i n.; *EPS*, s. 503 i 550).

⁹ Ks. J. Niedziela (1888–1924), ur. w Chrościnie w Opolskiem. W l. 1908–11 studiował filozof. i teolog. we Wrocławiu. W tym czasie był członkiem „Zet”, komisarzem tajnych koleż gimnazjalnych i Sekcji Teolog. Po święceniach kapł. otrzymanych w 1912 prowadził działalność społeczno-oświatową. W 1917 był współzałożycielem

Przeprowadzony decyzją aliantów 20 II 1921 r. plebiscyt nie przyniósł rozstrzygnięcia. Za Polską opowiedziało się 40%, za Niemcami 59,6% ludności¹⁵, nie obeszło się przy tym bez gwałtów i fałszowania przez Niemców list wyborczych. O przyszłej granicy polsko-niemieckiej miała zadecydować Rada Ambasadorów na podstawie wniosków alianckiej Komisji Plebiscytowej. Wnioski te jednak krzywdziły Polaków. Komisarze angielski i włoski chcieli Polsce przyznać tylko powiaty pszczyński i rybnicki z kilku wioskami z powiatu katowickiego. Wiadomość ta wywołała ogólne wzburzenie wśród polskiej ludności, co w konsekwencji doprowadziło do ogólnego strajku w kopalniach, hutach i zakładach przemysłowych, zaś w nocy z 2 na 3 V 1921 r. – do trzeciego powstania śląskiego.

Na czele zbrojnego ruchu stanął tym razem dotychczasowy przewodniczący Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego – W. Korfanty. Ogłaszając się dyktatorem powstania wydał równocześnie manifest do ludności Górnego Śląska, zorganizował Naczelną Władzę oraz podległą jej Naczelną Komendę Wojsk Powstańczych (NKWPGŚl). Dowódcą naczelnym powstańczych wojsk mianował ppłk. Maciej Mielżyński, zaś od 3 VI 1921 r. ppłk. Kazimierz Zenttlera. Trzon powstańczych sił zbrojnych stanowiła organizacja Wydziału Wychowania Fizycznego związanego z Polskim Komisarjatem Plebiscytowym, która po reorganizacji, scentralizowaniu systemu dowodzenia i nadaniu jej charakteru wojskowej ochrony plebiscytu funkcjonowała od 19 XII 1920 r. jako Obrona Plebiscytu, przejmując od 15 I 1921 r. zwierzchnictwo nad całą organizacją, a także Związkiem Hallerczyków, zdemobilizowanymi żołnierzami Pierwszego Pułku Strzelców Bytomskich oraz nad uchodźcami z zachodnich terenów Śląska¹⁶.

Wraz z ogłoszeniem powstania siły Obrony Plebiscytu przemianowano na Wojska Powstańcze, tworząc z nich trzy grupy taktyczne związane z danym terytorium: grupę „Północ”, grupę „Wschód” oraz grupę „Zachód”, przemianowaną w trakcie działań bojowych na grupę „Południe”. W późniejszym okresie (od 10 VI 1921 r.) istniała jeszcze grupa „Środek”. Co do tej ostatniej istnieje wśród historyków pewna kontrowersja¹⁷. Dowódcą grupy „Północ” mia-

nowano kpt. Alojzego Neugebauera („Nowak”), szefem sztabu – Jana Wyglendę („Traugutt”) z miejscem postoju w Tarnowskich Górach, później w Twarogu; dowódcą grupy „Wschód” – płk. Karola Grzesika („Hauke”), szefem sztabu – Michała Grażyńskiego („Borelowski”) z miejscem postoju w Bangowie, później w Bielszowicach; dowódcą grupy „Zachód” względnie „Południe” – ppłk. Bronisława Sikorskiego („Cietrzew”), szefem sztabu – Romana Grześkowiaka („Brunhorst”) z miejscem postoju w Jastrzębiu, później w Rudach¹⁸.

W działaniach bojowych zgodnie z wcześniej ustalonym planem operacyjnym wzięło udział ok. 50 000 żołnierzy¹⁹. Poszczególne grupy taktyczne dzieliły się na podgrupy (pułki). Tylko w grupie „Wschód” powstała jedna dywizja pod dowództwem mjr. Ludygi-Laskowskiego. Pułki innych

Towarzystwa Oświaty na Górnym Śląsku im. św. Jacka. Od 1919 wspomagał działalność na rzecz przyłączenia G. Śl. do Polski. Współorganizował PCK na Śląsku i był jego wiceprezesem. W 1921 został zastępcą kierownika Wydziału Kościelnego i Opieki nad Uchodźcami. W czasie III powst. śl. czynny w akcji sanitarnej i aprowizacyjnej. Wygłaszał w terenie liczne odczyty i występował na plebiscytowych wiecech. Po III powst. śl. prowadził w Szopienicach Wydział Opieki PCK. Przyczynił się do założenia pierwszej szkoły pielęgniarstwa w Mysłowicach. Był proboszczem kolejno w Bielszowicach i Mysłowicach. Tu zastała go II wojna świat. Dwukrotnie aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Gussen, potem w Dachau, gdzie 8 VII 1942 zginął w komorze gazowej. Autor broszury *Rola Polskiego Czerwonego Krzyża w powiatach śląskich*. Odznaczony Gwiazdą Górnośląską, Krzyżem Kawalerskim OPR (AK DK. *Catalogus Sacerdotum*, t. I; H. Gwóźdź, *Księża zaangażowani w latach 1919–1921 w pruską akcję plebiscytową...* maszynopis).

¹⁰ Ks. M. Lewek, dz. cyt., s. 586 n.; EPS, s. 622.

¹¹ Szerzej będzie o tym mowa w odrębnym opracowaniu.

¹² K. Popiołek, dz. cyt., s. 34 i 35; K. Malczewski, dz. cyt., s. 49 n.

¹³ K. Popiołek, dz. cyt., s. 37; por. A. Benisz, *Górny Śląsk w walce o polskość*, Katowice 1930.

¹⁴ M. Wrzosek, *Militarny wysiłek powstańców śląskich w latach 1918–1921, w: Powstania śląskie i plebiscyt z perspektywy 60-lecia*, dz. cyt., s. 61.

¹⁵ K. Popiołek, dz. cyt., s. 41; inni, jak A. Benisz, *Walki o Kędzierzyn i Górę św. Anny*, Katowice 1961, s. 9, podają inne wyniki głosowania.

¹⁶ M. Wrzosek, dz. cyt., s. 61 n.

¹⁷ M. Lis, *Obraz plebiscytu i powstań śląskich w najnowszych syntezach historii Polski*, w: *Powstania śląskie i plebiscyt z perspektywy 60-lecia*, dz. cyt., s. 411.

¹⁸ A. Benisz, dz. cyt., s. 9; K. Popiołek, dz. cyt., s. 61; M. Wrzosek, dz. cyt., s. 66; EPS, s. 571.

¹⁹ Istnieją co do tego pewne rozbieżności. Tak np. K. Popiołek określa liczbę powstańców na 30 000 pisząc, że „liczba wojsk powstańczych była w różnych okresach czasu rozmaita, w dużej mierze zależna od ilości posiadanej broni, której stale miano za mało”, dz. cyt., s. 86, 202; J. Wyglenda podaje 22 000 walczących, ze służbami tyłów ok. 60 000, zob.: *W 50 rocznicę Powstania Śląskiego*, „Kwartalnik Opolski” 1/1971, s. 20; A. Benisz oblicza je na 40 000, dz. cyt., s. 10.

grup podlegały bezpośrednio swoim dowódcom. Wojsko powstańcze miało ponadto 16 pancernych pociągów oraz 4 samochody pancerne²⁰.

Organizacja duszpasterska

Równocześnie z utworzeniem Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych powołano do życia Wydział Duszpasterski. Rozkaz NKWP z 8 VI 1921 r. L.dz. 1770/21 ustalał dla niego następujący program²¹:

o) Duszpasterstwo

Szefowie Duszpasterstwa w dziale Duszpasterstwa.

1. Szefowie Duszpasterstwa NKP podlegają bezpośrednio Komendantowi NKP w sprawach Wojskowego Dowództwa i są bezpośrednimi kierownikami Szefostw Duszpasterstwa NKP.

Poszczególni Szefowie Duszpasterstwa różnych wyznań²² nie są w żadnym stosunku zależni służbowo między sobą.

Szefowie Duszpasterstwa jako organy NKP wydają samodzielne rozkazy w sprawach ściśle administracyjno-duszpasterskich i fachowych.

Szefowie Duszpasterstwa referują bezpośrednio Komendantowi NKP.

Szefowi Duszpasterstwa podlega pod względem fachowym cały personel duszpasterski odpowiedniego wyznania, zaś cały personel duszpasterski służbowo i fachowo.

Szef Duszpasterstwa wyznania rzymskokatolickiego posiada w stosunku do bezpośrednio mu podległego personelu prawa dyscyplinarne Dowódcy Pułku.

Szefowie Duszpasterstwa innych wyznań prawo Dowódcy Baonu.

Do Działu Duszpasterstwa przydziela się po jednym szefie Duszpasterstwa wyznania rzymskokatolickiego i ewangelickiego z odpowiednim personelem kancelaryjnym.

Należy zorganizować Dział Duszpasterstwa w zakresie „Detachment” i podać jak najmniejszy etat personelu kancelaryjnego w myśl załącznika Nr II.

Prócz tego podać szczegółową organizację na wzór załącznika III.

*Komendant
NKP*

*Zastępca
Komendanta NKP*

Duszpasterstwo

Każde Szefostwo ma opracować projekt organizacyjny danej Służby i jest odpowiedzialne za należyte funkcjonowanie swej Służby.

(–) podpis nieczytelny²³

Szefem duszpasterstwa został mianowany pochodzący z Poznańskiego kapelan rezerwy WP, ks. Franciszek Nowak²⁴.

Zgodnie z załącznikiem Nr 2 Rozkazu 1 NKP szef duszpasterstwa przesłał 28 V 1921 r. do Oddz. V NK WP następujący wykaz kapelanów wojsk powstańczych: *ks. mjr kap. Franciszek Nowak – szef Wydziału Duszpasterstwa od 15.01.21; ks. mjr kap. Jan Brandys²⁵ – szef Duszpasterstwa*

²⁰ A. Benisz, dz. cyt., s. 10; M. Wrzosek, dz. cyt., s. 70.

²¹ Cytując dokumenty stosowano ogólnie obowiązujące zasady publikowania materiałów źródłowych, uwspółcześniając jedynie ortografię i interpunkcję.

²² Istniało jeszcze tylko duszpasterstwo ewangelickie.

²³ Centralne Archiwum Wojskowe (CAW) 130.1./284. Odrębny rozkaz NKP Oddz. I Sz. L.dz. 1760/21 Sieg. ustalał ponownie, że: „Szefowie Duszpasterstwa NK P podlegają bezpośrednio Komendantowi NKP w sprawach wojskowego duszpasterstwa”.

²⁴ Ks. mjr F. Nowak (1880–1942), ur. w Poznaniu, tam skończył szkołę podstawową i niższe gimn., maturę uzyskał w Wschowie. W l. 1904–07 odbył studia filozof.-teolog. w Poznaniu, wyświęcony na kapłana w 1908. Po święceniach pracował jako wikary i proboszcz. Uczestniczył w powstaniu wielkopolskim i w III powst. śl. Po rozformowaniu powstańczych wojsk wrócił do diecezji. Wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich został aresztowany, zginął w Forcie VII w Poznaniu 30 I 1942.

Z Poznańskiego pochodził jeszcze inny kapelan III powst. śl., ks. Józef Różycki, jak zresztą także naczelny wódz, dowódca grupy „Północ” i „Południe”, dowódca 2. pułków w grupie wschodniej, szef łączności, szef sanitarny, szef kolejnictwa oraz wielu wyższych oficerów (K. Popiołek, dz. cyt., s. 186).

²⁵ Ks. mjr J. Brandys (1886–1970), ur. w Dębiniu na G. Śl. Studia filozof.-teolog. ukończył we Wrocławiu, tam otrzymał święcenia kapł. w 1912. Brał udział w I powst. śl., został kapłanem WP, uczestniczył w wyzwoleniu Wilna, był ciężko ranny i odkomenderowano go na G. Śl. Tu włączył się w szeregi wojska III powst. śl. Po jego zakończeniu pracował w duszpasterstwie cywilnym. Po wybuchu II wojny świat. znowu w WP. Z wycofującymi się wojskami przekroczył granicę rumuńską, dostał się do Francji, pomagał zorganizować duszpasterstwo wojskowe. Przeniesiony na Bliski Wschód jako szef duszpasterstwa. Po wojnie i demobilizacji został w Anglii, gdzie zm.

grupy „Środek” od 31.05.21; ks. kpt. kap. Roch Margosz²⁶ – Duszpasterstwo NKWP od 31.05.21; ks. kpt. Wilhelm Koppel²⁷ – Duszpasterstwo NKWP od dnia 1.06.21; ks. kpt. Stanisław Rygielski²⁸ – kap. grupy „Południe” od 25.05.21; ks. kpt. Józef Różycki – kap. grupy „Południe” od 21.05.21; ks. kpt. Jan Szymała²⁹ – kap. 2 pp Kościańskiego od 22.06.21; ks. kpt. Henryk Woźniak³⁰ – szef Duszpasterstwa grupy „Środek” od 31.05.21; ks. kpt. Karol Woźniak³¹ – szef Duszpasterstwa grupy „Południe” od 1.06.21³².

Takie raporty szefowie poszczególnych służb byli zobowiązani składać regularnie co pięć dni (1, 5, 20 i 25 każdego miesiąca). Jeżeli rozkazu tego nie wykonano, szło bezzwłocznie upomnienie. Tak np. szef Wydziału V³³ pismem z 31 V 1921 r. L.dz. 1280 V³⁴ skierowanym do duszpasterstwa: *Uprasza się o natychmiastowe załatwienie tutejszego pisma L.dz. 1280/21 z dnia 22.05.21 tyżącego nadesłania list oficerskich ewidencyjnych w terminie nieprzekraczalnym do dnia 2.06.21 – Szef Wydziału V³³*.

Powyższe wykazy dowodzą, jak niesłuszne są stwierdzenia niektórych autorów, że: *Zaopatrzenie powstańców w oficjalnych kapelanów było całkiem niemożliwe. Radzono tylko księżom chwilowo nie zatrudnionym udanie się w szeregi powstańców, by swoją obecnością wywierali na nich należyty wpływ duszpasterski i byli pomocni w ostatniej potrzebie³⁴*, lub też, że: *Liczbę i nazwiska kapelanów trudno jest ustalić, tym bardziej że większość księży pełniła tę funkcję tylko ubocznie i przez krótki czas. Wypełniali te obowiązki dowolnie bez jakiegokolwiek przydziału władz kościelnych, a tylko posłuszni zarządzeniu Wydziału Duszpasterskiego³⁵*. Rzecz jasna, byli i tacy, zwłaszcza w pierwszym i drugim powstaniu, i to w liczbie przewyższającej kapelanów etatowych, niemniej jednak ci ostatni istnieli, byli zorganizowani i stanowili jednostkę składową wojsk powstańczych. Byli to częściowo kapelani zawodowi, oddelegowani czasowo na Górny Śląsk wraz z innymi oficerami, i księża przybyli z innych diecezji (nawet z USA) oraz z zakonów. Ich liczba nie była wielka, w wykazach przedkładanych w NKWP figuruje od 13–15 nazwisk.

Przydział księży kapelanów do poszczególnych grup i podgrup często się zmieniał zgodnie z potrzebami chwili

i ze względu na brak odpowiedniej liczby duchownych pozostających do dyspozycji Wydziału Duszpasterstwa. Tak np. ks. kpt. W. Koppel w wykazie z 31 V ma przydział do NK WP, a już 3 VI otrzymał telegraficzne skierowanie do objęcia duszpasterstwa w Bytomiu. Podobnie ks. kpt. Wędałin Świerczek³⁶.

²⁶ Ks. mjr R. Margosz (1871–1950), ur. w Chrzastowicach (opolskie), studia filozof.-teolog. we Wrocławiu, tam wyświęcony na kapł. w 1905. Po święceniach pracował w Kanadzie, z armią gen. Hallera przebywał we Włoszech i Francji, z nią wrócił do Polski, brał udział w III powst. śl. Po powstaniu wrócił do Kanady i tam zmarł.

²⁷ Ks. mjr W. Koppel (1877–?), ur. w Welnou, woj. katowickie. Studia filozof.-teolog. odbył na Gregorianum w Rzymie. Święcenia kapł. otrzymał w 1906 we Włoszech i tam pracował do 1918, kiedy to wstąpił do armii gen. Hallera i razem z nią przybył do Polski biorąc udział w walkach 1920. Skierowany jako Ślązak na G. Śl. brał udział w akcji plebiscytowej i III powst. śl. Po powstaniu wrócił do WP, zaś po przejściu na emeryturę osiadł na Wołyniu, gdzie zastała go II wojna świat. Odtąd ślad po nim zaginął.

²⁸ Ks. mjr S. Rygielski (1886–1941), ur. w Kornatowie na Pomorzu. Gimnazjum ukończył w Wiedniu, studia filozof. i teolog. w Rzymie, gdzie w 1906 otrzymał święcenia kapł. W I wojnie świat. był kapłanem w armii austriackiej, od 1919 w WP. Od chwili wybuchu III powst. śl. był kapłanem powstańców. Po powstaniu pozostał na G. Śl., był katechetą i kapłanem więzienia w Chorzowie. Aresztowany przez gestapo i odesłany do Mauthausen tam zginął.

²⁹ Ks. płk J. Szymała (1889–1962), ur. w Dobrzeniu W., gimn. ukończył w Nysie, studia teolog. w Möding w Austrii. Święcenia kapł. otrzymał we Wrocławiu w 1914. W czasie I wojny świat. był kapłanem w armii austriackiej, od 1920 w WP. Jako Ślązak brał udział w akcji plebiscytowej i w III powst. śl. Po jego zakończeniu wrócił do WP i był kolejno proboszczem i dziekanem wojskowym. Brał udział we wrześniowych walkach, cofając się wraz z wojskiem na wschodnie tereny Polski przeszedł granicę rumuńską, przedostał się do Francji, po jej upadku do Anglii, gdzie przebywał do końca wojny pełniąc w duszpasterstwie wojskowym różne stanowiska. Po wojnie wrócił do Polski na Śląsk, był proboszczem i dziekanem w Gliwicach.

³⁰ Ks. mjr H. Woźniak (1888–?), ur. w Siemianowicach. Gimnazjum ukończył w Katowicach, teologię w Zurychu, gdzie otrzymał święcenia kapł. w 1914. Wyjechał do USA, gdzie wstąpił do armii gen. Hallera, z nią przybył do Francji i Polski, brał udział w akcji plebiscytowej i II i III powst. śl. odznaczając się szczególnym męstwem. Po powstaniu wrócił do Stanów Zjednoczonych i tam zmarł.

³¹ Ks. mjr K. Woźniak (1897–1923), ur. w Rożdżeniu. Gimnazjum ukończył w Katowicach, teologię w Belgii, gdzie otrzymał święcenia kapł., po których wyjechał jak jego brat, ks. Henryk, do USA. Tam zgłosił się do tworzonej armii gen. Hallera, z którą przez Francję przybył do Polski i włączył się do akcji plebiscytowej i działań II i III powst. śl. Brał udział w bojach z bronią w rękę. Po III powst. pozostał na G. Śl. Jako jedyny z kapłanów powstań odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari.

³² CAW-130.1/198 i 282.

³³ CAW-130.1/282.

³⁴ Ks. M. Lewek, dz. cyt., s. 588.

³⁵ Ks. H. Gwóźdź, *Księża zaangażowani w latach 1919–1921 w polską akcję plebiscytową i III Powstanie na Górnym Śląsku oraz działalności na Śląsku Cieszyńskim* (maszynopis), s. 101.

³⁶ CAW-130.1/285. Ks. kpt W. Świerczek (1888–1974), ur. w Żytnie k. Rybnika. Gimnazjum, studia filozof. i teolog. ukończył u księży misjonarzy w Krakowie, tam

Duszpasterska obsada poszczególnych grup przedstawiała się następująco: grupa „Południe” – szef duszpasterstwa ks. kpt. dr S. Rygielski³⁷. W grupie tej pracował ponadto ks. kpt. K. Woźniak i ks. kpt. J. Różycki do 14 V 1921 r. Grupa „Wschód” („Środek”) – szef duszpasterstwa ks. mjr J. Brandys³⁸. W grupie tej zatrudnieni byli ponadto ks. kpt. H. Woźniak od 31 V 1921 r. i ks. kpt. Edmund Nowak³⁹. Grupa „Północ” – szef duszpasterstwa ks. kpt. W. Koppel. Współpracował z nim ks. kpt. J. Różycki od 14 V 1921 i ks. kpt. Jan Szymała. Przez krótki czas obowiązki kapelana w tej grupie pełnił ks. prof. Opiełka z Pickar, zwolniony już 20 VI 1921 r.⁴⁰

Obsada personalna samego Wydziału Duszpasterstwa według raportu z 15 VI 1921 r. przedstawiała się następująco: ks. mjr F. Nowak – Szef Duszpasterstwa, ks. kpt. R. Margosz – kapelan, plut. Alfred Treyer – kancelista, szer. Józef Cieśla – goniec⁴¹. Stan ten, jak wykazują kolejne raporty, utrzymywał się do 9 VI, w którym to dniu skierowano do Duszpasterstwa w charakterze kancelisty Alfreda Frycza⁴².

Przydział księży kapelanów musiał niekiedy dokonywać się poza Wydziałem Duszpasterskim; świadczyłyby o tym pismo jego Szefa skierowane do Wydziału V⁴³ NK WP pod l.dz. 35/21: *Uprasza się o nadestanie wyciągu spisu kapelanów znajdujących się tamże – Szef Duszpasterstwa, ks. Nowak*⁴³.

Księża kapelani byli również przydzielani do pociągów sanitarnych idących na front. Pisma w tej sprawie wysyłał do Szefostwa Duszpasterstwa Dział Sanitarny, podając dokładne informacje lub też odwrotnie: *Wydział Duszpasterstwa – L.dz. 83/21 – Uprasza się zawiadomić Duszpasterstwo o odchodzących pociągach sanitarnych na front celem przydzielenia kapelana dla ciężko chorych. – Szef Duszpasterstwa, w z. R. Margosz*⁴⁴.

Wszystkie wnioski o przyjęcie do duszpasterstwa, o przydział do poszczególnych grup, przyznanie poborów, kwater służbowych, przepustek upoważniających do przebywania na terenie danych grup lub podgrup itp. kierował do NK WP Szef Duszpasterstwa⁴⁵: *Uprasza się o wyznaczenie 2. kwater dla ks. mjr. Nowaka i ks. kpt. Margosza w nowym miejscu postoju. – Szef Duszpasterstwa*⁴⁶.

Księża kapelani mieli specjalne przepustki umożliwiające im przebywanie na terenach wojskowych, dotyczyło to również szefa duszpasterstwa, jak to widać z podanego niżej pisma: *Duszpasterstwo L.dz. 27/21 – Do Adiutantury NKWP – Uprasza się o wystawienie przepustki do odwiedzania wszystkich grup wojsk powstańczych w każdej porze dnia. Potrzebna jest Szefowi Duszpasterstwa przy wykonywaniu urzędu. M.p. 24 V 21 Szef Duszpasterstwa*⁴⁷. Przy wejściu do Sztabu NKWP wymagane było specjalne zezwolenie: *Uprasza się o wystawienie legitymacji uprawniającej do wstępu do gmachu Sztabu poza godzinami służbowymi dla ks. mjr. Franciszka Nowaka, ks. kpt. Rocha Margosza i szeregowca Józefa Cieśli – Szef Duszpasterstwa*⁴⁸. Wszyscy księża kapelani mieli także zaświadczenia o pełnieniu przez nich służby

też w 1913 otrzymał święcenia kapł. W czasie I wojny świat. był sanitariuszem w pruskim wojsku. Od 1919 kapelan w WP, w czasie III powst. śl. w szeregach powstańczych. Wydał *Śpiewnik Młodzieży Polskiej i Pieśni Powstańców Śląskich*. Czynny w krzewieniu oświaty. Zmarł w Krakowie.

⁴⁷ CAW-130.1/283. Rozkaz dzienny Nr 8 z 29 V 1921: „Wzmianie rozkazu dziennego Nr 7 pkt 1 z dnia 21 maja br. został mianowany Szefem Duszpasterstwa przy Dowództwie Grupy „Południe” rozkazem NKWP G. Śl. L. dz. 1721 – ks. dr Rygielski”.

⁴⁸ CAW-130.1/282. Telegram z 14 V 1921: „Ksiądz major Brandys obejmie duszpasterstwo nad grupą Wschód i referuje, jacy kapelani są czynni na terenie grupy Wschód – Szef Duszpasterstwa ks. Nowak”.

⁴⁹ „Mp 31/II 21 – Do Adiutantury NKWP – Uprasza się o umieszczenie w rozkazie, co następuje: ks. kapelana Henryka [imię podano błędnie – J. H.] Nowaka przydziela się do Grupy „Środkowej” i oddaje do dyspozycji tamtejszego Duszpasterstwa – Szef Duszpasterstwa ks. Nowak” (CAW-130.1/284). Odnośnie do ks. kpt. E. Nowaka posiadamy jeszcze telegram nadesłany przez Kurię Połową 6 V 1921 do Szefa Sztabu NKWP, mjr. Roztworowskiego, następującej treści: „Kuria Biskupia przedłuża kapelanowi Nowakowi urlop aż do zakończenia prac plebiscytowych – Wojskowa Kuria Generalna – ks. J. Pakkert” (CAW-130.1/282).

Ks. płk dr E. Nowak (1881–1940), ur. w Półwiosku Starym w woj. konińskim, szkołę podstawową i gimn. ukończył w Koninie, studia filozof. i teolog. we Wrocławiu. W wojnie 1920 kapelan 3. p. ul., oddelegowany na G. Śl. był kapelanem powstańczym. Po zakończeniu powstania wrócił do WP. II wojna świat. zastała go w Lublinie jako dziekana DOK 2. Po przekroczeniu polskiej granicy przez Armię Czerwoną dostał się do niewoli i zginął w Katyniu.

⁴⁰ Rozk. NKWP Nr 5, CAW-130.1/284.

⁴¹ CAW-130.1/198.

⁴² CAW-130.1/285.

⁴³ CAW-130.1/284.

⁴⁴ CAW-130.1/282.

⁴⁵ CAW-130.1/282, 283, 284.

⁴⁶ CAW-130.1/281 i 282.

⁴⁷ CAW-130.1/281.

⁴⁸ CAW-130.1/284.

⁴⁹ CAW-130.1/282.

⁵⁰ CAW-130.1/282.

w oddziałach powstańczych: *Zaświadcza się, że mjr kap. Brandys z Duszpasterstwa pełni służbę aż do odwołania w górnośląskich oddziałach powstańczych – M.p. 28 II 1921 – Pułkownik (–) (podpis nieczytelny)*⁴⁹. Zaświadczenia takie wydawała NKWP.

Księża kapelani brali również udział w zebraniach oficerskich: *Adiutantura NKWPDŚl. M.p. 16 VI 1921 – Do Duszpasterstwa – Dnia 27 VI 21 o godz. 18 w kasynie oficerskim odbędzie się zebranie oficerów celem uchwalenia statutu i regulaminu. Z r. Szef Adiutantury (–) podpis nieczytelny*⁵⁰.

Opracowania projektu organizacyjnego duszpasterstwa, o którym mówił Rozkaz Nr 1 NKWP z 8 VI 1921 r. w dokumentach niestety brak. Albo nie został w ogóle opracowany, co ze względu na nieliczny personel Wydziału Duszpasterskiego jest możliwe, albo po prostu zaginął. Wobec małej liczby materiałów archiwalnych trudno przedstawić szczegółowo ramy organizacyjne służby duszpasterskiej wojsk powstańczych. Możemy je jednak odtworzyć na podstawie istniejących meldunków, sprawozdań i rozkazów omawiających interesujące nas zagadnienie.

Pracę księży kapelanów w oddziałach powstańczych Górnego Śląska określały dwie dziedziny: działalność duszpasterska oraz charytatywno-społeczna i oświatowa.

Les aumôniers militaires dans les insurrections de Silésie

Les trois insurrections de Silésie (1919, 1920, 1921) furent des soulèvements armés de la population polonaise de la Haute Silésie pour le rattachement de cette province à la Pologne. Le clergé polonais a joué dans ce combat un rôle important, en

assistant les insurgés comme aumôniers, en se chargeant auprès d'eux du ministère pastoral, en les aidant matériellement et en s'associant, au besoin, au combat armé. Pour ce texte, l'auteur a dépouillé des matériaux d'archives.

Stefan Amsterdamski

O patologii życia naukowego – casus T. D. Łysenko (I)*

W tekście tym¹ będzie mowa o największym zapewne skandalu w historii nauki współczesnej, tj. o tym, jak w poł. XX w., w Europie, szarlatan-samouk zdołał wbrew społeczności uczonych a za pomocą środków administracyjnych i politycznych narzucać przez 35 lat naukom biologicznym w swym kraju poglądy, które trudno nawet nazwać fałszywą teorią, rolnictwu zaś – aplikować nieskuteczne, zaś w wielu przypadkach katastrofalne dlań praktyki.

Jeśli skandalem tym warto w ogóle się zajmować, to z pewnością nie w celu dyskredytacji tych poglądów. Może on natomiast być interesujący, ponieważ ujawnia – i to w postaci niezwykle drastycznej – patologiczne procesy grożące życiu naukowemu, w sytuacji kiedy nauka jest instytucjonalnie powiązana z ekonomiką i polityką (co współcześnie jest zjawiskiem powszechnym na całym świecie)

* Tekst ten napisałem w 1979 r. Ukazał się wówczas w drugim obiegu, [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)], oraz (w nieco skróconej wersji) jako broszurka Towarzystwa Kursów Naukowych. Przedrukuję go obecnie w dwóch częściach bez żadnych zmian (jeśli pominąć drobne poprawki stylistyczne).

Z racji charakteru niniejszego opracowania zrezygnowałem z obciążania tekstu licznymi przypisami. Podaję więc główne źródła, z których korzystałem: *La situation dans la science biologique*, Moscou 1949 (Stenogram Sesji WASCHNIL-u 31.7.-7.8.1948); T. D. Łysenko, *O sytuacji w biologii* (referat wygłoszony na tejże sesji), Warszawa 1949; D. Joravsky, *The Lysenko Affair*, Harvard U.P. 1970; Z. Miedwiedziew, *Grandeur et Chute de T. D. Lysenko*, Paris, 1971; M. Popowski, *Tysiącza dzień akademika Wawilowa*, „Prostor” nr. 7 i 8, Paryż 1966. Autorem opracowań monograficznych, na podstawie których cytowałem dokumenty, artykuły, przemówienia, listy przez nich zebrane, winien jestem podziękowanie za dług, który zaciągnąłem. Dotyczy to szczególnie D. Joravsky'ego, którego praca zawiera nie tylko wielki materiał źródłowy i ogromną bibliografię zagadnienia, ale także liczne interpretacje, które wydały mi się trafne. Za próbę całościowej interpretacji odpowiedzialność spada wszakże na mnie.

Od czasu gdy napisałem ten tekst, a zwłaszcza w ostatnich dwu latach Gorbaczowskiej „głaskności”, liczba materiałów radzieckich dotyczących tej afery znacznie wzrosła. Przynoszą one sporo interesujących szczegółów, ale nie skłaniają mnie do zmian zaproponowanych wcześniej interpretacji (dopisane w październiku 1988).

i kiedy **PONADTO** instytucjonalizacja dokonuje się w ramach totalitarnego systemu rządzenia. Próba ujawnienia mechanizmów tych procesów jest celem, dla którego przypominamy tę historię.

Przypadek, o którym będzie mowa, jest szczególnie monstrualny. Zrodził się bowiem ze splotu wielu konfliktów: trudności teoretycznych w dyscyplinie, której dotyczył, i praktycznych potrzeb jej stosowania; starych sporów filozoficznych i aktualnych kontrowersji ideologicznych; kłopotów ekonomicznych zacofanego kraju oraz wewnętrznych i zewnętrznych napięć politycznych; sprzeczności między tradycją i metodą naukową a pragmatycznym i woltarystycznym poglądem na cele i zadania nauki. Splot taki jest z pewnością niepowtarzalny. Ale niemal każdy ze składających się nań konfliktów nie tylko jest powtarzalny, ale w określonych warunkach społecznych jest dostatecznie patogeny, by warto było potrudzić się jego analizą.

Początek kariery

7 VIII 1927 r. moskiewska „Prawda” donosiła, że miejscowy agronom z rolniczej stacji doświadczalnej Gandża w Azerbejdżanie *rozwiązał problem użyźniania pól bez pomocy nawozów sztucznych*. Zimowe zasiewy grochu miały użyźniać pola i zapewnić zieloną paszę bydłu, które zimą przymierało głodem. Bohater tego reportażu nazywał się Trofim Denisowicz Łysenko. Miał wówczas 29 lat, pochodził z biednej chłopskiej rodziny ukraińskiej, wykształcenie odebrał na studiach zaocznych w Kijowskim Instytucie Rolniczym. Nie była to jedyna sensacja naukowa tego rodzaju, o jakiej donosiła w tych latach radziecka prasa. Poszukiwanie i promowanie wywodzących się z ludu „praktyków”, którzy mieli zreformować oderwaną od życia naukę „burżuazyjną”, było hasłem dnia. Łysenko nie był jedynym, który miał na tym zrobić karierę. Miał swych poprzedników (np. Iwana Miczurina) i miał mieć licznych następców.

Tłumacząc korespondentowi „Prawdy”, na czym polega jego odkrycie, Łysenko powiedział: *Każda roślina potrzebuje określonej ilości ciepła, by przejść przez wszystkie stadia swego rozwoju – od kiełkowania do wydania nasion. Jeśli ilość*

tę zmierzyć w kaloriach, problem zimowych zasiewów rozwiązać można na pomietym skrawku papieru. Że był to nonsens – nie trzeba przekonywać. O rozwoju rośliny nie decyduje globalna ilość ciepła, lecz przeciętne dzienne temperatury w całym okresie wegetacji. W pierwszej publikacji Łysenki w 1928 r. nonsensu tego już nie było. Zawierała ona jednak elementarne błędy rachunkowe z zakresu statystyki i – co najważniejsze – całkowicie ignorowała wszystko, co było dotąd wiadomo o wpływie temperatury na rozwój roślin. Jednym słowem w tych punktach, w których nie była błędna rachunkowo, niczego nowego do wiedzy nie wносиła. Tak w każdym razie ocenili ją wybitni znawcy problemu – akademicy N. Maksimow i P. Lisycyn.

Taki był początek tej zadziwiającej kariery naukowej człowieka, który 10 lat później został prezesem Wszechzwiązkowej Akademii Rolniczej im. W. Lenina (WASCH-NIL), zaś po kolejnych 10 latach dokonał niesłychanego pogromu w radzieckiej biologii, by sprawować w niej władzę monopolisty.

O cudownej metodzie zimowych zasiewów grochu rychło zapomniano. Ale już ten pierwszy epizod każe zwrócić uwagę na kilka okoliczności natury ogólniejszej, które karierze tej będą stale towarzyszyć. Po pierwsze – ignorancki lub nihilistyczny stosunek do dotychczasowych osiągnięć wiedzy i metod postępowania badawczego; po drugie – informowanie o swych odkryciach w celu ich legitymizacji nie społecznością badaczy, lecz władz gospodarczych i politycznych oraz zabieganie u nich o poparcie dla swych koncepcji. Jest to sposób postępowania szukających uznania i reklamy szarlatanów sfrustrowanych z powodu neglizowania ich przez oficjalną naukę. Łysenko nigdy nie przeszedł żadnego treningu pracy badawczej, nigdy nie uzyskał normalną drogą żadnego stopnia naukowego. Do społeczności uczonych został wprowadzony na mocy administracyjnych decyzji, tj. kolejnych nominacji na kierownicze stanowiska. Był jednak niewątpliwie mistrzem w tym, co Amerykanie nazywają „public relations”. *Zarówno treść jak styl publikacji naukowych Łysenki* – pisał J. Monod – *dowodziły, że był on zupełnym ignorantem nie tylko w sprawach współczesnej biologii, ale i w kwestiach metody naukowej.*

Przypominały one małe broszurki wydawane z reguły własnym sumptem przez szarlatanów, którzy są przekonani, że odkryli tajemnicę życia albo sposób leczenia raka i którzy z wściekłością uskarżają się na ignorowanie ich przez naukowy establishment.

Ale kariera Łysenki w niczym nie będzie przypominać karier tego rodzaju mało szkodliwych dziwaków, których nigdy w nauce nie brakowało i nie brakuje pod żadną szerokością geograficzną. Sprzyjały temu rozmaite okoliczności.

Stać się tak mogło, ponieważ minęły już te czasy, kiedy nauka była wyłącznie dostarczycielką bezinteresownych informacji. W XX w. stawiała się ona coraz bardziej producentem recept manipulowania przedmiotami i ludźmi i utożsamiała się z działalnością produkcyjną nastawioną na wytwarzanie wartości użytkowych. W rezultacie badania naukowe są organizowane i finansowane przez instytucje pozanaukowe: rządy, jednostki gospodarcze, w których muszą funkcjonować inne kryteria oceny niż w autonomicznych społecznościach badaczy. Nawet jeśli założyć, że wiedza użyteczną z punktu widzenia tych instytucji może być wyłącznie wiedza prawdziwa, to i tak w określonej sytuacji i dla określonego odbiorcy nie każda wiedza prawdziwa jest jednakowo użyteczna. Okoliczność ta, zwłaszcza w pierwszym okresie działalności Łysenki, odegrała, jak jeszcze zobaczymy, istotną rolę. W każdym razie w wyniku procesu uprzemysławiania nauki, który w XX w. ma zasięg światowy, społeczność uczonych przestaje być jedynym adresatem twórczości naukowej i jedynym szafarzem społecznego uznania, o które może zabiegać badacz. W rezultacie nawet dla prawdziwych uczonych powstaje w nauce system krzyżujących się lojalności rodzący konflikty moralne.

Po drugie zaś, i to w omawianym przypadku jest najważniejsze, ów zewnętrzny odbiorca, o którego względy zabiegał w całej swej karierze Łysenko, jest odbiorcą bardzo szczególnym. Tak szczególnym, że zdolny jest udzielić petentowi części swego monopolu władzy i że udzielając go sam stać się może w rezultacie ofiarą szarlatana. W ten sposób nieszkodliwy w innych okolicznościach dziwak może się stać zagrożeniem społecznym.

Odkrycia agrobiologiczne

Prawdziwie wielka kariera Łysenki rozpoczęła się w 1929 r. Wówczas doradził on swemu ojcu, by ze względu na wielkie straty w zasiewach ozimin spowodowane w ubiegłych latach przez szczególnie mroźne zimy nie siał pszenicy jesienią, lecz przechował ją w chłodnym miejscu, wosną zwilżył i wysiał lekko już kiełkujące ziarno. W ten sposób – jak powiadał – ziarno przejdzie przez zimowe stadium wegetacji w dogodnych warunkach i przeobrazi się w pszenicę jarą. Ojciec miał posłuchać syna i przeprowadził ten eksperyment na swej półhektarowej działce przyzagrodowej. Jesienią obaj powiadomili władze o znakomitym wyniku tego zabiegu, któremu nadano miano JAROWIZACJI zbóż. Miał on przynosić zwiększenie plonów a zarazem świadczyć o możliwości przeobrażania jednego gatunku roślin w drugi pod wpływem czynników zewnętrznych.

Wobec dotkliwych klęsk nieurodzaju spowodowanych w tych latach zarówno przez wyjątkowe mrozy jak – przede wszystkim – przez przymusową kolektywizację, Komisariat Rolnictwa Ukrainy, a później i Wszechzwiązkowy nadały niesłychany rozgłos tej sprawie. W lipcu 1931 r. komisarz rolnictwa I. Jakowlew po wysłuchaniu sprawozdania Łysenki nakazał masowe siewy jarowizowanej pszenicy. Wszyscy agronomowie mieli bezwarunkowo słuchać zaleceń Łysenki. On sam zaś został dyrektorem odeskiej filii WIR-u (Wszechzwiązkowego Instytutu Uprawy Roślin), którego prezesem był akademik N. Nawilow. W 1933 r. metodą Łysenki zasianych miało być kilka mln ha.

Stosunek uczonych do jarowizacji był z grubsza rzecz biorąc następujący.

Po pierwsze – metoda nie jest nowa. Stosowana była w Rosji i w niektórych rejonach USA już w poł. ubiegłego stulecia i uznana za nieskuteczną, jeśli chodzi o zwiększenie plonów. Chroniła istotnie zasiewy przed wymarzaniem, ale koszty jej przeprowadzania były wysokie i nieopłacalne.

Po drugie – doświadczenie przeprowadzone na półhektarowej działce bez wysiania próbki kontrolnej tego samego lecz niejarrowizowanego ziarna, nawet jeśli rzeczywiście dało w tym przypadku dobre wyniki, o niczym jeszcze nie świad-

czy. Przed masowym zastosowaniem metoda powinna być rzetelnie sprawdzona.

Po trzecie – przekształcenie pszenicy ozimej w jarą i odwrotnie nie świadczy o możliwości przekształcania gatunków pod wpływem czynników zewnętrznych. Fakty te dają się wysmienicie wyjaśnić również na gruncie teorii przeczącej dziedziczeniu cech nabytych, bowiem w omawianym przypadku nie zachodzi przemiana genotypu. Wyhodowanie zaś odmian odpowiednich dla określonych warunków klimatycznych wymaga przeprowadzenia krzyżówek płciowych i selekcji hybrydów otrzymywanych w proporcjach zgodnych z prawami dziedziczenia wykrytymi przez G. Mendla. Dopiero wielokrotna selekcja może doprowadzić do otrzymania linii czystych, tj. takich hybrydów, które w każdym następnym pokoleniu będą dawać praktycznie jednorodne genetycznie potomstwo. Taka procedura stosowana od wieków przez hodowców roślin i zwierząt, którzy praw Mendla nie znali i działali metodą prób i błędów, wymaga czasu, cierpliwości i dokładnych doświadczeń. Toteż obietnice wyhodowania w 2–3 lata odmiany pszenicy wytrzymałej na syberyjskie mrozy, co obiecywał Łysenko, są, delikatnie mówiąc, nierozważne. Mówiąc zaś mniej delikatnie – to zwykły bluff.

A jednak władze rolnicze dały posłuch Łysence, a nie uczonym.

Nie ma potrzeby omawiania tu wszystkich perypetii sprawy jarowizacji pszenicy i produkowania przez Łysenkę coraz to nowych jej odmian. Wspomnę tylko, że w 1935 r. Jakowlew otrzymał od niego z Odessy depezę zawiadamiającą o nowej rewelacyjnej metodzie „odnawiania gatunków”, które z pokolenia na pokolenie rzekomo mają ulegać degeneracji wskutek samozapyłania. Łysenko domagał się, aby wprowadzić ją natychmiast w życie w 50–70 tys. gospodarstw rolnych. Uprzednie doświadczenia kontrolne – powiadał – są zbędne, wynik ich bowiem gwarantuje słuszna teoria. Wprowadzenie w życie tej metody wymagało odkomenderowania do pracy dodatkowo 800 tys. chłopów. Jednak biologowie doskonale wiedzieli, że rośliny samozapylające się – jak pszenica – istnieją w przyrodzie od wieków, nie ulegając bynajmniej żadnej degeneracji. Akademicy Wawilów, Lisycyn i Konstantinow ostro zaprotestowali prze-

ciwko „racjonalizatorskiemu” pomysłowi polegającemu na tym, by armia chłopów uzbrojonych w pincetki chodziła po kołchozowych polach i wrywała po kolei z każdego kłosa pręciki, by nie dopuścić do samozapylenia. (Następnie kłosa miały być zapylane pyłkiem innej odmiany.) Pomijając cały teoretyczny nonsens tej imprezy, na który wskazywali uczeni, było jasne, że proponowana metoda nie może zapobiec zapylaniu pyłkiem niesionym przez wiatr. Jednak Łysenki nie sposób było przekonać i Jakowlew znów zalecił tę metodę do powszechnego stosowania, by po dwu latach popadła ona w należyne jej zapomnienie.

Notabene, walka Łysenki z samozapyleniem miała dalszą historię. Na początku stulecia, na podstawie rozważań teoretycznych opartych na prawach Mendla, amerykański uczony G. H. Shull spróbował uzyskać czyste linie kukurydzy metodą samozapylenia. W normalnych warunkach kukurydza nie jest rośliną samozapyłającą się i wobec tego wiadomo było z góry, że w każdym następnym pokoleniu rośliny będą się degenerować – będą coraz mniejsze i będą dawać coraz mniej ziarna. Ze względów praktycznych był to więc pomysł, zdawałoby się, szaleńczy. Ale Shullowi nie chodziło o natychmiastowy efekt praktyczny. Chciał mieć czyste linie do badań nad genetyką kukurydzy i tyle. Otóż badania te pokazały, że krzyżówki między różnymi liniami czystymi uzyskanymi drogą samozapylenia dawały w następnych pokoleniach rośliny, które były nie tylko lepsze w porównaniu z poprzednim pokoleniem, ale również dużo lepsze od odmian, z których owe linie czyste zostały pierwotnie wyhodowane. Shull poradził więc hodować linie wsobne po to, by ich następnie użyć do produkowania nowych hybrydów. Zastosowanie tej metody w Stanach w poł. lat trzydziestych dało w stosunkowo krótkim czasie wzrost urodzaju o około 100%. W 1943 r. obliczono, że nadwyżka pólów uzyskana dzięki stosowaniu tej metody wynosiła 23,5 mln ton i że gdyby ziarnem tym skarmić świnie, to dałoby to około 25 kg wieprzowiny na głowę mieszkańca USA. Wyhodowanie nowych odmian kukurydzy było w latach trzydziestych największym praktycznym sukcesem zastosowań genetyki.

Łysenko, wyłącznie z tej racji, iż nie uznawał praw Mendla oraz genetyki, która przeczyła dziedziczeniu cech

nabytych, wbrew propozycji Wawilowa nie dopuścił do stosowania tej metody w ZSRR. Kiedy zaś w 1948 r. nie mógł już zaprzeczać uzyskanym w USA rezultatom, powiedział: *Morganiści proponują nam pewne skomplikowane metody otrzymywania kukurydzy: najpierw samozapylenie, później selekcja linii czystych, dalej – hybrydyzacja. Metodę tę trudno stosować w wielkiej skali. Służy ona w oczywisty sposób kapitalistom, sprzedają bowiem ziarno biednym farmerom, którzy sami go w ten sposób wyhodować nie mogą.*

Dopiero w 1954 r. z inicjatywy N. Chruszczowa plenum KC KPZR postanowiło sprowadzać ze Stanów hybrydyzowaną kukurydzę i stosować tę metodę w ZSRR. (Nie przeszkodziło to jednak temuż Chruszczowowi nadal bronić łysenkizmu przed uczonymi.)

O jeszcze jednej kampanii okresu przedwojennego warto tu wspomnieć, a mianowicie o późnym (letnim) sadzeniu kartofli. Opierając się na zupełnie bezzasadnych przesłankach Łysenko twierdził, że choroba kartofla, na którą jest on szczególnie podatny w gorącym i suchym klimacie, nie jest chorobą dziedziczną, lecz wynika z *fazowego starzenia się bulw* dojrzewających podczas gorącego lata. Zamiast więc hodowli odmian niepodatnych na tę chorobę i ich selekcji kazał po prostu sadzić kartofle późno, tak by dojrzewały w porze chłodniejszej. I znów wbrew oporowi uczonych władze przez parę lat zalecały tę metodę. Rezultatem było zarzucenie selekcji materiału do reprodukcji i zawleczenie wspomnianej choroby do rejonów centralnych, gdzie jej uprzednio nie znano. (Notabene, i ta metoda znana była od dawna, ale jej nie stosowano, ponieważ trudno jest przechowywać sadzeniaki aż do późnego lata.)

Po wojnie, w końcu lat czterdziestych, Łysenko opracował tzw. gniazdową metodę sadzenia drzew. Na niej był oparty wielki stalinowski plan przekształcenia przyrody w Średniej Azji. Wielkie pasy leśne miały zmienić klimat południowych pustynnych rejonów kraju. Metoda opierała się na zaprzeczeniu istnienia wewnątrzgatunkowej walki o byt, czyli doboru naturalnego wewnątrz gatunku. Odrzucenie tej podstawowej tezy darwinizmu Łysenko uzasadniał tym, że Darwin przejął ją od Malthusa, zaś Malthusa krytykował Marks. Otóż, zdaniem Łysenki, sadzone gniazdowo młode dąbki nie będą ze sobą współzawodniczyć o światło

i pożywienie, lecz będą się nawzajem wspomagać. Słabsze egzemplarze będą dla dobra gatunku poświęcać się i ustępować miejsca egzemplarzom silniejszym. Posadzone kosztem milionów rubli dąbki nie znały widać przodującej teorii biologicznej, nie chciały ani ze sobą współpracować, ani poświęcać się dla dobra kolektywu, i wyginęły prawie doszczętnie w ciągu paru lat. W 1952 r. żyła już tylko połowa zasadzonych drzewek, a w 1956 r. – niespełna 5%. Ale po 1948 r. uczeni nie mieli nawet prawa krytykować teorii Łysenki podniesionych do rangi oficjalnej ideologii.

Pominę tu omawianie innych rewelacyjnych metod i koncepcji Łysenki z okresu powojennego, dotyczących hodowli zwierząt czy metod nawożenia ziemi. Wszystkie były równie zasadne i skuteczne jak wspomniane poprzednio. Podaruję sobie również omawianie zupełnie już fantastycznej teorii przekształcania gatunków, w myśl której np. pszenica hodowana w odpowiednich warunkach mogłaby rodzić żyto. Wszystkie publikacje na ten temat – a było ich sporo – były oparte bądź na jawnie sfałszowanych danych, bądź donosiły o wyhodowaniu odmian już dawno znanych.

Wszystkie te metody były oparte na przekonaniu, że odpowiednio manipulując warunkami zewnętrznymi można dowolnie przekształcać gatunki, zaś cechy nabywane w toku rozwoju filogenetycznego są przekazywane dziedzicznie. Te właśnie koncepcje ekshumujące najbardziej naiwne przekonania witalistyczne i teleologiczne, do których nie przyznałby się nawet żaden szanujący się współczesny witalista, zostały nazwane twórczym darwinizmem lub biologią miczurinowską.

Dygresja o Iwanie Miczurinie

I. Miczurin zm. w 1935 r., tj. właśnie wówczas, gdy Łysenko rozpoczynał swoją krucjatę przeciwko genetyce. Na umizgi Łysenki w ostatnich latach życia Miczurin pozostał głuchy. Ale fakt, że po jego śmierci Łysenko wybrał go sobie za patrona, nie był bynajmniej przypadkowy.

Miczurin przez całe życie był sadownikiem. Twierdził, że udało mu się wyhodować sto nowych odmian owoców, które otrzymywał drogą przeszczepów (krzyżówek roślinnych) i że uzyskane przez niego odmiany nadają się do

reprodukcji. Powołując się na te osiągnięcia zwracał się najpierw do władz carskich, a następnie do radzieckich o pomoc finansową w celu przeprowadzania swych eksperymentów. Teorią nie interesował się i nie miał na ten temat nic do powiedzenia przynajmniej dotąd, póki uczeni nie powiedzieli mu, że jego odmiany nie mogą być prawdziwymi hybrydami i rodzić takiego samego jak one potomstwa, bowiem w drodze krzyżówek wegetatywnych nie może nastąpić przekaz substancji genetycznej. Wówczas odpowiadał, że prawa Mendla nie stosują się do owoców, bądź że w ogóle żadne prawidłowości dziedziczenia nie istnieją, zaś przyroda w swych tworach daje nieskończoną różnorodność form i nigdy, nawet w identycznych warunkach, się nie powtarza. O sukcesie hodowcy – mówił – *nie decyduje żadna teoria, lecz jego potoczna intuicja. Dzięki niej może on podporządkowywać rośliny własnej woli.* Miał typowe dla szarlatana przekonanie, iż jego intuicja jest ostatecznym kryterium prawdy.

Miczurin przez długie lata (podobnie zresztą jak jego odpowiednik w USA – Burbank) toczył walkę z uczonymi, którzy nie chcieli uznać jego osiągnięć i traktowali go jako dziwaka marzącego o tym, by hodować gruszki na wierzbie. Ale sława Miczurina miała przyćmić sławę Burbanka.

Jesienią 1923 r. wystawił on na pierwszej Ogólnorosyjskiej Wystawie Rolniczej swe okazy, które znów nie znalazły uznania uczonych. Uzyskał jednak tyle, że 14 X tego roku „Izwestia” opublikowała artykuł pt. „W Kozłowie czy w Waszyngtonie?” Autor zapytywał, czy wielkie osiągnięcia Miczurina w dziedzinie hodowli owoców zostaną zrealizowane w ZSRR, czy w USA. Miesiąc później Rada Komisarzy Ludowych postanowiła, iż sad Miczurina jest instytucją o znaczeniu państwowym i że należy okazać mu pomoc finansową.

W ten sposób, znów za pośrednictwem reklamy prasowej, został wykreowany kolejny bohater ludowy, ojciec jabłek, wielki praktyk, który rewolucjonizuje zrutynizowaną i skostniałą naukę oficjalną. 70. rocznica urodzin Miczurina była obchodzona w całym kraju z wielką pompą.

Sam Miczurin nie aspirował, jak się zdaje, do tego, by uchodzić za uczonego. Sława wielkiego sadownika zupełnie go satysfakcjonowała. Na kongresie radzieckich biologów

w 1929 r. w ogóle nie wspomniano o jego odkryciach, ale w ostatnim dniu obrad kongres uznał za stosowne wysłanie dwóch depeš gratulacyjnych: do KC partii i do Miczurina. Parę tygodni przed śmiercią Miczurin został wybrany honorowym członkiem Akademii Nauk ZSRR. Stało się to m.in. na wniosek N. Wawilowa. Nazwisko Miczurina, jak trafnie zauważył D. Joravsky, stało się symbolem: *Wykorzystano je do stworzenia obrazu Związku Radzieckiego zasypanego cudownymi owocami stworzonymi przez niewykształconych jak on sam praktyków, na przekór surowemu klimatowi i pesymizmowi uczonych specjalistów.* W liście skierowanym do Miczurina w 80. rocznicę jego urodzin komisarz rolnictwa Jakowlew pisał o zasadniczej różnicy między nim a przedstawicielami nauki burżuazyjnej, którzy wyjęzają cały swój dowcip, by pokazać niemożliwość zmieniania genotypów roślin. Ty natomiast, idąc od doświadczenia do doświadczenia, dowiodłeś, iż za pośrednictwem czynników zewnętrznych, zmieniać można przekazywane dziedzicznie cechy roślin.

Nie ulega wątpliwości, że Łysenko trafnie wybrał sobie Miczurina na ojca chrzestnego swej teorii. Termin „biologia miczurinowska“, który ukuł, miał stanowić usankcjonowanie jego pomysłów teoretycznych, a nawet je przeżyć.

Szarlatan i władze

Spróbujmy teraz zastanowić się, jak to było możliwe, że – w kwestiach zdawałoby się sprawdzalnych doświadczalnie – władze, których nie można posądzać o celowe działanie na szkodę rolnictwa, dawały przez 35 lat posłuch szarlatanowi. Rozmyślnie pominę tu teoretyczne aspekty sporu o mechanizmy dziedziczenia, o czym władze nie miały i ostatecznie nie miały obowiązku mieć pojęcia, ale też i rozstrzyganie których nie było niezbędne do tego, by nie dawać na ślepo wiary Łysence. Wydaje się, że niejaki światło na tę ciemną sprawę może rzucić uwzględnienie następujących okoliczności, z których dwie pierwsze dotyczą zwłaszcza początkowego, a ostatnia – całego okresu działalności Łysenki.

Stan genetyki w owych latach nie da się porównać z jej stanem dzisiejszym. Przekonanie o istnieniu niezmiennych genów przechodzących w różnych kombinacjach z organizmów rodzicielskich do potomnych znajdowało wprawdzie

mocne potwierdzenie w zjawiskach obserwowalnych, ale mogło być i było z rozmaitych względów kwestionowane nie tylko przez szarlatanów. Wielu uczonych sądziło np., że teza o czysto przypadkowym charakterze mutacji jako jedynego mechanizmu zmian w procesie ewolucyjnym nie da się pogodzić z tym, co na podstawie innych danych dobrze wiadomo o tempie, w jakim dokonywała się ewolucja gatunków na ziemi. Nie znane były wówczas ani czynniki mutagenne, ani chemiczny mechanizm mutacji i replikacji. Genetyka w swym ówczesnym stadium nie stwarzała dobrze uzasadnionej nadziei na to, by w przyszłości była możliwa ludzka interwencja w procesy dziedziczenia, inna od stosowanych od wieków krzyżowania i selekcji odmian. Zresztą i dziś inżynieria genetyczna, choć ma mocne podstawy teoretyczne, jest wciąż stosowalna tylko w wąskim zakresie. Jej szerokie zastosowanie jest nadal jeszcze pieśnią przyszłości i wcale nie wiadomo czy pieśnią radosną. Ale to już cakiem inna sprawa. Łysenko natomiast, w odróżnieniu od genetyków, proponował metody, które miały rzekomo przynieść niemal natychmiastowe efekty praktyczne. W tym właśnie sensie prawda genetyki nie była użyteczna dla szefów radzieckiego rolnictwa, którym się spieszyło. Nie będąc zaś użyteczna, nie była dla nich w ogóle prawdą.

Choć więc oponenci Łysenki mieli teoretycznie rację, to nie byli w stanie zaproponować tak szybkich środków działania jak on. Kiedy Łysenko obiecywał nową odmianę pszenicy za 2 lata, jego krytycy obiecywali ją za lat 8–10. Kiedy on proponował letnie sadzenie kartofli na południu kraju zamiast wożenia zdrowego materiału reprodukcyjnego z północy, władze wiedziały, że przeciążony transport nie podoła temu zadaniu i że jeśli posłuchają uczonych, będą musiały czekać na praktyczne skutki ich badań przez lata. Analogicznie, kiedy Łysenko proponował absurdalne z naukowego punktu widzenia metody nawożenia gleby, władze znów wiedziały, że przemysł nie jest w stanie dostarczyć potrzebnej ilości nawozów sztucznych. Rezultat był oczywiście taki, że metody Łysenki były w najlepszym razie nieszkodliwe, zaś jego obietnice pozostawały puste, uczonym natomiast nie stwarzano możliwości, by właściwymi metodami hodowali i selekcjonowali nowe odmiany roślin.

Ta sytuacja ściągała na uczonych w najlepszym razie zarzuty, iż są oderwani od życia, że zajmują się zagadnieniami pozbawionymi praktycznego znaczenia – np. badaniem mechanizmu dziedziczenia koloru oczu przez muszkę owocową – w gorszym zaś przypadku oskarżano ich o roźmyślne szkodnictwo. I jak było ludziom nie mającym pojęcia o biologii tłumaczyć, że drozofila jest szczególnie dogodnym obiektem eksperymentowania, albowiem po pierwsze bardzo szybko się rozmnaża, zaś po drugie ma mało skomplikowany układ chromosomów? I jak to było tłumaczyć tym, którzy twierdzili, że chromosomy nie mają w ogóle żadnego wpływu na dziedziczenie, zaś geny to burżuazyjny wymysł? Jeszcze w 1948 r. – kiedy sytuacja teoretyczna była już zupełnie inna i wiadomo było, że odkrycie chemicznego mechanizmu dziedziczenia jest tylko kwestią czasu, i to krótkiego, zaś badania nad drozofilami i bakteriami zrobiły niesłychaną karierę na całym świecie – dyrektor Instytutu Sadownictwa z Ukrainy, poplecznik Łysenki P. Plesiecki mówił: *Nasi morganiści, jak profesor Dubinin, zajmują się tak kapitalnym problemem jak ten, ile to muszek owocowych zginęło w Woroneżu podczas wojny i jak warunki wojny wpłynęły na genetyczne zmiany w ich populacji. I zajmują się oni tymi wielkimi problemami, kiedy kraj nasz leży w ruinie po wojnie.*

Brak zaufania do uczonych, którzy w okresie, o jakim tu mowa, tj. w latach trzydziestych, wywodzili się głównie z przedrewolucyjnej inteligencji, niewiara w to, że ogromna ich większość ma głęboko wpojone zasady rzetelnego wykonywania swego zawodu i kieruje się w swych badaniach tymi zasadami, a nie interesem klasowym, co im dowolnie imputowano, całkowita ignorancja władz w kwestiach merytorycznych biologii oraz metody naukowego postępowania, a wreszcie atmosfera polityczna w kraju – wszystko to razem sprawiało, że zarzut sabotażu był chlebem powszednim nawet wówczas, gdy w grę nie wchodziły interesy kariery młodych arywistów. A przecież wchodziły. Ten brak zaufania niewątpliwie paraliżował krytyków i jednocześnie stanowił żyzną glebę dla wyrastania szarlatanów. Toteż wyrastali. Głos tych, którzy byli w stanie ich zidentyfikować, przestawał się liczyć, zaś oni sami robili wszystko, by co bardziej upartych uciszać. (Notabene, ci bardziej

uparci wywodzili się często z tych, którym zdawało się, że są politycznie bezpieczni.)

Po drugie, jednym z zasadniczych elementów stalinowskiej teorii i praktyki był woluntaryzm, wiara, że – jak powiadał J. Stalin – *każdy cel może być osiągnięty, każda przeszkoda przezwyciężona, jeśli tylko tego dostatecznie mocno chcemy*. Odpowiednio do tego naukę traktowano jako narzędzie osiągania wyznaczonych celów praktycznych i o tyle ją ceniono, o ile potrafiła być narzędziem skutecznym. Jeśli zaś przeczyła możliwości osiągnięcia jakiegoś celu, jeśli była niezdolna do jego realizacji, i to szybko, uznawano ją za pseudonaukę, określano jako burżuazyjną, wrogą itd. Epitetów nie brakowało.

Praktyka i tylko praktyka jest jedynym kryterium wartości teorii zarówno w naukach przyrodniczych jak i społecznych.

Naukę uprawia dziś cały naród radziecki, skutecznie przeobrażając swój kraj.

Tylko praktyka produkcyjna jest kryterium prawdy i istoty konkretnego poznania. I ta sama praktyka, która wytwarza obiekt zgodnie z postulowanym prawem, umożliwia produkcję tego obiektu w skali masowej, czego potrzebuje społeczeństwo. Mistrzowskie opanowanie praktyki społeczno-ekonomicznej stanowi rzeczywisty sens poznania.

Tak pisali ideolodzy. Praktycy natomiast przekładali te wskazania na własne kategorie. Jeden sowchoz, w którym zgromadzi się 500–1000 chłopów-nowatorów produkcji z całego kraju więcej jest wart niż jakikolwiek instytut naukowy, gdy chodzi o kształcenie uczonych – stwierdził w 1931 r. rzecznik Komisariatu Rolnictwa na posiedzeniu dyrekcji WASCHNIL-u, stawiając przed Akademią zadanie wykształcenia w ten sposób 25 tys. nowych specjalistów w ciągu 2 lat.

Ten woluntaryzm, podzielany szczerze czy nieszczerze przez aparat władzy, był wiatrem w żagle Łysenki i jemu podobnych. Łysenko naprawdę wierzył, że można dowolnie przekształcać gatunki zgodnie z własnymi życzeniami. Było w nim coś ze średniowiecznego alchemika święcie wierzącego w możliwość dokonywania dowolnych transmutacji pierwiastków. To właśnie wypowiedź w tym duchu na naradzie pracowników rolnictwa w 1935 r. przerwał mu Stalin słowami: *Brawo, towarzyszu Łysenko!* Kiedy zaś na naradzie

WASCHNIL-u w 1936 r. akademik Kerkis wyraził zdziwienie, jak Łysenko może twierdzić, że *aby otrzymać jakiś wynik, trzeba bardzo mocno chcieć go uzyskać i jeśli bardzo mocno się chce, to na pewno się go uzyska* – Łysenko odparł: *I mam rację! A potrzebuję tylko takich ludzi, którzy będą uzyskiwać wyniki, jakich ja potrzebuję!* Ten naukowy woluntaryzm Łysenki zgadzał się wyśmienicie z woluntaryzmem władzy. Kiedy natomiast w latach sześćdziesiątych woluntaryzm ten wychodził już z mody, zaś Łysenko nadal twierdził, iż zdolny jest wedle własnej woli przekształcać gatunki, musiał się czuć zdradzony przez swoich szefów.

Po trzecie, i to w ścisłym związku z dwiema poprzednimi okolicznościami, Łysenko zawsze kategorycznie sprzeciwiał się wszelkim próbom sprawdzania swych metod w warunkach kontrolowanych. W wywiadzie udzielonym, korespondentowi „Izwestii” 15 VII 1935 r. stwierdził: *Czy mamy prawo tracić 2–3 lata na uprzednie sprawdzanie metody opartej na słusznej teorii i przeprowadzać w tym celu doświadczenia na małych działkach w stacjach doświadczalnych? Nie! Nie mamy prawa tracić ani jednego cennego dnia!* Wiele lat później zachwycony tą jego postawą biograf napisze: *Niedowiarkowie i zrędy stają na drodze młodego uczonego, próbują go zatrzymać w jego marszu. Ci ludzie dowiedzieli się, że nie powtórzył on doświadczeń Gassnera. Ale on nie będzie dodawał jeszcze jednego doświadczenia do tysiąca już przeprowadzonych. Nie da im tej satysfakcji, by mogli okazać, że nie ma racji. Oczywiście, chcieliby, aby powrócił do Gandzy, spędził tam długie lata na uporczywej pracy, w której wyniku przedstawiłby im długie kolumny liczb. Ale on dobrze wie, co takie eksperymenty są czasem warte. Niedoświadczony badacz pakuje ziarno do ziemi nie biorąc pod uwagę warunków środowiska, okoliczności. Nie wiedząc czego roślina naprawdę potrzebuje, wyhoduje on w ten sposób małego zielonego potworka i uzna, że teoria [wpływu środowiska – S. A.] nie została potwierdzona. NIE, ON NIE POZWOLI IM OKAZAĆ, ŻE SIĘ MYLI (podkr. moje – S. A.). Trudno byłoby trafniej wyłożyć regułę Łysenkowskiej metodologii.*

Czasem jednak, zwłaszcza w pierwszym okresie, rzetelnej kontroli trudno było uniknąć. W latach 1931–36 akademik P. Konstantinow przeprowadził na 54. działkach kontrolę wyników jarowizacji 35. odmian pszenicy. Uzyskał pew-

ność, że jarowizacja nie podnosi plonów. Przeciętny wynik był taki, że w przypadku jarowizacji otrzymywano 960 kg ziarna z hektara, bez niej – 956 kg. Różnica nie przekracza błędu doświadczenia i jest praktycznie bez znaczenia. Na konferencji WASCHNIL-u w 1936 r. Konstantinow przedstawił te wyniki. Nie mogąc ich podważyć, Łysenko powiedział: *Akademik Konstantinow dobrze by uczynił, gdyby pamiętał, że za każdym razem, kiedy tego rodzaju błędy eliminowane są z nauki, to eliminowani są również ci, którzy nie chcą ich zrozumieć i upierają się przy nich.* Od 1936 do 1962 r. nikt już nie odważał się ogłaszać takich wyników.

Można jednak słusznie zauważyć, że metodologia Łysenki nie tłumaczy metodologii władzy. Dlaczego zatem mimo kolejnych niepowodzeń kierownicy radzieckiego rolnictwa raz po raz przez 35 lat forsowali wbrew opinii uczonych kolejne pomysły szarlatana, nie poddając ich uprzednio rzetelnemu sprawdzeniu? Próbując odpowiedzieć na to pytanie inaczej niż słowami Kuźmy Prutkowa: *Nie sposób pojąć niepojętego* – wkraczamy na grząski teren dociekań na temat, jak władza totalna pada ofiarą własnych metod rządzenia.

Zarówno Komisariat Rolnictwa jak i Łysenko domagali się, oczywiście, rozmaitych sprawozdań z kolchozów i sowchozów o wynikach stosowanych metod. Łysenko sam opracował szczegółowe formularze sprawozdawcze dla dyrektorów i agronomów. Ale jak można się spodziewać wiarygodnych sprawozdań, skoro przewodniczący kolchozów doskonale wiedzieli, że metody te narzucane są par force przez władzę i świetnie rozumieli, jakich sprawozdań się od nich oczekuje? Nie wątpili, iż informacja o niepowodzeniach ściągnie im na głowę komisje i kontrole tropiące niedbalstwo i sabotaż. Toteż istotnie Łysenko miał i ludzi, i wyniki, jakich potrzebował. A w każdym razie mógł wybierać z otrzymanych sprawozdań te, które mu dogadzały. Z. Miedwiedzew pisze, że bywało i tak, iż podczas gdy jakaś republika meldowała o spadku w danym roku urodzaju, wszystkie kolchozy informowały Łysenkę, że uzyskały przyrost plonów.

Przy takiej procedurze sprawdzania Łysenko mógł zawsze twierdzić, że jeśli nawet donoszono o niepowodze-

niach, to dlatego, gdyż jego metod nie stosowano dokładnie, co skądinąd zapewne odpowiadało prawdzie. Niewątpliwie co bardziej wykształceni agronomowie w kolchozach zalecanych przez Łysenkę metod w ogóle nie stosowali, zaś sprawozdania pisali mniej więcej tak, jak Lejzorek Rojtszwanc o rozmnażaniu królików. W 1964 r. podróżujący do ZSRR i odwiedzający stacje doświadczalne oraz gospodarstwa rolne amerykański specjalista stwierdził, że w ZSRR nie wyhodowano w ogóle żadnych hybrydów zbożowych w ścisłym sensie tego słowa.

Im dalej władza angażowała się w popieranie łysenkizmu, im głośniej chwaliła się sukcesami, tym trudniej było zdezwuować Łysenkę. Dezawuuując jego, dezawuowałaby przede wszystkim siebie, zaś to nie wchodziło w grę, przynajmniej w stosunku do aktualnie rządzących. Wszelka krytyka Łysenki stawała się automatycznie krytyką władzy. Kółko się zamykało. Toteż z reguły działało się tak, że po paru latach ogłaszania sukcesów stosowanie każdej kolejnej metody pod takim lub innym pretekstem po cichu zawieszano. Jest to normalny sposób naprawiania błędów w systemie, w którym maksymalnej koncentracji władzy odpowiada maksymalne rozproszenie odpowiedzialności, w którym nie działają normalne mechanizmy samoregulacji.

Władze zresztą też w gruncie rzeczy nigdy nie wiedziały i przy takich metodach sprawdzania wiedzieć nie mogły, czy to metody Łysenki są nic niewarte, czy też są wadliwie realizowane, co zresztą jedno drugiego nie wykluczało.

Łysenko umiał doskonale korzystać z owoców swej metodologii, zaś władze, skoro raz zgodziły się na takie postępowanie wynikające z ignoranckiej koncepcji stosunku nauki do praktyki i woluntaryzmu – same stawały się bezbronne wobec szarlatana. Tak stosowane kryterium praktyki nie pozwalało odróżnić nauki od humbugu, nawet gdy szarlatan zaawanturował się w gniazdowe sadzenie drzew.

Kiedy podczas dyskusji w 1936 r. Łysenko przedstawił sprawozdania z kolchozów, akademik Lisycyn powiedział: *Kapłani kiedyś dowodzili, że ofiary składane bogom chronią żeglarzy przed nieszczęściami. Z reguły powoływali się przy tym na tych, którzy szczęśliwie dołynęli do portu. Nigdy natomiast nie wspominali o tych, którzy mimo składania ofiar*

zginęli. Pytam więc towarzysza Łysenko: gdzie są analizy nieudanych prób stosowania metody jarowizacji? Dla ówczesnych bossów radzieckiego rolnictwa pytanie to było bądź niezrozumiałe, bądź – jeśli je rozumieli – mieli je za wrogie. Ani nie mieli danych, by na nie odpowiedzieć, ani odpowiadać nie chcieli czy to innym czy nawet sobie. Sami też ostatecznie byli odpowiedzialni przed władzą najwyższą i też dobrze wiedzieli, jakich sprawozdań się od nich oczekuje.

Ale to nie tylko brak wykształcenia, lecz przede wszystkim system sprawowania władzy, w jaki byli uwikłani, decydował o ich postępowaniu. Pierwszy patron Łysenki – Jakowlew – był człowiekiem bez wykształcenia zawodowego. Ale jego następcy – Wenediktow, Mackiewicz, Łobanow – byli absolwentami Akademii im. Tiemieriazjewa, najlepszej szkoły rolniczej w kraju, i to z czasów gdy wykładano tam jeszcze prawdziwą biologię, zaś biologia radziecka była wówczas jedną z lepszych w świecie. Problem polegał na tym, że swe kierownicze funkcje państwowe pełnili oni nie jako specjaliści, lecz jako politycy. Toteż działali wedle reguł funkcjonowania systemu władzy, nie zaś wedle tych, które narzucałoby otrzymane wykształcenie. Wszyscy trzej wymienieni działacze najpierw bezwarunkowo popierali Łysenkę, zaś później, gdy ich zwierzchnicy postanowili skończyć z jego monopolem, porzucili swego protegowanego. Myślę, że wbrew technokratycznym złudzeniom sprawowanie kierowniczych funkcji w aparacie takiej władzy przez ludzi nawet z autentycznymi dyplomami nie zmienia zasad funkcjonowania systemu. O wiele częściej deprecjonuje dyplomy.

Wymienione wyżej okoliczności z pewnością nie wyczerpują wszystkich powodów poparcia, jakim cieszył się Łysenko u szefów radzieckiego rolnictwa. Sądzę, że powyższe uwagi rzucają jednak pewne światło na mechanizmy, które torowały drogę tej niezwyklej karierze i które z nieszkodliwego w innych warunkach politycznych dziwaka uczyniły groźne zjawisko. O innych mechanizmach będzie mowa jeszcze niżej. Obecnie natomiast spróbujemy się przyrzec, w jaki sposób Łysenko zdobywał monopol na terenie akademickim.

Szarlatan wśród uczonych

Przez długie lata wielu laików sądziło, że Łysenko dokonał ważnych odkryć w dziedzinie fizjologii roślin, pobłądził natomiast, gdy z odkryć tych próbował wyprowadzić wnioski teoretyczne dotyczące mechanizmów dziedziczenia. Do utrzymywania się tego błędnego, jak widzieliśmy, przekonania przyczyniało się również poparcie, którym cieszył się u władz rolnictwa. Istotnie trudno było przypuszczać, by popierały one tak długo i takim kosztem stosowanie metod bądź to nieskutecznych (jak jarowizacja), bądź szkodliwych (jak letnie sadzenie kartofli czy później buraków), czy wreszcie katastrofalnych (jak gniazdowe sadzenie drzew). Mogło się więc wydawać, że problem polega na znalezieniu właściwego teoretycznego wyjaśnienia tych odkryć.

Mniej więcej do 1936–37 r. takie – nazwijmy je kompromisowym – stanowisko wobec łysenkizmu zajmowało wielu radzieckich biologów, nie tylko tych, którzy mieli sympatie do lamarkizmu, ale również genetyków, jak N. Wawiłow, G. Meister czy B. Zawadowski, dla których lamarkistowska koncepcja dziedziczenia cech nabytych stanowiła miniony etap rozwoju nauki. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu wypowiedzi genetyków w tym duchu były szczere, w jakim zaś miały na celu uniknięcie otwartego konfliktu z władzami popierającymi Łysenkę oraz ograniczenie sporów do kwestii teoretycznych, do których władze nie musiałyby się wtrącać. Można przypuszczać, że jak to zwykle w takich przypadkach bywa, w grę wchodziły zarówno względy merytoryczne jak i taktyczne. Zajmując ważne stanowiska organizacyjne w nauce radzieckiej N. Wawiłow i G. Meister znajdowali się niewątpliwie pod szczególnie silną presją władz domagających się od nauki na ich sposób rozumianej „jedności z praktyką”. Nacisk ten, przynajmniej do czasu, musiał skłaniać tych uczonych do szukania kompromisu. (Mieli za to później drogo zapłacić.) N. Wawiłow np. przyczynił się w znaczym stopniu do wylansowania I. Miczurina, nie ustępując mu jednak w niczym, gdy chodziło o zagadnienia teoretyczne. Podobne stanowisko zajmował teraz wobec Łysenki. Wszystko to mogło mieć sens przy założeniu, że Łysenko i jego zwolennicy, których pozyskał w Instytucie w Odessie (M. Olszański, D. Dołgu-

szin, P. Plesiecki, I. Głuszczenko) podporządkują się regułom rozstrzygania sporów teoretycznych przyjętych w nauce, że jednym słowem zachowywać się będą jak uczeni.

Kompromis nie jest jednak stanowiskiem, na które może przystać szarlatan. On z góry wie, co jest słuszne, i stawia swój intuicyjny sąd wyżej od przyjętych reguł postępowania badawczego. Toteż komplementy składane przez uczonych za wybitne osiągnięcia praktyczne Łysenko przyjmował jako należną mu daninę, a im więcej mu ich składano, tym bardziej stawał się agresywny oraz pewny swego w kwestiach teorii. W pewnym sensie miał rację – gdyby bowiem istotnie niektóre z proponowanych przez niego metod były skuteczne, w co wierzył, musiałby też mieć rację w kwestiach teorii, w których nawet „kompromisowcy” nie chcieli mu ani na jotę ustąpić.

Dziś, z perspektywy czasu, trudno wątpić, że to kompromisowe stanowisko ułatwiało Łysence zdobywanie terenu w nauce akademickiej, nobilitowało go bowiem jako stronę w rzeczywistym sporze naukowym, na co nie zasługiwał. Ułatwiało nie dlatego, że było pryncypialnie niesłuszne – przeciwnie, było zgodne z naukowym *savoir vivre* – lecz z tego powodu, że normalne mechanizmy ujawniania szarlatanów w nauce miały zostać zablokowane, zaś demokratyczny *savoir vivre* życia naukowego popadał w coraz ostrzejszy konflikt z utrwalającym się systemem rządzenia i zarządzania, któremu miało podlegać całe życie społeczne, w tym i nauka. To właśnie „kompromisowcy” stali się głównym celem ataku Łysenki, im bowiem najłatwiej było wykazać niekonsekwencję. Jeśli można się czemuś tu dziwić, to nie tyle wynikiem tego konfliktu, ile raczej temu, że pełny sukces na terenie akademickim łysenkiści zdołali osiągnąć dopiero w 1948 r.

W każdym razie w poł. lat trzydziestych tylko stosunkowo nieliczna grupa uczonych – m.in. akademicy Serebrowski, Konstantinow, Lisycyn oraz pracujący w ZSRR późniejszy laureat nagrody Nobla, Amerykanin H. G. Muller – zajęła od początku wobec Łysenki stanowisko bezkompromisowe. Uczeni traktowali go słusznie jako szarlatana i uważali, że jego metody badawcze oraz sposób dyskusji z miejsca dyskwalifikują go jako partnera naukowych sporów. Znakomita większość uczonych starała się natomiast,

jeśli tylko mogła, trzymać się w ogóle z dala od całej tej dyskusji i robić swoje. Neutralność taką o wiele łatwiej było oczywiście zachowywać tym badaczom, którzy bezpośrednio nie zajmowali się procesami dziedziczenia.

Stanowisko kompromisowe zdawało się w tych latach odpowiadać jeszcze również władzom partyjnym odpowiedzialnym za naukę, które – inaczej niż szefowie rolnictwa – aż do 1948 r. nie zdecydowały się na bezwzględne opowiedzenie się w sporze po stronie łysenkizmu i do tego czasu nie udzieliły zgody na absolutny monopol Łysenki na terenie akademickim, tj. w Akademii Nauk ZSRR, w WASCHNIL-u, w Akademii im. Tiemieriazjewa i w czołowych uniwersytetach.

Dwie kolejne dyskusje zorganizowane – pierwsza w 1936 r. przez WASCHNIL i druga w 1939 r. przez redakcję centralnego pisma ideologicznego „Pod znamiem marksizmu” – były próbami uzyskania takiego kompromisu. Pamiętać przy tym należy, że w rozumieniu władz, inaczej niż uczonych, dyskusja miała być nie sposobem rozstrzygnięcia spornego problemu, lecz sposobem doprowadzenia do tego, by jej uczestnicy przyjęli z góry ustalone „jedynie słuszne” stanowisko. Jest to normalne rozumienie kompromisu przez totalitarną władzę. Otóż w artykule opublikowanym w „Prawdzie” tuż przed dyskusją 1936 r. ówczesny kierownik wydziału nauki KC, K. J. Bauman, pisał o potrzebie połączenia wszystkich sił uczonych dla dobra radzieckiego rolnictwa. Podkreślał, że Łysenko ze względu na jego wielkie zasługi praktyczne powinien cieszyć się poparciem uczonych. Na temat zaś sporu teoretycznego powiedział tylko tyle, że *pomimo iż w wielu kwestiach T. D. Łysenko nie zgadza się z poglądem dominującym wśród genetyków, ci nie powinni lekką ręką odrzucać jego stanowiska, lecz przysłuchiwać się jego argumentom i rzetelnie z nim dyskutować*. Znaczyło to w sposób oczywisty, że władze najwyższe, choć popierają Łysenkę, ocenę jego poglądów pozostawiają nadal uczonym i liczą na pogodzenie jego „agrobiologii” z genetyką. Taki też w intencji władz powinien być wynik dyskusji.

Głównymi referentami na sesji w 1936 r. byli akademicy A. Serebrowski i G. H. Muller, z drugiej zaś strony I. Prezent, od kilku lat główny doradca Łysenki w sprawach teo-

retetycznych i ideologicznych, z wykształcenia filozof. (Jeszcze w 1930 r., tj. przed nawróceniem się na łysenkizm, I. Prezent wraz z trzema biologami-marksistami: I. Agolem, S. Lewitem oraz tymże Serebrowskim, dowodzili na teoretycznej konferencji biologów, że genetyka jest całkowicie zgodna z filozoficznymi założeniami materializmu dialektycznego, ten zaś nie da się pogodzić z lamarkizmem i witalizmem.)

Referat I. Prezenta na sesji dowodził jego całkowitej ignorancji w kwestiach genetyki. Uczeni, którzy chcieli na sesji uzyskać od Łysenki choćby odcienie się od bredni Prezenta, usłyszeli w odpowiedzi: *Akademik Serebrowski nie ma racji twierdząc, że Łysenko przeczy istnieniu genów. Ani ja, ani Prezent nigdy nie przeczyliśmy ich istnieniu /.../ Przeczymy natomiast istnieniu cząstek, korpuskuł dziedziczności. Czy jeśli człowiek przeczy istnieniu cząstek temperatury, znaczy to, że przeczy istnieniu swoistej substancji temperatury, czy znaczy to, że przeczy istnieniu temperatury jako jednej z właściwości stanu materii? Przeczymy istnieniu korpuskuł, molekuł swoistej „substancji dziedzicznej”, ale zarazem nie tylko uznajemy, ale niepomierne lepiej od was, genetyków, rozumiemy dziedziczną podstawę form roślinnych.*

Bertrand Russell pisał kiedyś, że istnieją twierdzenia, którym nie przysługuje nawet ten przywilej, by można było o nich orzec, iż są fałszywe. Było oczywiste, że o żadnej dyskusji i kompromisie z łysenkistami nie może być mowy. Wbrew oczekiwaniom władz konferencja nie tylko nie doprowadziła do jedności – bo nie mogła – lecz przyczyniła się do dalszej polaryzacji stanowisk. Wskazywała przede wszystkim na brak jakiegokolwiek consensus omnium, w którego ramach dyskusja mogłaby się toczyć. Coraz bardziej aktualne stawało się pytanie, czy i jak daleko posunąć się władze w forsowaniu stanowiska Łysenki.

Jeszcze w 1932 r. międzynarodowe stowarzyszenie genetyków powierzyło organizację kolejnego kongresu genetyki uczonym radzieckim. Miał się on odbyć w 1937 r. w Moskwie. Decyzja ta była niewątpliwie wyrazem uznania dla osiągnięć genetyki w ZSRR. Teraz zaś odbycie kongresu w Moskwie stanowić by mogło mocny atut w walce z łysenkizmem. Ale wiosną 1937 r. J. Stalin wygłosił na plenum KC słynny referat „O niedociągnięciach w pracy partii

i o środkach likwidacji trockistów i innych zdrajców". Zaczęła się wielka czystka, która dotknęła również środowiska naukowe, w tym i biologów. Łysenkiści nie omieszkali wykorzystać tej sytuacji. Oto kilka fragmentów ich artykułów z prasy tego okresu.

I. Prezent: *Podczas gdy radziecki świat naukowy rozszerzył front walki przeciwko tendencjom metafizycznym w biologii, podczas gdy zgodnie ze wskazaniami I. Miczurina i T. Łysenki wszyscy staramy się przebudować radziecką biologię na gruncie twórczego darwinizmu podniesionego do rangi marksizmu, ciemne siły podjęły próbę przeciwstawienia się tej twórczej orientacji radzieckiej biologii /.../ Trockistowski bandyta, genetyk Agol [dopiero co aresztowany sekretarz Ukraińskiej Akademii Nauk, z którym 7 lat temu Prezent wspólnie bronił genetyki – S.A.] próbował się zamieszać w umysłach radzieckich biologów lansując metafizykę Weismanna. Jakże znaczący to fakt, że zagraniczni genetycy wystąpili zaraz w jego obronie. /.../ Również przyjaciel trockistów, wróg ludu Bucharin, podpisuje się pod metafizycznymi aspektami genetyki i twierdzi, że teoria zmienności przez rekombinację genów oparta na prawach Mendla, koncepcja linii czystych Johansena i uogólnienia amerykańskiej szkoły Morgana stanowią ostatnie słowo w rozwoju darwinizmu. Tenże Bucharin okazywał wiele szacunku i sympatii N. Wawilowowi (Wawilow jest wciąż prezesem WIR-u i wiceprezesem WASCHNIL-u – S.A.).*

M. Dunin: *Wszyscy ludzie radzieccy wiedzą obecnie, kim są tacy uczeni, jak akademik Kolcow czy akademik Serebrowski oraz pozostali rycerze genów. Ale fakt, że wróg ludu Bucharin zwalczał u ich boku darwinizm, był dotąd przemilczany. Nie miejcie zaufania do potwora, który pod owczą skórą kryje wilcze zęby.*

I. Jakowlew: *Trzeba zapewnić, aby genetyka stała się w przyszłości nauką, a nie lokajem Goebbelsa.*

I jeszcze raz Prezent: *Nie jest ważne, kto kogo uczył – faszyści Kolcowa, czy Kolcow faszystów. Kierując się programem Kolcowa faszyści zabijają tysiące istot ludzkich. Dla Kolcowa wszakże to tylko tysiące fenotypów. Winą Kolcowa było zajmowanie się genetyką człowieka i chorobami dziedzicznymi.*

Tego rodzaju publicznych denuncjacji były dziesiątki, jeśli nie setki. Niepubliczne można tylko podejrzewać².

Mimo to nie wydaje się, by wielka czystka w środowisku biologicznym miała za swe kryterium stosunek uczonych do łysenkizmu. Przebiegała ona tu raczej wedle tych samych „zasad” co we wszystkich innych środowiskach. Wśród jej ofiar byli nie tylko przeciwnicy Łysenki, ale i niektórzy jego zwolennicy. Co więcej, najbardziej zdecydowani przeciwnicy Łysenki nie zostali ani aresztowani, ani nawet pozbawieni pracy. (Dotyczy to Serebrowskiego, Zawadowskiego, Sabinina, Lisycyna, Konstantinowa, Kostowa, Rozanowa, Dubinina, Żebraka, Schmalhausena, Rappaporta, Żukowskiego, a nawet Kolcowa – bête noire łysenkistów, któremu wprawdzie odebrano instytut, ale go nie aresztowano.) Amerykański badacz historii nauki radzieckiej D. Joravsky podaje listę 82. uczonych-biologów represjonowanych (tj. co najmniej aresztowanych) w tych czasach. Znajdują się na niej 54 nazwiska osób, które publicznie żadnego stanowiska w sporze z Łysenką nie zajmowały, 12. zdecydowanych przeciwników Łysenki, 8. kompromisowców oraz 8. łysenkistów. Nawet jeśli autor książki nie dotarł do nazwisk wszystkich poszkodowanych, to wydaje się, że proporcje na tej liście odpowiadają z grubsza rozkładowi stanowisk w całości populacji radzieckich biologów w tym czasie: znakomita większość stroniących od angażowania się w konflikt, stosunkowo nieliczna grupa otwarcie zaangażowana w spór, a wśród nich znikoma wciąż mniejszość łysenkistów.

Nie znaczy to oczywiście, że terror nie przyczynił się do sukcesów Łysenki na terenie akademickim ani że łysenkiści nie próbowali wykorzystywać go do swych celów, czego próbki przytoczyłem. Przede wszystkim terror zastraszył niewątpliwie środowisko i skonformizował je w takim stopniu, jaki trudno tu opisać. Każda polemika teoretyczna, każda obrona własnych poglądów odbiegających od oficjalnych urastała teraz do poziomu bohaterstwa. Uległość i serwilizm zdawały się jedynym sposobem na przeżycie. Po drugie – łysenkiści zdołali w wyniku czystek uzyskać kilka ważnych stanowisk w nauce radzieckiej i zdobyć sobie w niej pierwszy przyczółek. Po aresztowaniu prezesa WASCHNIL-u, Murałowa, stanowisko to objął po nim sam Łysenko. Niemniej nominacje łysenkistów na zwolnione

stanowiska nie były regułą i po czystce stanowili oni nadal na terenie akademickim wprawdzie chałaśliwą i wojującą, ale mniejszość, na co nieustannie, aż do 1948 r. uskarżali się władzom. Genetyka nadal była wykładana, badania prowadzili uczeni z prawdziwego zdarzenia, w tym wielu już z młodszego pokolenia. Oni przede wszystkim kształcili młodzież i swych następców, co wywoływało szczególną furię zwolenników przodującej biologii. Uzyskali jednak tyle, że na uniwersytetach powołano *gabinety twórczego darwinizmu*. Były to placówki o charakterze ideologicznym, obsadzone przede wszystkim filozofami. Prezent kierował takimi gabinetami w uniwersytecie moskiewskim i leningradzkim. Po trzecie wreszcie, próby uwikłania sporów teoretycznych w biologii w kontekst polityczny i ideologiczny odegrały ogromną rolę na dłuższą metę. Pretensje Łysenkizmu do tego, iż jest jedyną prawidłową wykładnią marksizmu na terenie biologii, stały się głównym orężem w walce z genetyką na najbliższe ćwierćwiecze. Notabene, dyskusja 1939 r. odbywała się już nie w Akademii Nauk Rolniczych, lecz w redakcji „Pod znamieniem marksizmu”, co oznaczało, że stosunek do Łysenkizmu stał się sprawą ideologii.

Do analizy pretensji i argumentów w tej kwestii wypadnie jeszcze powrócić. Tu ograniczę się do stwierdzenia, że do 1948 r. nie znalazły one pełnej aprobaty najwyższej instancji. M. B. Mitin, główny kapłan od ideologii w tych latach, podsumowując dyskusję 1939 r. stwierdził znów, że uczeni powinni uznać praktyczne znaczenie agrobiologii i porzucić swą *arystokratyczną, pańską dla niej pogardę*, znaleźć dla niej miejsce w teoretycznej biologii. Łysenkiści natomiast – jak powiedział – powinni porzucić swój antyintelektualny, *machajewski* stosunek do genetyki. (Machajski był działaczem polskiego ruchu robotniczego; twierdził, że ruch proletariacki powinien pozbyć się intelektualistów, ci bowiem będą usiłowali stać się nową klasą panującą.) Mitin tak potraktował w dyskusji Prezenta, że Łysenko zapytał:

² Radziecka prasa ujawniła w ub. roku wiele donosów składanych na Wawilowa. W ub. roku również zrehabilitowano N. Bucharina (październik 1988 – S.A.).

³ W II cz. będzie mowa o sprawie N. Wawilowa, Sesji WASCHNIL-u w 1948 r., końcu kariery Łysenki po upadku Chruszczowa oraz o stosunku Łysenkizmu do marksizmu.

Towarzyszu Mitin, czy aby kopnąć mnie, musicie kopnąć Prezenta? Konferencja 1939 r. raz jeszcze ujawnia, że sensowna dyskusja między uczonymi a tysenkistami jest niemożliwa. Kto wie czy gdyby nie wojna, wydarzenia 1948 r. nie nastąpiłyby wcześniej.

Światowy Kongres Genetyki w Moskwie nie odbył się. Najpierw komitet organizacyjny, któremu przewodniczył Murałow, poprosił władze międzynarodowe o przesunięcie kongresu o rok; ale po aresztowaniach Meistera, Murałowa i Lewita na przełomie 1937/38 władze międzynarodowe ostatecznie go odwołały. Kontakty biologii radzieckiej z nauką światową zostały zerwane na blisko 20 lat³.

De la pathologie de la vie scientifique – le cas de T. D. Lyssennko

L'intérêt du – probablement – plus grave scandale scientifique de notre siècle que fut l'activité de l'autodidacte charlatan Trophim D. Lyssennko, dictateur durant 35 ans des sciences biologiques en URSS au détriment du développement de ces disciplines et de la communauté des biologistes dans son pays, n'est pas uniquement historique. Il révèle en

effet sur cet exemple extrême, les dangers qui pèsent sur la vie scientifique dans une situation où la science fait institutionnellement bloc avec l'économie de la politique (phénomène général à notre époque) et où, de surcroît, ce phénomène s'inscrit dans un système totalitaire d'exercice du pouvoir. Le texte ci-dessus en révèle les tenants et les aboutissants.



Brand Blanshard

Miejsce filozofii w rozumieniu świata*

Brand Blanshard (1892–1987) był przez wiele lat profesorem filozofii na Yale University. Studiował na uniwersytetach: Michigan, Columbia, Oxford, Harvard. W latach 1942–44 pełnił funkcję prezesa Wschodniego Oddziału Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego, zaś w latach 1955–56 – prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Teologicznego. Wykładał gościnnie na wielu uniwersytetach amerykańskich i brytyjskich, otrzymał wiele doktoratów honoris causa. Główne dzieła: „The Nature of Thought” (1939), „Reason and Goodness” (1961), „Reason and Analysis” (1962), „Reason and Belief” (1974) oraz „Four Reasonable Men” (1984). Nobilitowany na klasyka filozofii współczesnej wydaniem w 1980 r. w ramach The Library of Living Philosophers tomu „The Philosophy of Brand Blanshard”. W języku polskim jest dostępny tylko jeden jego tekst „Czy ludzie mogą być rozumni?” w: „Filozofia amerykańska”, wybrał i przeł. J. Krzywicki, Boston, Mass, 1958, s. 117–145.

Blanshard jest typowym przedstawicielem anglosaskiej filozofii idealistycznej wiązanej zwykle z takimi nazwiskami, jak Bradley, Bosanquet i Royce. Jego dociekania są skoncentrowane, jak sam powiedział, na „obronie rozumu przed współczesnymi atakami filozoficznymi”. Argumentuje na rzecz autonomii filozofii wobec nauk szczegółowych, w teorii poznania pokazuje słabości doktryn empirystycznych, w etyce krytykuje prądy sentymentalistyczne i subiektywistyczne, zaś współczesną teologię oskarża o fideizm. Ostatnia z jego książek ma charakter biograficzny – na przykładzie kilku filozofów pokazuje, na czym powinno polegać życie zgodnie z wymogami rozumu. Chociaż wielu też Blansharda trudno byłoby dzisiaj bronić, do jego dzieł warto sięgać chociażby dlatego, że są niedoścignionym wzorem filozofowania żywego, barwnego a zarazem precyzyjnego.

Tadeusz Szubka

* B. Blanshard. *The Philosophic Enterprise*, w: *The Owl of Minerva: Philosophers on Philosophy*, ed. and with an introduction by Charles J. Bontempo and S. Jack Odell, New York, McGraw-Hill Book Company 1975, s. 163–177. Przekład za bezinteresowną zgodą Autora i Redaktorów tomu. Artykuł został opatrzony następującą uwagą: „Tekst ten jest poprawioną wersją wykładu wygłoszonego jako Mahlon Powell Lecture w Indiana University w 1961 r. Drukowany jest obecnie po raz pierwszy i za zezwoleniem władz Uniwersytetu”.

I. Sądzę, że filozofię najlepiej rozumieć jako część starszego i szerszego przedsięwzięcia, przedsięwzięcia rozumienia świata. Dobrze będzie, jeśli wpierv ogólnie przyjrzymy się temu rozumieniu. Na początek zapytam, jaki jest jego cel, następnie – jakie są jego główne etapy, zaś później – jakie są drogi, którymi wkracza do niego filozofia.

Przedsięwzięcie, o którym mówimy, zmierza do zrozumienia świata. Co mamy na myśli mówiąc o rozumieniu – rozumieniu czegokolwiek? Mamy na myśli, jak sądzę, wyjaśnienie sobie tego czegoś. W porządku, ale co to znaczy wyjaśnić coś? Napotykamy pewien fakt lub zdarzenie, które jest dla nas niezrozumiałe. Co mogłoby uczynić je zrozumiałym? Pierwszym krokiem do odpowiedzi jest spojrzenie na nie jako na przypadek pewnej reguły. Oto cierpisz pewnego wieczoru z powodu straszliwego bólu głowy i przygnębiony zastanawiasz się dlaczego. Przypominasz sobie, że dopiero co zjadłeś dwa duże kawałki ciasta czekoladowego. Ból głowy wydaje się więc wyjaśniony. Nie jest już demonicznym intruzem przychodzącym nie wiadomo skąd. Oblaskawiłeś go i włączyłeś w obręb swojej wiedzy przez podciągnięcie go pod znaną regułę.

Jakiego rodzaju reguły służą do zrozumienia faktów? Są to zawsze reguły ustalające jakiś związek, czyli odnoszące fakt, który ma być wyjaśniony, do czegoś innego. Wyjaśniasz ból głowy przez podciągnięcie go pod prawo, które wiąże ów ból PRZYZYNOWO z czymś innym. W podobny sposób wyjaśniasz fakt, że figura na tablicy ma kąty równe dwóm kątom prostym, wiążąc LOGICZNIE ów fakt z czymś innym, wskazując mianowicie, że jest to trójkąt i że trójkąty jako takie mają tę własność.

Jak dotychczas takie podciągnięcie przypadku pod regułę daje nam wspaniałe wyjaśnienie. Ale przyjmijmy, że ktoś domaga się dalszego wyjaśnienia. Kiedy wyjaśniasz ból głowy przez odwołanie się do czekolady lub sumę kątów figury przez wskazanie na jej trójkątność, mówi on: *Tak, tak wiem o tym, lecz nie rozumiem, dlaczego ta reguła obowiązuje. Jak to wyjaśnicie?* Możemy dać jedynie taką samą odpowiedź jak poprzednio. Wyjaśnić regułę, to powiązać ją z jakąś inną regułą, z której ona wynika, tak jak wyjaśnić fakt lub zdarzenie, to powiązać go z jakimś innym faktem lub zdarzeniem. Kiedy da się tę regułę połączyć z inną, to

możecie ją wyjaśnić, kiedy zaś nie da się – nie możecie. Jesteście w stanie wyjaśnić, dlaczego trójkąt musi mieć kąty równe linii prostej, ponieważ da się pokazać, że musi być to prawdziwe, jeśli prawdziwe są pewne inne twierdzenia, które normalnie przyjmujecie bez wątpliwości. Czy możecie podobnie pokazać, że reguła mówiąca, iż czekolada powoduje ból głowy, wynika z jakiejś dalszej reguły? Bez wątpienia potrafiłby to wykazać specjalista od alergii. Pokazałby, że podczas przyswajania cząstek białka czekolady zostają uszkodzone pewne komórki twojego ciała i że zasada, iż jedzenie czekolady powoduje ból głowy, wynika z dalszej i ściślejszej reguły, że pewien rodzaj uszkodzenia komórek wytwarza pewien określony ból głowy. Ale dlaczego wówczas obowiązuje ta zasada? Dlaczego zmiana w komórkach ciała musi wytwarzać odczucie bólu? Wszystkie wyjaśnienia, jakie dotychczas tutaj zaproponowano, natrafiają na mur nie do przebycia. Dostrzegamy pewne zmiany w ciele, po których faktycznie następują zmiany w świadomości, ale nie mamy najmniejszego pojęcia dlaczego.

Dla tego, kto próbuje wyjaśnić swój świat, otwierają się w tym momencie dwie drogi. Doszedł on – a jeśli nie, to wkrótce dojdzie – do uogólnienia, którego nie może teraz wyjaśnić przez podciągnięcie pod coś bardziej ogólnego. Czy ma kontynuować swoją próbę? Prawdopodobieństwo, że to zrobi, będzie zależeć od tego, co uważa on za ideał wyjaśnienia. Dzisiejsi empiryści są w pełni zadowoleni kończąc swoje poszukiwania na regułach lub prawach, które jedynie stwierdzają ogólny związek. Pewnym zmianom w ciele towarzyszą zawsze pewne zmiany w świadomości. Dlaczego? Jest to głupie pytanie. Jeśli są one zawsze tak połączone, to o cóż więcej rozsądna osoba może pytać? Spadanie płatka śniegu, kropli deszczu lub meteora jest wyjaśniane przez podciągnięcie tego pod prawo grawitacji. Jeśli prawo to da się ściśle sformułować, jeśli można wykazać, że ziemia i płatek śniegu są tak powiązane, że przyciągają się wzajemnie z siłą zmieniającą się wprost proporcjonalnie do ich mas i odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości między nimi, to czegoż więcej można oczekiwać? Dałoby się zapewne znaleźć jeszcze szersze uogólnienia, z których wynika prawo grawitacji. Było to głównym przedmiotem zainteresowania Einsteina pod koniec jego życia

i miało to sens. Wszelako jeśli dalsze wyjaśnienie ma być czymś więcej, to jest to, jak utrzymuje empirysta, pogoń za błędnym ogniem. Każde wyjaśnianie faktu musi wcześniej lub później wejść w ślepią uliczkę. Musi się ono zatrzymać na jakimś uogólnieniu, które jest czystym stwierdzeniem faktycznego współistnienia i które jest nieprzejrzyste dla rozumu.

Ale jest też inny ideał wyjaśniania, ideał racjonalistów, do których i ja się zaliczam. Utrzymują oni, że kiedy zatrzymujemy się nad jakimś prawem, które jest jedynie stwierdzeniem powiązania, to wtedy nasze wyjaśnienie jest niezupełne i jesteśmy zobowiązani przynajmniej do PRÓBY wyjścia poza nie. Co skłania ich, aby tak powiedzieć? Otóż skłania ich do tego przecucie celu, do którego zdąża rozumienie, przecucie tego, co doprowadzi do kresu próbę wyjaśnienia. Kiedy pytacie: *Dlaczego?* poszukujecie pewnych odpowiedzi, ale jakich? Widzimy, że w stosunku do określonych odpowiedzi możemy ponowić to pytanie, zaś w stosunku do innych nie, ponieważ dotarliśmy już do kresu. Przyjmijmy, że zauważacie, iż dwie linie proste nie zamykają przestrzeni, lub że cokolwiek jest kolorowe, jest też rozciągle, lub że rzecz nie może zarazem mieć i nie mieć jakiejs własności. Przypuśćmy, że jakiś sprytny sceptyk zapyta was: *Dlaczego?* Czy moglibyście mu dać odpowiedź? Nie sądzę, ale nie dlatego, że istnieje jakaś nie znana wam odpowiedź, lecz ponieważ każdy, kto zrozumiał wasze stwierdzenie, będzie już znał odpowiedź i wszelkie tego typu pytanie będzie już głupie. Kiedy macie prawo, które łączy rzeczy na drodze samooczywistej konieczności, pytanie „dlaczego?” jest bezzasadne, gdyż posiadane przez was ujęcie jest właśnie tym, o które pytaście. Jeśli widzicie, że A musi być B, dalsze pytanie „dlaczego?” jest bezsensowne.

TYM, CZEGO POSZUKUJE ROZUM, A CO DOPROWADZIŁOBY POSZUKIWANIE DO KOŃCA, JEST UJRZANA KONIECZNOŚĆ. Tam, gdzie jest obecna, mamy to, czego chcieliśmy, gdzie jest nieobecna, nie osiągnęliśmy pełnego zrozumienia.

Racjonalista jest więc osobą, która przyjmuje, że poza każdym JEST stoi MUSI, że jeżeli śnieg jest biały, lub ogień płonie albo Jan jest przeziębiony, pytanie „dlaczego?” ma odpowiedź i ta odpowiedź ujawnia konieczność. Możecie zaprotestować: *Czy jesteście w stanie tego dowiedzieć? Czy naprawdę sądzicie, że skoro szukamy konieczności, to musimy*

ją znaleźć, czy naprawdę sądzicie, że rzeczy muszą być zrozumiałe, ponieważ to by nas zadowalało? Odpowiedź brzmi oczywiście: *Nie*. Filozof, który przyjmuje coś za prawdziwe, ponieważ chce, aby to było prawdziwe, oszukuje sam siebie. Ale jeśli nie mógłby przyjąć, że jest jakaś odpowiedź na jego pytania, nie miałby żadnego powodu do ich podtrzymywania. Dla krytycznego racjonalisty inteligibilność rzeczy nie jest ani konieczną konkluzją, ani arbitralnym założeniem, lecz postulatem, tzn. sądem, który dla praktycznych celów musi być przyjęty i który jest stopniowo potwierdzany przez doświadczenie, lecz którego nie można obecnie dowieść.

Racjonalista jest więc, jeżeli chcecie, człowiekiem wiary. Wierzy on, że można znaleźć we wszechświecie taką inteligibilność, która zadowoli jego intelekt, że jest zbieżność między rzeczywistością a jego ideałem intelektualnym, że w każdym punkcie istnieje odpowiedź na pytanie „dlaczego?” Ta wiara jest główną sprężyną jego usiłowań. Gotów jest ją porzucić, jeśli będzie musiał, ale nie wcześniej niż zostanie do tego zmuszony; jawne zaś niepowodzenie, o ile się da, będzie uważał jedynie za chwilowy zastój. A zresztą, jeśli nie ma odpowiedzi, to po co jej szukać? Można rzeczywiście powiedzieć, za Georgem Saintsburyem, że *kresem wszystkiego jest gmatwanina, lecz dobrze jest nie ulec jej zbyt szybko*. A właśnie oczekując, że natura będzie w każdym momencie stawiała przeszkody naszemu rozumowi, ulegniemy zbyt szybko.

Moja wiara jako racjonalisty sięga jeszcze dalej. Jeśli mnie zapytacie, dlaczego śnieg jest biały, lub dlaczego akurat czytacie te zdania, jestem skłonny, jak to już przyjąłem, powiedzieć, że istnieje inteligibilna, tzn. konieczna odpowiedź na to pytanie, bez względu na to czy ją znamy, czy nie. Niektórzy ludzie zgodziliby się z tym, lecz niechętnie uczyniliby następny krok wraz z racjonalistą. Krok ten to uznanie, że konieczność zachodzi nie tylko między czytaniem tekstu i czymś bezpośrednio go poprzedzającym, ale pomiędzy czytaniem tekstu a wszystkimi innymi zdarzeniami. Skłonny jestem sądzić, że gdybyście w tym momencie nie czytali tego tekstu, „Mona Lisa” nie wisiałaby w Luwrze. Zasadniczy argument jest następujący. Rozpocznijcie od przypuszczenia, że obecne zdarzenie nie zaszło i zapytajcie się, do czego to was zobowiązuje. Jeśli odrzucicie następnik,

musicie odrzucić również poprzednik, co znaczy, że odrzucając obecne zdarzenie, musicie odrzucić całe następstwo koniecznych przyczyn, które wiodły do tego zdarzenia, niezależnie od tego jak długi jest to łańcuch. Bardzo dobrze, usuńcie więc jakieś odległe ogniwo tego łańcucha i cóż wtedy? Wszystkie zdarzenia wynikające z niego jako konieczne skutki będą wtedy przypuszczalnie inne, a ponieważ związki przyczynowe rozchodzą się w wielu kierunkach, duża część obecnego świata będzie nieuchronnie inna.

Skonkretyzujmy ten argument. Czy jest jakieś odległe zdarzenie w historii, z którego może być wywiedzione, że czytacie ten tekst? Jest ich nieskończenie wiele. Wymienię jedno. W 490 r. przed Chr. odbywała się rada wojenna na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na greckie wybrzeże. Rada składała się z 11. dowódców niewielkich greckich sił, którzy rozważali, jak się zachować wobec olbrzymiej armii perskiej, która poniżej przybijała do brzegu. Znali zamiar tej armii. Było nim zniszczenie Aten. Główny wódz, Kallimach, zarządził głosowanie rady czy stoczyć bój, czy nie. Głosowanie wypadło pięć do pięciu i jemu przypadł decydujący głos. Opowiedział się za natychmiastowym atakiem i wkrótce zapłacił za to życiem na polach Maratonu, nie zdając sobie sprawy, że swoim głosem zadecydował o losach zachodniego świata. Historyk sir Edward Creasy przekonująco dowodzi, że gdyby Ateny upadły, to wraz z nimi upadłyby i Grecja, zaś wraz z upadkiem Grecji nauka, filozofia i sztuka Zachodu zostałyby zniszczone w swej kolebce. Prawdopodobnie nikt nie słyszałby nigdy o Platonie, Archimedesie i o Leonardo da Vinci.

Krótko mówiąc, zaprzeczcie, że czytacie ten tekst, prześledźcie wstecz strumień przyczynowania, a następnie podążajcie wprzód rozbiegającymi się liniami, a nie będziecie mogli z przekonaniem powiedzieć, że Leonardo żyłby lub w ogóle malował, nie mówiąc już o tym, że jego arcydzieło wisiałoby w Luwrze. Sądzę więc, że każde zdarzenie we wszechświecie jest tak właśnie, bezpośrednio lub pośrednio, powiązane z każdym innym. Według mojego poglądu, którego nie mogę tutaj dowodzić, przyczynowość wiąże się z koniecznością. Trzeba przyjąć, że wszechświat jest zarazem przyczynowym i inteligibilnym systemem, w którym

każda część wiąże się koniecznie z każdą inną. Całkowite wyjaśnienie czegokolwiek zawierałoby w końcu wszystko. Świat jest całością, w której nie ma żadnych przypadków ani nie powiązanych ze sobą elementów.

II. Droga rozumu, na której filozofia jest tylko jednym z etapów, to powolne, uporczywe wspinanie się do wizji tej całości. Wiedzie ona przez cztery stopnie, tj. dziecięstwa, zdrowego rozsądku, nauki i filozofii. Miejsce filozofii w tym przedsięwzięciu przedstawi się nam jaśniej, jeśli prześledzimy nasze kroki przez te wcześniejsze etapy.

Dla każdego z nas przygoda umysłu zaczyna się w grzęzawisku, tak daleko od miejsca gdzie obecnie się znajdujemy, że nie możemy tego zobaczyć ani jasno sobie wyobrazić. Rozpoczynamy od doznawania wrażeń, *chaosu huczących, brzęczących* wrażeń, które nic nie oznaczają. Tym, co wyciąga nas z tego pierwotnego grzęzawiska, jest ukształtowanie się na nim stałych wysepek, zespołów jakości, które sklejają się i zachowują się w stały sposób. Jest triumfem kruchego rozumu, gdy dziecko może uchwycić jakąś stałą wiązkę jakości jako butelkę, zaś inną – jako grzechotkę. Przedziera się ono do poziomu zdrowego rozsądku, na którym przede wszystkim żyjemy.

Przez świat zdrowego rozsądku rozumiem świat rzeczy i osób. Dziecko dokonuje przejścia do tego świata w latach, które Bertrand Russell nazwał najważniejszymi w życiu każdego – między pierwszym a drugim rokiem. O tej najbliższej nam dziedzinie pragnę poczynić dwa spostrzeżenia. Po pierwsze, że jest to konstrukcja intelektualna, zaś po drugie, że nie jest to nasz stały dom.

Po pierwsze jest konstrukcją. We wrażeniach rzeczy nigdy nie są nam dane w całości. To, co widzimy spostrzegając czerwoną piłkę, musi być uzupełnione przez interpretację opartą na naszym poprzednim doświadczeniu, że ma ona inną stronę. Zdrowy rozsądek jest przeświadczony, że pewne rzeczy, które widzę jako poruszające się, są osobami posiadającymi uczucia i idee zbliżone do moich, aczkolwiek jest to przeskok metafizyczny, który nie może być nigdy bezpośrednio sprawdzony. Dalej, wierzy, że kiedy ty i ja patrzymy na piłkę, widzimy tę samą rzecz – śmiała i wysoce wątpliwa teoria. Rzeczywiście, głowa zwykłego człowieka

jest pełna teorii dotyczących mężczyzn, kobiet, cudzoziemców, artystów i komunistów, zaś jego wierzenia religijne są przepełnione metafizyką.

Druga uwaga, którą należy poczynić, jest następująca: teoria ta jest w dużej mierze zła. Teoria poznania, którą posiada zwykły człowiek, jego wierzenia religijne i jego uogólnienia o rzeczach i ludziach, zawarte często w przysłowia, są pełne niekonsekwencji. *Nie dbaj o grosze* – mówi i dodaje: *Do grosza grosz, a napelni się trzos*. Z niewzruszonym spokojem przyjmuje oba te stwierdzenia.

W świecie zdrowego rozsądku rozum nie może więc znaleźć stałego mieszkania lub miejsca postoju. Musi przejść do nauki. Postęp ten nie jest jakimś nagłym skokiem do nowego porządku lub wymiaru. Nauka, jak mawiał T. H. Huxley, jest udoskonalonym i uporządkowanym zdrowym rozsądkiem. Świat zdrowego rozsądku to teoretyczna konstrukcja, która była budowana przez około 50 tys. wieków prób i błędów i znaczną część tej konstrukcji otrzymujemy bez większego wysiłku jako spuściznę. Porządek nauki jest superstrukturą, której większość zbudowano w ostatnich trzech wiekach. Ale pomiędzy tymi dwoma strukturami istnieje ciągłość i nasi następcy zajmą, być może, wyższe piętra tak samo bez wysiłku, jak my zajmowaliśmy piętra niższe. Wszelako, aby przejść od niższego do wyższego poziomu, należy pokonać dwie kondygnacje schodów, pierwsza prowadzi na nowy poziom abstrakcji, zaś druga na nowy poziom ścisłości.

Po pierwsze abstrakcja. Fizyk jako człowiek może bardzo interesować się Jane Doe jako osobą, ale jako naukowiec może interesować się nią trochę albo nie interesować się nią w ogóle. Rozkłada ją na różne własności i studiuje je osobno. Pod względem masy nie da się jej odróżnić od worka ziemniaków i jeśli spuścić ją z pochyłej wieży, nabierze takiego samego przyspieszenia. Zainteresowanie, jakim w nauce cieszy się prawo, jest wprost proporcjonalne do jego ogólności, zaś nauka jest tym ogólniejsza, im bardziej abstrakcyjne są jakości związane przez jej prawa.

Po drugie ścisłość. Naukowiec dopóty nie będzie usatysfakcjonowany, dopóki korelowane własności nie zostaną zmierzone i dopóki zmiany tych własności nie zostaną ujęte jako wzajemne funkcje. Każdy może zauważyć jabłko spa-

dające z drzewa lub wzrastające ciśnienie w czajniku z wrzącą wodą, lecz trzeba było Newtona z prawem powszechnego ciążenia, żeby opisać, co się dzieje z jabłkiem, i Boyle'a z jego prawem odwrotnej zależności objętości i ciśnienia, aby opisać, co się dzieje w czajniku.

III. Przejście od zdrowego rozsądku do nauki nie jest przejściem do nowego rodzaju myślenia, lecz udoskonaleniem już zachodzących procesów. Takie samo jest też przejście od nauki do filozofii. Ustawianie nauki i filozofii w roli rywalek jest wielkim błędem, gdyż zachodzi pomiędzy nimi ciągłość. Filozofia, która ignoruje naukę, będzie prawdopodobnie budowała zamki na piasku, zaś nauka, która ignoruje filozofię, będzie dogmatyczna lub krótkowzroczna, lub zarazem taka i taka. Filozofia, tak jak ja ją pojmuję, jest związana z nauką, jest integralną częścią tego samego przedsięwzięcia. Dlatego obstaję przy tym, aby wznieść się do niej drogą nauki.

Czy należy pójść dalej? Wielu ludzi w naszych czasach mówi, że nie. *To, co jest wiedzą, jest nauką* – zauważa Russell – *a co nie jest nauką, nie jest wiedzą*. Zwykło się mówić, że Anglikom oddano morze, Francuzom ląd, zaś Niemcom przestworza. Przez przestworza rozumie się tutaj oczywiście tę sferę, w której, jak się wydaje, żyją filozofowie. I jest tak istotnie od czasu, kiedy Tales wędrując z głową w chmurach wpadł do studni. Muszę przyznać, że mam wiele sympatii dla tych krytyk. Filozof, który wyrokuje o bycie i niebycie naśladując rzekomą regułę dra Johnsona, aby nigdy nie używać jednosylabowego słowa, jeśli można znaleźć sześćosylabowe, wydaje mi się gorszy od nudziarza. Traktuje się go jak specjalistę w jasnym myśleniu a zatem i w jasnym mówieniu. Dlatego też kiedy pojawi się publicznie w stanie logicznego i językowanego rozkojarzenia, szukając po omacku słów, a w gruncie rzeczy idei, nie przynosi on żadnego dobra ani filozofii, ani edukacji. Nie taką filozofię uprawiali ci, którzy znali swoje rzemiosło – McTaggart, Moore, Broad, Price, Lovejoy. Z pewnością każdy, kto zrozumie tych filozofów, nie może nie uznać doniosłości tego, co usiłowali oni zrobić. Czegóż więc takiego usiłowali oni dokonać?

Próbowali uzupełnić dzieło nauki przynajmniej w dwóch aspektach. Jeśli nasz głód rozumienia ma być zaspokojony, nauka musi być rozszerzona w obu tych aspektach, ale żadnym z nich naukowcy nie są zainteresowani. Logicznie rzecz biorąc filozofia poprzedza naukę i kontynuuje swą pracę, gdy nauka zakończyła już swoją. W szerokim widmie wiedzy nauka zajmuje pasmo centralne. Ale widmo jest szersze niż jego widzialna część. Z jednej strony poza czerwonym krańcem widma znajduje się szeroki pas promieni podczerwonych, zaś po drugiej stronie, za fioletowym krańcem, znajdują się promienie ultrafioletowe. Filozofia zajmuje się podczerwienią i ultrafioletem nauki, które współbiegną z centralnym pasmem, lecz są subtelniejsze i trudniejsze do wyróżnienia.

Weźmy najpierw czerwony kraniec. Rozważmy, w jakim sensie filozofia poprzedza naukę. Naukowiec przyjmuje na wiarę wiele pojęć i założeń roboczych, którymi się posługuje. Jeśli zechce, może je zbadać i niektórzy naukowcy to robią. Większość jednak z tego rezygnuje, gdyż czekając na uzyskanie jasności odnośnie do tych trudnych podstawowych idei nie mogliby nigdy dojść do tego, co ich najbardziej interesuje. Byłoby jednak absurdem pozostawić te podstawowe idee całkowicie nie zbadane. Ta poniekąd niewdzięczna wstępna praca jest zadaniem filozofa.

Zajmiemy się obecnie owymi nie zbadanymi ideami, które występują w postaci pojęć i założeń. Zaczniemy od pojęć.

Zdrowy rozsądek i nauka używają ciągle małych, jednosylabowych słówek, które wydają się zbyt znane i być może nieważne, aby troszczyć się o ich definicje. Mówimy: *Nie mam czasu; W tym samochodzie jest mało przestrzeni; Obraził się bez przyczyny; Postradał rozum; Myślę, że ten wyrok jest niesprawiedliwy*. Rozważmy używane słowa: „czas”, „przestrzeń”, „przyczyna”, „dobry”, „prawdziwy”, „rozum”, „sprawiedliwy”, „ja”. Gdyby ktoś nas zapytał: *Co rozumiesz przez „ja”?*, lub pytając o godzinę usłyszałby: *Czymże jest czas?* prawdopodobnie odpowiedziałby: *Nie bądź głupi lub za św. Augustynem: Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem*. Podejrzewam, że to ostatnie stwierdzenie jest trafną odpowiedzią odnoszącą się do wszystkich tych słów. Na nasz codzienny użytek wiemy wystarczająco dobrze, co one znaczą, lecz myślenie

o nich ujawnia coraz większe głębie nieoczekiwanego znaczenia. Fakt ten ukazuje zarówno siłę jak i słabość obecnej filozofii lingwistycznej. Zapewne jest prawdą, jak ukazuje ta szkoła, że głównym zadaniem filozofii jest definiowanie słów. Pierwszym wielkim wzlotem filozofii były próby definiowania przez Sokratesa pewnych kluczowych słów życia praktycznego, takich jak: „sprawiedliwość“, „pobożność“, „umiarkowanie“, „odwaga“. Znaczenie tych słów okazuje się jednak zaskakująco nieuchwytnie. Sokrates próbował uchwycić ducha sprawiedliwości w 10. księgach „Państwa“ i zaledwie dotknął go przy końcu. Zauważył, że ujęcie znaczenia tych powszechnie używanych słów rozwiązałoby wiele najgłębszych problemów etyki i metafizyki. Musimy tu dodać, że Sokrates nie był filozofem języka potocznego. Nie był ateńskim Noahem Websterem zbierającym zabrudzone monety, które były aktualnie w obiegu. Przeciwnie, znajdował szczególną przyjemność w pokazywaniu, że na poziomie potocznego zwyczaju językowego znaczenia są niespójne i miesza się ze sobą. Tylko przez ich oczyszczenie i poprawienie możemy dotrzeć do stałych znaczeń.

Naukowiec, który usiłuje ustalić prawdziwą przyczynę grypy, nie może przerwać swoich eksperymentów do czasu uwyrażnienia natury prawdy lub pojęcia przyczynowości. Politolog, który utrzymuje, że demokracja jest pod pewnymi względami lepsza od komunizmu, nie może milczeć aż do czasu, kiedy jego koledzy zgodzą się co do definicji dobra. Ludzie ci muszą wykonywać swoją pracę i mają słuszną, że nie zatrzymują się i nie dumają nad sprawami podstawowymi. Ale przecież idee te są podstawowe i musimy ich ciągle używać w naszym myśleniu. Absurdem byłoby też, gdyby badania zmierzały do uwyrażnienia spraw stosunkowo nieważnych, natomiast nikt nie usiłowałby uyskać jasności co do najważniejszych. Odpowiednimi osobami do podjęcia takiego wysiłku są niewątpliwie filozofowie. Jeden z moich przyjaciół-filozofów usiadł w pociągu obok kupca, który rozpoznawszy pokrewną mu duszę zaczął szeroko rozwódzić się o swojej branży. *A jaka jest pana branża?* – zakończył. *Pojęcia* – odpowiedział filozof. Zadowolilo to kupca i nas powinno też zadowolić. Do branży filozofa należą pojęcia, i to takie kluczowe pojęcia, jak prawda, poprawność, wartość, poznanie. Bez nich nie

można rozpocząć naukowego myślenia, zaś naukowiec nie ma czasu ani ochoty ich badać.

Sugerowaliśmy, że naukowiec woli przekazać innym badanie nie tylko podstawowych pojęć, lecz także podstawowych założeń. Czy istnieje jakiś przyrodnik, który z góry nie zakłada takich oto założeń: że dowiadujemy się o faktach z porządku fizycznego na drodze spostrzegania; że prawa naszej logiki stosują się do porządku fizycznego; że istnieje intersubiektywna przestrzeń i czas, w których zachodzą zdarzenia i do których my wszyscy mamy dostęp; że każde zdarzenie ma jakąś przyczynę; że w podobnych okolicznościach zajdzie i zawsze będzie zachodziło zdarzenie tego samego rodzaju; że powinniśmy zawsze dostosowywać stopień akceptacji jakiegoś sądu do siły przemawiających za nim racji. Wszystko to są sądy o oibrzymiej wadze. Naukowiec czyni z nich użytek codziennie. Jeśli któryś z nich byłby fałszywy, to cały jego program byłby narażony na niebezpieczeństwo. Nie są to jednak sądy naukowe. Są one przyjmowane w równej mierze przez wszystkie nauki, tkwią w każdej z nich, a mimo to nie są własnością żadnej. Niektóre z nich lub nawet wszystkie mogą być nieprawdziwe, dlatego absurdem byłoby pozostawić je nie zbadań. Ale naukowiec byłby skonsternowany, jeśli przed posłużeniem się teleskopem lub mikroskopem musiałby rozstrzygnąć kwestię, czy poznanie jest możliwe do osiągnięcia na drodze spostrzeżenia, lub czy jest możliwa logika bez ontologii. Naukowcy rozważają czasami te zagadnienia i ich poglądy są zawsze dobrze widziane, lecz na ogół i zupełnie świadomie skłaniają się do pozostawienia ich specjalistom. Zaś specjalistami od tych problemów są filozofowie.

Mam nadzieję, że jest teraz jasne, co rozumie się przez powiedzenie, że filozofia poprzedza naukę. Poprzedza ją w tym sensie, że bada główne pojęcia i założenia, od których naukowcy rozpoczynają swą pracę. Nauka zależy logicznie od filozofii. Gdyby, jak to utrzymywali Hume i Carnap, filozofia skutecznie okazała, że każde odniesienie się do niezmysłowego a istniejącego bytu jest bezsensowne, fizyka, która mówi o elektronach i fotonach, musiałaby się wycofać ze swego interesu lub dokonać radykalnej rewizji znaczenia używanych przez siebie terminów. Gdyby, jak sądzili James, Schiller i Freud, filozofia skutecznie okazała,

że nasze myślenie jest nieuchronnie związane z naszymi impulsami i emocjami, wtedy nauka jako próba dotarcia do bezstronnej i obiektywnej prawdy byłaby unicestwiona jeszcze przed rozpoczęciem. Filozofia nie zajmuje się jedynie wykonywaniem filigranowych ozdób na pałacu nauki, ale dostarcza mu fundamentów.

IV. Jeśli filozofia poprzedza naukę, to także kontynuuje swą pracę po zakończeniu pracy naukowca. Każdą naukę można pojąć jako długotrwały wysiłek, aby odpowiedzieć na jedno wielkie pytanie. Fizyka pyta: *Jakie są prawa ruchu materii?* Biologia zapytuje: *Jakie struktury i zachowania są ujawniane przez organizmy żywe?* Każda nauka zajmuje się pewnym obszarem przyrody i stara się nie wychodzić poza własne granice. Ale przyroda nie ma granic. Ruch elektronów trwał i podczas pisania „Hamleta”, i w czasie wystąpienia Lenina. Kto ma badać tę ciągłość? Kto ma się zastanawiać nad tym, czy fizyk pracowicie myszkujący w swojej dziurze może wydrążyć tunel do teologa niespokojnie kopiącego na swoim gruncie? Z pewnością i tutaj jest zadanie, które tylko filozof może wykonać. Jeden ze sposobów wykonania tego zadania, którego ja sam nie uważam za właściwy, podsuwa definicja filozofii jako poszukiwania przez ślepcę w ciemnym pokoju czarnego kapelusza, którego tam nie ma, zaś jeśli go znajdzie – to jest to teologia. Można sądzić, że dopóki żadne dwa prawdziwe twierdzenia nie są ze sobą sprzeczne, to rezultaty niezależnych badań naukowych nie będą ze sobą w konflikcie i że zharmonizowanie ich nie stanowi żadnego problemu. Jest jednak przeciwnie, ponieważ gdy badamy nawet najogólniejsze rezultaty kilku nauk, zauważamy, że ewidentnie ze sobą kolidują, zaś zadanie ich zharmonizowania jest gigantyczne. I faktycznie, najbardziej ostre i fascynujące problemy metafizyczne wyrastają podczas próby pogodzenia ze sobą rezultatów ważniejszych dyscyplin.

Jak np. pogodzić fizykę z psychologią? Fizyk utrzymuje, że każde zdarzenie fizyczne ma fizyczną przyczynę, co wydaje się zupełnie niewinnym stwierdzeniem. Absurdalne jest powiedzenie, że rzecz materialna mogłaby bez jakiejś fizycznej przyczyny zacząć się poruszać lub, gdy już zaczęła, przyspieszyć lub zmienić kierunek. Jeśli mówicie, że ruch

zachodzi bez żadnej w ogóle przyczyny, dla fizyka jest to nieodpowiedzialne. Gdy powiadacie, że ruch odbywa się na zasadzie ingerencji spoza porządku przestrzennego, jest to przesąd. A psycholog – czyż nie jest zmuszony do twierdzenia, że taka ingerencja w gruncie rzeczy zachodzi codziennie? Jeśli moje usta i struny głosowe poruszają się w tej chwili tak, jak się poruszają, to dlatego, że myślę pewne myśli i chcę je wam zakomunikować. A jedynym sposobem, w jaki myśl lub pragnienie może wywołać takie skutki, jest pobudzenie fizycznego ruchu fal lub cząsteczek w mojej głowie. Nie wystarczy powiedzieć, że jedynie neurologiczne korelaty mojej myśli są odpowiedzialne za wytwarzanie tych rezultatów, gdyż zmiany fizyczne nie są moimi myślami. A jeśli moje myśli są obojętne w stosunku do tego, co robię, wówczas racjonalne życie staje się maskaradą. Moje działanie nigdy faktycznie nie jest kierowane przez świadomy wybór ani nic, co mówię, nie jest zdeterminowane przez to, co myślę lub czuję. Nie przyjąłby tego ani zdrowy rozsądek, ani „zdrowa” psychologia. Zbyt mocne jest bowiem empiryczne świadectwo przeciw temu. Ukazuje ono, że świadomy wybór, który wcale nie jest zdarzeniem fizycznym, nie jest też obojętny dla zachowania się języka i ust, ramion i nóg. Można świadomie kierować swoim zachowaniem. Ale jak połączyć to z przekonaniem fizyka, że wszystkie takie zachowania są fizycznie uprzączynowane? Jest to ciągle żywy w filozofii problem relacji ciała do umysłu.

Konflikty tego rodzaju mogą zachodzić nie tylko między różnymi naukami przyrodniczymi, lecz także między naukami przyrodniczymi a normatywnymi. Weźmy fizykę i etykę. Dla fizyka wszystkie zdarzenia – a przynajmniej wszystkie zdarzenia makroskopowe – są uprzączynowane, tj. następują one po zdarzeniach bezpośrednio je poprzedzających zgodnie z pewnym prawem. To także wydaje się całkiem niewinnym stwierdzeniem. Ale zastosujcie tę zasadę w etyce. Każdy wybór jest zdarzeniem, nawet jeśli nie jest zdarzeniem fizycznym, a więc podpada pod regułę, że wszystkie zdarzenia są uprzączynowane. Znaczy to, że wszelkie wybory, których dokonujecie, następują po określonym zdarzeniu lub zdarzeniach bezpośrednio je poprzedzających, zgodnie z pewnym prawem. Ale jeśli tak, to uzależniony od zdarzeń, które poprzedzały wszelkie moje

wybory, musiałem zrobić to, co zrobiłem. Nie mógłbym zrobić inaczej. Jeśli jednak jest to prawda, to czy nie jest nonsensem mówić w jakimkolwiek przypadku, że powinienem zrobić inaczej, skoro uczyniłem jedyną rzecz, którą mogłem uczynić? Ale co wówczas się stanie z potocznie rozumianą etyką? Jeśli ta zasada naukowa jest prawdziwa, to trzeba będzie przemyśleć etyczne podstawy wyrzutów sumienia, nagród, kar, pochwał i potępień. Jest to bardzo stary problem wolnej woli, który był już dyskutowany z fascynacją przez anioły Milтона w czasie wolnym od trąbienia i jest dyskutowany z równą fascynacją przez dzisiejszych studentów.

Oczywiście, są dzisiaj ludzie, którzy mówią, że te stare zagadnienia metafizyczne są w rzeczywistości wyłącznie językowe i zanikną, gdy uwzględni się powszechnie obowiązujący zwyczaj językowy. Kiedy więc widzimy człowieka robiącego coś i wiemy, że nie działa pod przymusem lub z jakiejś specjalnej pobudki, mówimy, że działa w sposób wolny. Jest to standardowy zwyczaj językowy i dlatego poprawny. Przeto kiedy mówimy, że człowiek działa w sposób wolny, mówimy poprawnie. **DZIAŁAMY** wobec tego w sposób wolny. Nie ma więc żadnego problemu. Nie jestem przekonany. Bcz wątplenia w powyższym sensie człowiek **DZIAŁA** w sposób wolny. Niestety sens ten jest niewłaściwy dla tego zagadnienia metafizycznego. Albowiem determinista mówi, że nawet kiedy **NIE** jesteśmy pod żadnym przymusem w potocznym sensie, nasze wybory nadal wynikają z przyczyn. A czy to jest prawdą, nie można rozstrzygnąć przez badanie języka zwykłego człowieka, dlatego iż nigdy on o tym nie myśli, a nawet gdyby myślał, to niekoniecznie miałby rację.

Jest wiele innych konfliktów podobnych do dwóch wyżej wymienionych. Nie należą one do żadnej z tych dyscyplin, lecz znajdują się między nimi i muszą być rozstrzygnięte przez jakiś bezstronny czynnik. Jedynym rzetelnym kandydatem na to stanowisko jest filozofia. Filozofia jest międzywydziałową agencją pojednawczą lub, jeśli wolicie, Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości wspólnoty intelektualistów. Podobnie też jak inne tego rodzaju agencje nie ma żadnego sposobu egzekwowania swoich wyroków. Zaufanie do niej opiera się na racjonalności jej decyzji.

Jesteśmy obecnie w stanie dostrzec miejsce filozofii w przedsięwzięciu intelektualnym widzianym jako całość. Intelpekt przejawia od samego początku dążność do zrozumienia. Zrozumieć coś, znaczy uchwycić to coś w świetle innych rzeczy lub zdarzeń, które czynią to inteligibilnym. Pierwszym wielkim przełomem w tym dążeniu był system zdrowego rozsądku formowany przez tysiąclecia prób i błędów. System ten zastępuje nauka, której układ wyjaśnień jest daleko bardziej precyzyjny i wyczerpujący. Filozofia jest kontynuacją tego przedsięwzięcia w rejonach, które nauka pozostawia nie zbadane. Jest ona próbą doprowadzenia rozumienia do jego najdalszych możliwych granic. Stanowi w tym obrazie fundamenty, na których nauka wznosi swoją budowlę, oraz luki i sklepienia, które utrzymują jej struktury. Filozofia jest zarazem krytyką i dopełnieniem nauki. Tym właśnie, tak jak ja to rozumiem, zajmowali się wszyscy wielcy filozofowie od Platona do Whiteheada.

Być może nigdy nie będą oni całkowicie zadowoleni. Jest zupełnie możliwe, że ludzie posłużą się tym zdobytym przez siebie rozumieniem do zgładzenia samych siebie wraz z tym przedsięwzięciem. Lecz jeśli będą żyć dalej, całe to przedsięwzięcie musi być kontynuowane. Albowiem wysiłek zrozumienia nie jest mijającym kaprysem lub zachcianką, nie jest zabijaniem wolnego czasu lub „sentymentalnym westchnieniem wśród codziennych zajęć”. Znajduje się w centrum samej natury i istnienia człowieka. Jest tym, co przenosi go z jakiegoś mulistego obszaru na wysokie, lecz niepewne miejsca, gdzie się obecnie znajduje. Dążenie jego intelektu zbudowało świat dla niego i powoli dopasowuje go do tajemniczego świata znajdującego się poza nim. Dla każdego, kto to dostrzega, filozofia nie potrzebuje obrony. Może ona być praktycznie pomocna i oczywiście jest. Ale nie jest to główny powód, dla którego ludzie filozofują. Filozofują, ponieważ nie mogą nie filozofować, ponieważ przedsięwzięcie rozumienia, prastare jak sam człowiek, uczyniło go tym, czym jest, i tylko ono będzie w stanie uczynić go tym, czym człowiek może być.

przel. zespół

Pytania bez odpowiedzi

Kazimierz Dziewanowski

„La force des choses“

*Dzieje naszej rewolucji powinny niewątpliwie stanowić najlepszą lekcję skromności dla filozofów i mężów stanu; nigdy bowiem nie było wydarzeń donioślejszych, szykujących się dłużej, lepiej przygotowanych – i mniej przewidzianych¹. Tak brzmi pierwsze zdanie słynnej książki Tocqueville'a. A oto początek książki innego autora, późniejszego znawcy rewolucji, A. Mathieza: *Rewolucja francuska, której nagły wybuch zaskoczył zarówno jej twórców oraz tych, którzy odnieśli dzięki niej korzyści, jak i tych, przeciwko którym była skierowana, przygotowywała się powoli, przez całe stulecie, a nawet i dłużej. Powstała ona z pogłębiających się wciąż rozbieżności pomiędzy rzeczywistością a prawem, między instytucjami a obyczajami, między formą a treścią².**

Oto dwa wprowadzenia do rozważań nad przyczynami, przebiegiem i skutkiem rewolucji, której dwusetna rocznica przypada w tym roku. 1789 – dwa wieki temu... Już 200 lat to niezwykle, zachwycające i przerażające zarazem wydarzenie fascynuje, przyciąga, straszy i odpycha historyków i polityków, powieściopisarzy i dramaturgów, poetów i politologów. Ta porażająca rozum eksplozja, ten wybuch umiłowania wolności, nienawiści do tyranii, dążenia do braterstwa między ludźmi, do zaprowadzenia sprawiedliwych stosunków społecznych, co w krótkim czasie przemieniło się w panowanie okrutnego terroru niszczącego tych, którzy byli twórcami rewolucji pośpołu z jej wrogami i z tysiącami niewinnych ofiar; terroru, który miał oczyścić ziemię francuską z wrógów ludu i tych, którzy żyli z występku, lecz w nieuchronny sposób przemienił się w narzędzie bezprawia, chciwości, rabunku, zemsty, osobistych porachunków. Cóż to za lekcja dla potomnych! Jakie pouczenie i jaka

¹ Alexis de Tocqueville, *Dawny ustrój i rewolucja*, tłum. Anna Wolska, Warszawa 1970, s. 47.

² Albert Mathiez, *Rewolucja francuska*, Warszawa 1956, s. 3.

przestroga! Nie pierwsza wprawdzie i nie ostatnia, ale taka, która wywarła bodaj najgłębsze wrażenie na ludziach aż do czasów, gdy w XX w. nadeszły inne przestrogi i pouczenia, nieporównanie jeszcze straszniejsze, krwawsze i bardziej rozstrzygające, pozbawione wszelako owego piękna i dramatyzmu, które mimo wszystko towarzyszyło rewolucji francuskiej w jej wzlotach i upadkach, wielkości i szaleństwie.

Ta rewolucja była tak skomponowana i tak zbudowana, jak grecka antyczna tragedia. Ci, którzy jej służyli, którzy nadali jej rozmach i kierunek, wkrótce przekonali się, że rozpętali siły, które wymknęły się im spod kontroli, przerosły ich, zażądały w końcu ich głów. I dostały je. Występki, przywary, zbrodnie, którym rewolucja miała położyć kres, zatryumfowały, okazały się jeszcze silniejsze niż przedtem. Ich ofiarą padali zarówno wrogowie jak i przyjaciele rewolucji. Ludzkie starania przynosiły więc nieprzewidziane, odwrotne rezultaty, ideały sięgały bruku, przemieniały w szyderstwo i zaprzeczenie. Skutki rewolucji miażdżyły tych, którzy przepojeni wzniosłym zapałem uruchomili jej mechanizm. Ktoś mógłby powiedzieć, że tak bywa we wszystkich rewolucjach świata, ale w tej jednej wszystko rozegrało się w tak krótkim czasie, z taką wartością akcji, przy tak ostro zarysowanych sylwetkach bohaterów, że całe to wydarzenie przybrało w oczach widzów i potomnych postać dzieła scenicznego na podobieństwo utworów Sofoklesa, Ajschylosa, Szekspira. Niemale też znaczenie miała galicka jakość dialogów, które toczyli bohaterowie. Danton mówiący do kata: *Podnieś potem moją głowę i pokaż ludowi. Zasłużyła na to!* Albo Saint-Just: *Rewolucja skamieniała, wszystkie jej zasady osłabły; pozostały jedynie czerwone czapki na głowach intrygi.* Niewiele było wydarzeń historycznych, które pozostawiły po sobie równie dużo olśniewających powiedzeń, celnych bonmotów, jak ów wielki dramat, którego premiera nastąpiła w 1789 r. Ot takich, jak choćby ów epigram, którym jakiś paryski pismak skwitował śmierć Robespierre'a: *Passant qui que tu sois, ne pleure pas mon sort. / Si je vivais, tu serais mort*³.

Wydaje się, że ta sztuka sprzed 200 lat zawsze już będzie skupiała na sobie uwagę potomnych budząc w nich dreszcz grozy i zachwytu, odpychając i przyciągając zarazem.

Albowiem była przedziwnym stopem tego, co w ludzkiej naturze najlepsze i najgorsze; było w niej bohaterstwo, altruizm, umiłowanie wolności, była też chciwość, zdrada, złodziejstwo i małość. Ale gdy dziś, po 200 latach spoglądamy w zamyśleniu na to niezwykle wydarzenie, jesteśmy skłonni do wniosku, że żadna z tych cech nie uzyskała znaczącej przewagi. Była w wielkiej rewolucji francuskiej ohyda i wspaniałość, nędza i wzniosłość, był patos, piękno i nadzieja obok podłości i brzydoty. Ale nie możemy powiedzieć, że któraś z tych właściwości bardziej rzuca się w oczy niż pozostałe. Możliwe, że znajdują się czytelnicy, którzy zaprotestują w imię takiej czy innej racji. Może słusznie. Ale wydaje mi się jednak, że to, iż po 200 latach szturm Bastylli ma nadal gorących stronników i nieprzejednanych wrogów, że wciąż trwają spory o ocenę ówczesnych wydarzeń i nie ma ich jednoznacznego osądu – to wszystko świadczy za moją tezę.

Odmienne jest z innymi wielkimi poruszeniami historycznymi, które miały miejsce później, z innymi rewolucjami, innymi szturmami. W przypadku tych innych wydarzeń zło, które zrodziły, wydaje się przeważać nad dobrem, które wydaje się coraz to wątpliwsze. Tak to przynajmniej wygląda w perspektywie końca XX w. Skutki tych wydarzeń łatwiej ocenić, zaś ponury ciężar, jakim przytłoczyły ludzkość, budzi coraz mniej wątpliwości, staje się coraz oczywistszy. Jedynie rewolucja 1789 r. nie poddaje się takim jednoznacznym ocenom.

Jak do niej doszło? Dlaczego wybuchła? Czy była nieunikniona? Czy mogła potoczyć się inaczej? Nie będę roztrząsał tych pytań, ponieważ napisano na ich temat setki albo tysiące tomów, ponieważ zrobili to ludzie tysiące razy bardziej kompetentni i ponieważ oni też nie doszli do ostatecznych wniosków. Każdy z elementów tego dramatu, każda z jego odsłon, każdy z wątków i wiele występujących w nim postaci nadaje się do wielkiego studium i wiele z nich już takie studia wywołało. Choćby zaczynając od rozkładu i rozsypania się dawnego ustroju, czyli ancyen regime'u, tak niedługo wspaniałego, który zszedł ze sceny w atmosferze

³ Cyt. za: Albert Manfred, *Rousseau, Mirabeau, Robespierre*, Warszawa 1988, s. 268. Wierszyk ten można przełożyć następująco (przekład mój – K. D.): „Przechodniu, nie płacz nad moim losem nieszczęśliwym. / Gdybym żył jeszcze, ty byłbyś niezwykłym”.

bezsilności, niesmaku i ironii, wśród objawów zerwania więzów z rzeczywistością, utraty łączności z narodem i całym krajem, w aurze śmieszności i wielkiej, porażającej głupoty. *Dajcie im ciastek* – powiedziała królowa na wieść, że ludowi zabrakło chleba. Lecz nawet Marii Antoninie nie przyszło do głowy powiedzieć, że nic to, bo rząd się przecież wyżywi.

Jak to było? Dzisiejszy obserwator jest skłonny przypuszczać, że rok 1789 (i następne lata Wielkiej Rewolucji) były zjawiskiem z niczym nieporównywalnym. Wprawdzie przedtem też się zdarzały rewolucje i wielkie, krwawe wojny domowe, zdarzał się terror, przewroty i prześladowania. O wiele jeszcze straszniejsze wydarzenia tego rodzaju nastąpiły również później, o czym była mowa. A jednak czujemy, że tamta rewolucja, rewolucja Marata, Dantona, Robespierre'a – była czymś innym, czego nie można z niczym porównać. Wysuwa się na ten temat różne teorie, różne argumenty, lecz w gruncie rzeczy wszyscy dyskutujący zgadzają się, że rewolucja wolności, równości, braterstwa – i gilotyny – przedzieliła historię ludzkości na pół, przedarła jak zapisaną kartę, nadała dalszemu ciągowi inny bieg.

Słynny historyk i komentator tej rewolucji, Jules Michelet, zanotował następującą przenikliwą uwagę: *Czym było zło w średniowieczu? Była to osoba, diabeł. Czym było zło w roku 93? Była to inna osoba, zdrajca. Wyjaśnienie prawdziwe, a zarazem fałszywe. Republika była równie często zdradzana przez rzeczy, jak przez osoby; zwłaszcza przez chaos i naturalną dezorganizację towarzyszącą podobnemu kryzysowi. Ale Robespierre dopuszczał jako winnych tylko ludzi⁴.*

Tak właśnie chyba odtąd było. Rewolucjoniści, potomkowie wieku racjonalizmu, który był ich ojcem, i utopii społecznej, która była ich matką, wierząc niezachwianie w swą misję, w przyszłe zwycięstwo rozumu nad bezrozumną rzeczywistością i w swój obowiązek uszczęśliwienia ludzi, przenigdy nie godzili się z małodusznym i kapitulantskim poglądem, jakoby materia, rzeczywistość, gospodarka, brak żywności, transportu czy opału mogły być przyczyną ich niepowodzenia. Przyczyną, dla której rewolucjoniści ponosili porażki, zaś realizacja ich projektów odwlekła się, mógł być zawsze tylko inny człowiek, zdrajca, wróg. Tak sądził

Robespierre, gdy wysyłał na szafot coraz większą liczbę ofiar i tak też sądził Dzierżyński, gdy starał się uzdrowić transport kolejowy rozstrzelując maszynistów i zawia-dowców. Maszyna w fabryce nie mogła się popsuć tylko dlatego, że zabrakło do niej części, zbiory na polach nie mogły dlatego nie udać się, że była susza, mostu nie mogła zerwać powódź – wszystkie te niepomyślnie wydarzenia mogły być li tylko dziełem zdrajcy, sabotażysty, dywersanta. Wynajdywanie zdrajców było tym mechanizmem, który nigdy się nie zaciął.

Mówiąc o dniach, które nastąpiły bezpośrednio po zgilotynowaniu Dantona i towarzyszy, cytowany już A. Manfred napisał: *Tak oto wszyscy przeciwnicy republiki zostali zmiażdżeni. Komitet Ocalenia Publicznego wysłuchał sprawozdania Trybunału Rewolucyjnego na temat przeprowadzonych procesów, wydanych wyroków i ich wykonania. Wszyscy wrogowie stojący na drodze republiki, których uważano za jej głównych przeciwników, zamienieni zostali w proch. Wydawało się, że teraz nic już nie może oddalić tego bliskiego i ciągłego w ostatnim momencie umykającego, odsuwającego się gdzieś w dal, złotego, szczęśliwego wieku*⁴.

Szczęście to idea nowa w Europie – głosił Saint-Just.

W przekonaniu rewolucjonistów do osiągnięcia tego szczęścia była jednak niezbędna gilotyna. Robespierre uzupełnił myśl Saint-Justa, mówiąc: *Trzeba, aby kara dorównywała szybkością zbrodni*. Robespierre – wierny uczeń Jana Jakuba Rousseau – przekonany, że nowy, nieporównanie lepszy ustrój zbudowany na rozumie, na logice i wiedzy jest możliwy, a co więcej – droga do niego może być krótka i szybka pod warunkiem zachowania odpowiedniej stanowczości i zdecydowania – był człowiekiem uczciwym, nieprzekupnym, bezinteresownym (w znaczeniu materialnym) i strasznym. On i jego najbliżsi współpracownicy, przede wszystkim Saint-Just i Couthon, byli pierwszymi z długiej serii rewolucjonistów europejskich (później dołączyli do nich również mieszkańcy innych kontynentów, a szczególnie Azjaci), którzy powodowani szlachetnymi intencjami, wiarą w ludzki rozum i wolę, osobiście uczciwi (w sensie

⁴ Jules Michelet, *Histoire de la Révolution Française*, Paris 1952, t. 2, s. 814.

⁵ Dz. cyt., s. 44.

potocznym, oznaczającym powstrzymanie się do czerpania bezpośrednich korzyści materialnych z faktu sprawowania funkcji publicznych), pragnący dla ludzi lepszej przyszłości – przelali rzeki krwi, uruchomili najgorsze złe moce, wyrządzili nieprzeliczone krzywdy i w końcu przegrali, ustępując miejsca nieuczciwym, brutalnym, nie uznającym żadnych wartości prócz własnego zysku. Jak powiedział Robespierre, gdy postawiono go w stan oskarżenia: *Republika zgubiona, bandyci tryumfują!* Miał rację, chociaż wiadomo, że każdy obalony przywódca rewolucyjny uważa swych przeciwników na bandytów. I zwykle też ma rację...

Michelet zwrócił jednocześnie uwagę na pewien paradoks dotyczący losów Robespierre'a, który już niejedną raz można było zaobserwować w dziejach różnych przywódców różnych rewolucji. Ten mianowicie, że Robespierre sam się przyczynił do zgilotynowania wielu takich ludzi, którzy – gdy przyszła jego kolej – mogli, gdyby żyli, uratować go. A mogli to zrobić już choćby tylko dlatego, że będąc bezkompromisowymi, ideowymi rewolucjonistami nigdy nie przyłączyliby się do spisku z notorycznymi przestępcami i miernotami. Ale tak to właśnie jest – najpierw toczy się krwawa walka o władzę między wodzami rewolucji, a później przychodzą, jak powiedział Nieprzekupny, *les brigands*.

Wtedy jest koniec rewolucji.

Właściwie jednak ten koniec następuje już wcześniej. Autorzy wydanej ostatnio w Warszawie bardzo interesującej dysertacji doktorskiej⁶ stawiają (i przekonująco udowadniają) tezę, że sednem i istotą różnych utopii społecznych i wyprowadzanych z nich teorii, a także rewolucyjnych prób realizacji tych teorii w praktyce, jest idea jedności i harmonii interesów społecznych. To znaczy: pogląd, że interesy przeważającej większości społeczeństwa są zbieżne lub wręcz tożsame, zaś sprzeczne z tym ogólnym, jednolitym interesem bywają tylko interesy godnej potępienia mniejszości. W przypadku Marksowskiej teorii walki klas sprzeczne z interesem większości pracujących mają być interesy mniejszości wyzyskiwaczy, czyli burżuazji. W przypadku ideologii NSDAP sprzeczne z harmonijnym interesem większości narodu niemieckiego miały być interesy Żydów i międzynarodowej plutokracji, nie mówiąc już o garstce obcych agentów.

W każdym więc przypadku wystarczy wyeliminować ową mniejszość, której interesy są sprzeczne z interesem większości, aby można było potem bez przeszkód urzeczywistnić to, co leży w interesie przytłaczającej większości. Naturalnie nie wszyscy w społeczeństwie uświadamiają sobie, na czym ich interesy polegają i jakie więc działanie powinno być podjęte. Dlatego władza musi spoczywać w rękach uświadomionej, wszystko jasno widzącej i dobrze zorganizowanej grupy, której zadaniem jest podjęcie tych wszystkich działań, których wymaga urzeczywistnienie wspólnego interesu. I tak dalej, i tak dalej – dalszy ciąg już znamy.

Słabość tych konstrukcji polega wszelako na tym, że są one w sprzeczności z rzeczywistością, tzn. z wymaganiami stawianymi przez gospodarkę, produkcję, obieg pieniężny, handel, a także przez rozwój techniki, kultury i w ogóle – mówiąc najkrócej – wszelki rozwój. Okazuje się, choć to smutne, że idea ogólnej jedności i harmonii interesów w społeczeństwie jest teorią fałszywą, nienaukową, prowadzi do zahamowania rozwoju. Więcej – doprowadzona do swych konsekwencji może nawet uniemożliwić reprodukcję prostą, może spowodować pełny regres we wszelkich dziedzinach, jak to się zaczyna dzisiaj dzieć w dobrze znanych nam krajach. Stąd niepowodzenie wszystkich organizmów państwowych, które próbowano zorganizować na zasadach przedstawionej powyżej teorii.

I odwrotnie – powodzenie i sukces odnoszą tylko takie narody, których istnienie jest zorganizowane przy uznaniu zasady, że wewnątrz każdego społeczeństwa istnieje nieprzeliczona mnogość różnych interesów, zaś organizacja życia musi polegać na wynajdywaniu takich sposobów, jakie pozwalają najmniejszym kosztem godzić owe sprzeczności, znajdować drogę kompromisową, uzgadniać i mediuować, pośredniczyć i łagodzić.

Próby narzucania rozwiązań przemocą, dawania pierwszeństwa interesom jednych kosztem interesów innych ludzi, czasem na krótką metę skuteczne, po dłuższym czasie prowadzą do paraliżu i w końcu do katastrofy. Zasada permanentnej, zimnej lub gorącej, wojny domowej i oparcie na niej całej organizacji życia państwowego są zabójcze dla

⁴ Jerzy Drygański, Jacek Kwaśniewski, *(Nie)realny socjalizm*, Warszawa 1988.

każdego społeczeństwa. Oto główna przyczyna niepowodzeń ustrojów totalitarnych.

Dlatego właśnie można powiedzieć, że koniec rewolucji zaczyna się zwykle już wcześniej – wtedy, gdy szuka ona wytłumaczenia swych niepowodzeń nie w rzeczach, nie w faktach materialnych, lecz w intencjach niektórych ludzi.

Ostateczny koniec rewolucji francuskiej nadszedł w lipcu 1794 r., ściślej w dziewiątym dniu rewolucyjnego miesiąca Termidora. Tego dnia aresztowano Robespierre'a, Saint-Justa, Couthona i innych. Następnego dnia, dziesiątego Termidora, posłano ich na szafot.

Lecz jak do tego doszło? Co Robespierre? Jak obalono i ścięto człowieka, który unosił się nad Konwencją, nad Klubem Jakobinów, nad Paryżem i nad Francją jak Nemezis, jak uosobienie sprawiedliwości rewolucyjnej i grozy, i terroru? Jak święty i jak diabeł?

W ciągu ostatniego miesiąca przyjaciele nie poznawali Robespierre'a. Jeden z nich, Buissard, napisał do niego: *Od miesiąca, czyli od tej pory, jak do ciebie pisałem, mam wrażenie, że spisz, Maksymilianie, i zezwalasz, aby zabijano patriotów*. Blisko 150 lat później, mówiąc o ostatniej nocy spędzonej przez Robespierre'a w domu, kiedy to spał on zamiast organizować obronę, historyk Louis Barthou napisał: *Ten sen kosztował życie*¹.

W ostatnich tygodniach coś zastanawiającego działo się z Robespierre'em. Do dziś trwa nie rozstrzygnięta dyskusja, co to właściwie było i czy w ogóle coś było. Istnieją niezbyt jasne i nie do końca potwierdzone relacje czy raczej pogłoski o samotnych nocnych spacerach po pustym Paryżu, odbywanych tylko w towarzystwie psa, o tajemniczych wyprawach za miasto na łono przyrody, przede wszystkim zaś o tym, że Robespierre stał się o wiele mniej aktywny, że trwał w defensywie, że dopuścił do tego, by jego wrogowie zjednoczyli się i choć w części otrząsnęli ze strachu, jakim dotąd przejmowało ich jego imię. Robespierre zapadł w sen – taka teoria krąży po kartach historii, czego dowodzą dwa przytoczone przeze mnie cytaty. Co to jednak znaczyło i czy w ogóle istniało?

Coś chyba przecież było. Robespierre dobrowolnie usunął się z Komitetu Ocalenia Publicznego; przemawiając w Konwencji w przeddzień swojego upadku wygłosił

wprawdzie gwałtowne oskarżenie przeciw wrogom rewolucji, a zwłaszcza tym, którzy nadużywali terroru i przemienili go w źródło nadzwyczajnych dochodów – ale odmówił podania nazwisk. Gdy mówi się o terrorze – zarówno tym z lat 1793–94, jak i wszelkich późniejszych – zwykle zapomina się, że egzekucje i czystki tego rodzaju mają wprawdzie tło polityczne, ale ich praktyczna realizacja ma znaczenie przede wszystkim materialne. Jest ona z reguły (świadczą o tym wszystkie doświadczenia XX w.) źródłem wielkich dochodów. Dochody czerpią z niej sędziowie, prokuratorzy i policjanci, a także wszelkiego typu administracja państwowa. Łupem padają mieszkania, posady, kosztowności, oszczędności, zbiory i wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, w tym oczywiście futra, meble, obrazy, książki itd. Kto nie wierzy, niech się zapozna ze szczegółowymi wspomnieniami z lat stalinowskich albo z 1968 r. w Polsce. Tak samo oczywiście było we Francji podczas rewolucji francuskiej, choć na mniejszą skalę niż w okresie stalinizmu. I właśnie przeciw temu wystąpił wówczas Robespierre. Rezygnując z wyliczania nazwisk oszczędził życie ludziom, którzy byli winni i których tego dnia mógł jeszcze posłać na szafot. Skoro jednak powstrzymał się od tego, zjednoczył przeciw sobie wszystkich, którzy mieli coś na sumieniu, zaś było takich niemało. Następnego dnia Robespierre nie mógł już nikogo posłać na spotkanie z gilotyną, wobec tego gilotyna wyszła jemu naprzeciw. I wtedy nastąpiła owa ostatnia noc, w której jego wrogowie przygotowywali rozprawę, podczas gdy on spał w domu snem, który był mocny, choć trudno by go nazwać snem sprawiedliwego.

Może wyczerpała się już jego energia? Może opuściły go siły? A może, co bardziej prawdopodobne, ogarnęło go zwątpienie? Z niektórych poszlak (było ich w tych ostatnich tygodniach niemało), możemy wnioskować, że Robespierre zobaczył nagle prawdę. Że zrozumiał, iż rozpętany przy jego udziale i w dużej mierze za jego sprawą terror nie prowadzi do oczyszczenia i do zwycięstwa ideałów, lecz przeciwnie – pogrąża republikę w brudzie, bagnie, występku i zbrodni; że nie jest, jak to sobie wyobrażał, lekarstwem, tylko jadem,

⁷ Cyt. za A. Manfred, dz. cyt., s. 435.

który wszystko zatruwa. Że obrona przezeń droga prowadzi donikąd.

Nie wiemy, czy rzeczywiście to rozumiał. Nie ma ostatecznych dowodów, choć – jak powiedziałem – są takie poszlaki. Ale nieraz bywa, że ludzie, którzy sprawowali nieograniczoną, absolutną władzę, gdy zbliża się koniec, popadają w paraliż i idą na spotkanie końca jak zaczarowani, jak zakłęci, jak przekłęci. W historii niemało było takich przykładów. Tak szedł na spotkanie losu ostatni car Wszechrosji, Mikołaj II, który zrezygnował z prób jakiegokolwiek obrony. Podobnie zachował się Mussolini. Z relacji niektórych świadków wynika, że podobne objawy zaczął u schyłku życia wykazywać Stalin. Można przytoczyć wiele przykładów postaci mniej znanych, które też tak się zachowały. Paraliż jest częstym objawem w obliczu zbliżającego się końca, i to zarówno u indywidualnych ludzi jak i u grup, rządów, nawet całych reżymów. Wynika prawdopodobnie z załamania się wiary w to, co się dotąd robiło, czym było, do czego dążyło; wynika też zapewne ze świadomości, że wszystko jest już beznadziejne.

Tak się dzieje, gdy końcową przewagę uzyskuje, mówiąc słowami Saint-Justa, *la force des choses*. Siła rzeczy; siła przedmiotów i zjawisk; siła rzeczywistości.

Siła życia.

Ku nowemu łaadowi ekologicznemu

„Raport o stanie świata – 1988“

Czy ekspertyza może stać się bestsellerem? Na pierwszy rzut oka nie jest to takie pewne, zaś przy głębszym zastanowieniu musi się wydać wręcz niemożliwe. Bo jeśli ekspertyza – to na pewno specyficzny, „papierowy” język, to slogany, to jakieś wyabstrahowane zagadnienia i pojęcia tylko niewiele mające wspólnego z tym, co interesuje masowego odbiorcę, masowego czytelnika. A bez licznego audytorium nie może być mowy o bestsellerze; ten już per definitio wymaga, by tłumnie być sprzedawanym i nie mniej tłumnie czytany. Tak więc, jeśli nawet do postawionego powyżej pytania dodać, że chodzi tu o ekspertyzę amerykańską, odpowiedź i tak zabrzmi najpewniej: *Nie, skądże, to niemożliwe*. Ale to tylko stereotyp. Nawyk. Takie wnioskowanie i myślenie – to po prostu myślowe skostnienie. Zaś schyłek XX w. przynajmniej w pewnych nielicznych punktach chce charakteryzować się przemożnym dążeniem do przełamywania zastanych kolein, zrywania „końskich okularów” i zrzucania zbyt ciasnych, nazbyt krępujących chomąt.

Wśród wielu różnych instytucji i inicjatyw mających temu służyć znajduje się m.in. powołany do życia w 1974 r. przez Williama M. Dietla i Lestera R. Browna, finansowany przez Fundację Rockefellerów Instytut Problematyki Globalnej (Worldwatch Institute) z Waszyngtonu; także – publikowany przezeń corocznie począwszy od 1984 r. „Raport o stanie świata”. Ta periodyczna, kilkusetstronicowa publikacja na pewno jest ekspertyzą – co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Również nie może być co do tego wątpliwości, że za każdym razem, niezmiennie, staje się ona bestsellerem. Liczby zilustrują to najlepiej. Pierwszy „Raport o stanie świata – 1984” rozszedł się w USA w nakładzie 27 tys. egz. „Raporty” z lat 1985, 1986 i 1987 osiągnęły odpowiednio nakłady 50, 65 i 88 tys. Kolejna edycja – ta, którą mamy zamiar zająć się bardziej szczegółowo¹ – jeszcze na kilka miesięcy przed końcem 1988 r. przekroczyła nakład 100 tys. egz. Następują także przekłady: na hiszpański, arabski, japoński, włoski, w przedmowie do „Raportu – 1988” mówi się nawet o możliwości jego tłumaczenia na rosyjski. Książka ta jest czytana jako lektura obowiązkowa

¹ Lester R. Brown (red.), *State of the World – 1988. A Worldwatch Institute Report on Progress Toward a Sustainable Society*, W. W. Norton and Company, New York – London 1988, ss. 237. W skład zespołu redagującego „Raport” wchodzi: William A. Chandler, Alan Durning, Christopher Flavin, Lori Heise, Jodi Jacobson, Sandra Postel, Cynthia Pollock Shea, Linda Stark, Edward C. Wolf.

w 102. wyższych uczelniach USA (choć nigdy przecież nie była pomyślana jako podręcznik!) oraz w blisko 400. tak popularnych w tym kraju centrach permanentnego kształcenia. Interesują się nią również telewizja oraz producenci kaset video. „Raport” z 1986 r. stał się kanwą 10-odcinkowego serialu popularnonaukowego, który – zanim jeszcze został zrealizowany – zakupiły telewizje: brytyjska, japońska, australijska oraz indyjska. Inicjatywa podjęta przed niespełną 5 laty wydała nadspodziewanie obfite owoce i zaskakująco wszechstronne żniwo. Dziś, w skali globu, „Raport o stanie świata” jest najczęściej czytany i cytowany opracowaniem naukowym. I doprawdy trudno przypuścić, by szybko jakakolwiek podobna do tej inicjatywa mogła z nią skutecznie konkurować.

Jakie są źródła aż tak oszałamiającego sukcesu?

Przynajmniej część odpowiedzi na to pytanie można odnaleźć we wstępie do interesującego nas tu tomu; został on pomyślany jako podsumowanie pierwszego pięciolecia ukazywania się całego cyklu. Celem działalności grupy badawczej skupionej wokół L. R. Browna była (i jest) możliwie jak najbardziej wszechstronna analiza zależności istniejących między działalnością gospodarczą człowieka a zmianami zachodzącymi w jej wyniku w środowisku naturalnym. Z analizy tej mają się wyłonić drogi wiodące ku *harmonijnemu i wewnętrznie zrównoważonemu społeczeństwu (sustainable society)* – ku takiemu społeczeństwu, które swe potrzeby zaspokajałoby w sposób nie zmniejszający szans przetrwania przyszłych generacji. Tymczasem, w chwili gdy 5 lat temu na rynek wydawniczy wkraczała seria „Raportów o stanie świata”, takie zjawiska, jak naruszenie warstwy ozonowej w stratosferze, zmiany w składzie chemicznym atmosfery i powodowany nimi globalny wzrost średniej temperatury, a także znaczne nasilenie się procesów wysychania i pustoszenia dużych połaci Afryki, stanowiły co najwyżej przedmiot spekulacji (czy aby naprawdę tak jest? – pytano) i temat zainteresowań małej grupki specjalistów. Dziś jest inaczej. To wszystko, na co od początku swego istnienia zwracał uwagę Worldwatch Institute – **POTWIERDZIŁO SIĘ**; na dodatek nie w perspektywie dziesięcioleci, ale w ciągu zaledwie 3–4 lat (to jeszcze jeden przykład ilustrujący wielkość przyspieszeń, które coraz powszechniej zaczęły występować podczas dwóch ostatnich dziesięcioleci). Znaczne ubytki w warstwie ozonu chroniącej powierzchnię ziemi przed dostępem rakotwórczych promieni ultrafioletowych są **DZIŚ FAKTEM BEZSPORNYM**, nie zaliczanym już do scenariuszy „science fiction” (jak miało to miejsce uprzednio), ale stanowią temat obrad międzynarodowych gremiów. „Efekt cieplarniany” wywołany masowym spalaniem paliw kopalnych oraz bezmyślnym trzebieeniem lasów tropikalnych nie jest już obec-

nie zjawiskiem przewidywanym jedynie teoretycznie, lecz **FAKTEM ZAOBSERWOWANYM** we wszystkich strefach klimatycznych w praktyce. Zaś głód i pustynnienie Czarnego Łądu jesteśmy dziś skłonni uznać nie za okresową i odwracalną w czasie anomalię pogodową, lecz za **FERALNY SPLOT PROCESÓW** spowodowanych pogwałceniem elementarnych prawideł rządzących na styku gospodarki, demografii i ekologii. Co gorsza – wiele wskazuje na to (otó kolejne ostrzeżenie dobiegające nas z Worldwatch Institute), iż Afryka wcale nie jest w tym odosobniona; podobne trendy zaczynają się rysować także na innych obszarach. Stąd też ukute przez L. R. Browna pojęcia: *ekspansja Afryki* i *globalizacja Afryki*. Według jego ocen największe „szanse”, by w niedalekiej przyszłości stać się drugą Afryką, ma obecnie Ameryka Południowa.

W ten sposób „Raport o stanie świata” stał się jedną z najbardziej aktualnych publikacji przekrojowych w skali świata; to w tym zapewne tkwi jedna z przyczyn jego ogromnego powodzenia czytelniczego. „Raport” nie tylko nadaża za percepcją zmieniającej się rzeczywistości, ile raczej ją **WYPRZEDZA**, a co za tym idzie – percepcję tę **WSPÓŁKSZTAŁTUJE**. *Próg percepcji zmian* jest kolejnym kluczowym pojęciem, które przewija się na jego kartach. Od tego, czy ów próg przekroczymy, oraz od tego, **KIEDY** to będzie miało miejsce, zdaniem naukowców z Worldwatch Institute zależy szanse przetrwania ludzkości. Rzecz jasna – winno to nastąpić jak najprędzej. Zmiany pchające nas ku krawędzi ekologicznej przepaści następują bowiem niezależnie od tego, czy się je dostrzega, czy też nie. Jednak by mieć jakąkolwiek szansę odwrócenia tyłu jednocześnie obecnie występujących niekorzystnych tendencji, najpierw trzeba je zauważyć, zlokalizować, zanalizować, zrozumieć. Na grę w ruletkę, na metodę prób i błędów nie ma już czasu. Dlatego główną grupą, do której „Raporty” są adresowane, są politycy, decydenci, planiści, menażerowie oraz wszelkie grupy opiniotwórcze. Zdaniem zespołu Browna od zmian w świadomości właśnie tych ludzi zależy aktualnie najwięcej. Drażenie i przebudowa często jakże skostniałej mentalności tych grup jest misją, którą wziął na siebie Instytut Problematyki Globalnej. A skala i werwa, z jaką stara się on to czynić, wielu każe właśnie w nim widzieć przyszłego zbiorowego kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla.

I nie jest to wcale kandydatura na wyrost. Wszak pogląd wypowiadziany po raz pierwszy w „Raporcie – 1986”, iż na obecnym etapie rozwoju cywilizacyjnego pojęcie bezpieczeństwa wymaga zdefiniowania na nowo i że rozpatrywać je dziś należy bardziej w kategoriach ekologicznych i ekonomicznych niżli tych tradycyjnych, czyli militarnych; w publikacji z 1988 r. stał się już jednym z głównych jej wątków; co więcej – można przypuszczać, iż w obli-

czu poprawiającej się atmosfery międzynarodowej oraz przemian zachodzących w stosunkach Wschód – Zachód temat ten w jeszcze większym stopniu zdominuje następną edycję „Raportu”. I tak – dwa lata temu mogliśmy w nim czytać: *Skupiając się na kwestiach „stricte” militarnych i konfrontacyjnych oba supermocarstwa przeżyły ów krytyczny moment, w którym układ geopolityczny zasadniczo się przeobraził – ten moment, poczynwszy od którego zaczął on być określany bardziej przez ekonomię niż przez nagą siłę militarną. Podczas gdy USA i ZSRR koncentrowały się na zbrojeniowym współzawodnictwie, Japonia, nie angażując się w nie, w ciągu kilkunastu lat wyrosła na potęgę bijącą na głowę oba mocarstwa we wszystkich przyszłościowych dziedzinach rozwoju. Japonia jest krajem zaledwie średniej wielkości. Jest krajem pozbawionym jakichkolwiek naturalnych bogactw. Mimo to dochód na głowę mieszkańca Japonii przewyższył dochód osiągany w ZSRR już w poł. lat 60., zaś obecnie zbliża się on do poziomu osiąganego w USA. Wartość japońskiego eksportu dwukrotnie przewyższa eksport radziecki, a jeśli obecnie występujące trendy utrzymają się do 1990 r., wyspiarska Japonia także pod tym względem wyprzedzi USA i stanie się największym eksporterem świata. Kraj ten już przed ćwierćwieczem uznał, iż w dobie doskonalszych broni nuklearnych, jakby temu na przekór, siła militarna stopniowo będzie tracić na znaczeniu, zaś współzawodnictwo międzynarodowe zostanie przeniesione na wyższy poziom – na płaszczyznę cywilizacyjną. Już wtedy dostrzeżono tam, iż w przyszłości rzeczywiste wpływy i autorytet będą pochodną nie siły, lecz wydajności i technologicznego zaawansowania. I to takiego zaawansowania, które w coraz większym stopniu będzie respektować wymagania ekologii.*

Właśnie. W latach 70. szeroko lansowano ideę nowego ładu ekonomicznego, który miał przyjąć postać skoordynowanych w skali globu działań na rzecz przyspieszenia rozwoju krajów najbiedniejszych. W tegorocznej edycji „Raportu o stanie świata” zespół L. R. Browna w pewnym sensie do pomysłu tego powraca. W pewnym sensie – nie jest to bowiem powrót typowy; raczej jego rozbudowanie i rozszerzenie. To także kontynuacja myśli, którą przy dokładniejszej lekturze można odnaleźć już w „Raporcie” sprzed 2 lat, gdzie starano się wykazać, iż zarówno wszelkie deficyty ekonomiczne (a więc zadłużenie zewnętrzne, wewnętrzne) jak i naruszenie równowagi ekologicznej (określane tam jako swoisty deficyt) w gruncie rzeczy mają takie same, a przynajmniej bardzo zbliżone przyczyny. Teraz więc, zamiast o nowym ładzie ekonomicznym, mowa jest o nowym porządku **EKOLOGICZNYM**; o jego konieczności i nieodzowności. Rozumowanie zaś przebiega w następujący sposób.

Wścig zbrojeń się przeżył, o sile nie decydują obecnie już ani dywizje, ani główce, lecz wydajność gospodarki. SDI – Strategiczna Inicjatywa Obronna (której „Raport” poświęca cały osobny rozdział) w tej kwestii także niczego nie załatwia, ponieważ jedyny sens mogłaby ona mieć wtedy, gdyby gwarantowała stuprocentową niezawodność, tego natomiast obecny poziom rozwoju technologicznego nie jest w stanie zapewnić. Jeszcze inny istotny mankament, to jej ogromne koszty. Koszty, pod którymi musi się ugiąć nawet państwo najbogatsze i najsilniejsze. Koszty, których strona przeciwna z łatwością może uniknąć, ponieważ w związku z technicznie wymuszoną „nieszczelnością” ochronnego parasola wystarcza, by w superżelbetowych silosach wciąż przybywało nuklearnych głowic. Te zaś, w przeliczeniu na jednostkę rażenia, są aż dwukrotnie tańsze niż mający je unieszkodliwiać system obronny... Z drugiej strony środowisko naturalne całego globu jest dziś bardzo poważnie zagrożone. Pewnych zmian, które w nim zaszyły, nie da się już odwrócić – co najwyżej można myśleć o WYHAMOWYWANIU wielu niekorzystnych tendencji. Czy nie lepiej zatem pieniądze lokowane dotąd w bezużytecznych – jak się okazuje! – zbrojeniach przeznaczyć właśnie na ten cel? Właśnie na tym miałyby się zasadzać idea nowego ładu ekologicznego. Zdaniem naukowców z Worldwatch Institute jest to JEDYNE sensowne rozwiązanie i wyjście. JEDYNE. Nie wiadomo tylko, czy nawet gdyby tak uczynić natychmiast, nie okaże się wkrótce, iż i tak jest już o kilkadziesiąt lat za późno.

Przyjrzyjmy się niektórym faktom. Jednym z najbardziej zgubnych występujących dziś trendów jest stale zmniejszanie się powierzchni lasów. I mimo że jest to zjawisko masowe, o tym, na ile jest ono lekceważone, najlepiej może świadczyć fakt, iż brak jakichkolwiek całościowych i przekrojowych danych na ten temat, a najbardziej aktualne oceny pochodzą z 1982 r. czyli sprzed z górą 6 lat! Zgodnie z szacunkami z 76. krajów tropikalnych w obszarze międzyzwrotnikowym rocznie ubywa około 11 mln ha powierzchni zadrzewionych. Podstawową tego przyczyną jest pozyskiwanie ziemi pod uprawę, a w następnej kolejności wymienia się zdobywanie terenów pod zabudowę mieszkalną oraz wyrąb lasów na cele opałowe; w Ameryce Łacińskiej znaczne obszary puszczy przekształca się w pastwiska. Wylesianie nie jest jednak zjawiskiem ograniczonym wyłącznie do strefy tropikalnej. Występuje ono także na półkuli północnej, w szczególności w Europie. Tu jest ono powodowane przede wszystkim wzrastającym zanieczyszczeniem atmosfery oraz typowymi już dla tego obszaru kwaśnymi deszczami. Ma to jeszcze jeden dodatkowy, do niedawna nie dostrzegany aspekt – wymieranie lasu w tym regionie pociąga za sobą zmiany w składzie chemicznym gleby, to zaś może uniemożli-

wić powtórne odrodzenie się drzewostanu nawet w bardziej odległej przyszłości.

Zdaniem „Raportu – 1988” to właśnie gleba jest kolejnym ogniwem w łańcuchu globalnych zagrożeń. Masowo odzierana z ochronnej warstwy drzew – a więc pozbawiona sieci korzeni zwiększających jej spoistość, przyczepność, a także odcięta od stałego dopływu naturalnych składników pochodzących z rozkładu poszycia – ziemia na niespotykaną dotąd skalę zaczyna ulegać procesom degradacji. I choć jest to jedno z zagadnień, od którego w przyszłości zależeć wręcz może bilans żywnościowy świata – podobnie jak w przypadku wylesiania – tylko bardzo nieliczne kraje regularnie śledzą procesy erozji i wyjaławiania gleby, zaś w miejscach, gdzie do niedawna rosły jeszcze lasy, pojawiają się albo pola uprawne, albo pastwiska. Tak w jednym jak i w drugim przypadku w związku ze wzrastającą presją demograficzną, coraz silniejszą ekspansją ludzkich siedzib, nadmiernym poborem wód gruntowych, brakiem możliwości stosowania płodozmian i zbyt intensywnym, rabunkowym wypasem, faza ta nie trwa jednak zbyt długo. W wyniku nadmiernej eksploatacji niedawny las przeradza się najpierw w obszar półsuchy, a następnie reszty dokonuje erozja: tony żle związanych cząsteczek podłoża unosi wiatr, zmywają je także krótkotrwałe, lecz zwykle bardzo gwałtowne deszcze. W tej sytuacji – nawet jeśli istnieje – system irygacyjny w krótkim czasie musi ulec zamuleniu i zasypaniu. Następuje stopniowe wysychanie i pustynnienie terenu. Niedawny las przeradza się w pustynię. W ślad za tym pojawia się głód. Ale i na tym nie koniec – myliłby się ten, kto sądziłby, iż na tym kończy się ów łańcuch pomyłek, błędów i nieszczęść.

Bo to tylko mniejsza pętla zagrożeń – pętla regionalna. Swym zasięgiem może ona obejmować kilka krajów albo co najwyżej pół kontynentu. Najbardziej typowym jej przykładem mogą być te wszystkie plagi, które od przeszło 20 lat nękają państwa afrykańskiego Sahelu. Istnieje jednak i pętla większa – ogólnosiwiatowa, ogólnoplanetarna. Wzmocnia ona pętlę mniejszą – każe jej się nieustannie rozrastać, rozszerzać. Razem pętle te tworzą coraz większe błędne koło, które za wszelką cenę trzeba usiłować jak najszybciej rozerwać. To właśnie w jego obliczu autorzy „Raportu o stanie świata – 1988” postulują odejście od ideologicznej konfrontacji na linii Wschód – Zachód na korzyść ogólnoplanetarnej solidarności wobec globalnych, ekologicznych zagrożeń. Mówią: *W latach 70. uważano, że na to, by się zajmować środowiskiem naturalnym, pozwolić sobie mogą tylko najbogatsi... Dziś wiemy, że NIKT nie może sobie na to pozwolić, by problemów tych nie dostrzegać i by je lekceważyć.*

Owym największym zagrożeniem globalnym – zdaniem „Raportu” – jest obecnie nadmierne odkładanie się związków węgl-

lowych w atmosferze. Gospodarka światowa żyje energią, a w przytłaczającej większości uzyskuje się ją poprzez spalanie kopalin; uwalniane w ten sposób związki węgla są „wypływane” przez kominy – innej metody ich pozbywania się po prostu nie ma. Tymczasem proces akumulacji związków węglowych w atmosferze w ostatnim czasie został znacznie przyspieszony. Zadecydowały o tym 2 powody. Po pierwsze – mimo że kopalinami stosunkowo najczystszyimi i najmniej szkodliwymi dla środowiska są gaz i ropa naftowa, w wyniku gwałtownego wzrostu ich cen w latach 70. znacznie zwiększyło się zużycie węgla; ten zaś zanieczyszcza atmosferę w największym stopniu. Po drugie – część emitowanych do atmosfery związków węgla zwykle była neutralizowana przez zużywające je w procesie fotosyntezy duże połacie leśne. Dziś z powodu stale kurczących się powierzchni lasów dzieje się tak jednak w stopniu mniejszym niż kiedykolwiek dotąd. W tym miejscu obie pętle zagrożeń przecinają się po raz pierwszy – zanieczyszczenie powietrza powoduje umieranie lasów, przez co mniej węgla atmosferycznego może zostać unieszkodliwione, to zaś w jeszcze większym stopniu sprzyja wymieraniu lasów. Jak podaje „Raport”, na skutek spalania kopalnych nośników energii, rocznie do atmosfery trafia około 5,4 mld t węgla, natomiast skutkiem deforestacji liczba ta zwiększa się jeszcze dodatkowo prawie o połowę. Tak więc łącznie, w następstwie spalania i wylesiania, zawartość CO₂ w atmosferze zwiększyła się z 280 cząsteczek na milion w czasach preindustrialnych do 348 na milion w 1987 r. Oznacza to zmianę aż o 24%!

Rzecz jasna, tak duży skok w składzie chemicznym atmosfery nie może nie spowodować istotnych zmian w klimacie. Jak się ocenia, zwiększenie zawartości dwutlenku węgla w atmosferze już w chwili obecnej podniosło średnią temperaturę Ziemi o około 1°C – „efekt cieplarniany” nie jest więc już tylko czystą spekulacją, lecz **ZJAWISKIEM ZAObSERWOWANYM!** I nawet gdyby emisja związków węgla natychmiast miała spaść do zera, dalszy wzrost temperatury o kolejny stopień wydaje się już czymś nieuniknionym. A w skali globalnej zmiana średniej temperatury o jeden czy dwa stopnie jest już zmianą znaczącą – może ona spowodować bardzo gwałtowne perturbacje klimatyczne: susze tam, gdzie suszy dotąd nie było, nadmierne opady powodujące powodzie w strefach wcale na to nie przygotowanych. W ten sposób pętle zagrożeń zazębiają się po raz wtóry – w wyniku ogólnego ocieplenia tereny tak i tak ulegające wysychaniu będą teraz pustynnieć jeszcze bardziej.

W dłuższym czasie będzie to miało skutki, których zakres chyba trudno byłoby przecenić. W rolnictwie zmieni się zasięg upraw i trzeba będzie zmodyfikować systemy irygacyjne, które na jednych terenach (tam gdzie dotąd istniały) staną się zbędne, na innych zaś (gdzie nigdy ich nie potrzebowano) staną się wręcz

konieczne. W urbanistyce, w związku z groźbą podniesienia się poziomu wód w oceanach, trzeba będzie myśleć o zabezpieczeniu największych miast zlokalizowanych właśnie w strefach przybrzeżnych. Jeszcze inne zadania staną przed służbą zdrowia, która będzie musiała bardziej skutecznie zwalczać te wszystkie choroby, które będą się rozprzestrzeniać w związku z dalszym nadwątleniem ochronnej warstwy ozonowej, naruszanej m.in. przez odkładające się w atmosferze związki węglowe. Rozerwane zostaną tradycyjne, ukształtowane przez tysiąclecia obiegi materii w przyrodzie. Zburzeniu ulegą istniejące od dawien dawna ustabilizowane nisze ekologiczne i regionalne ekosystemy. W związku z gwałtownością i szybkością zmian w środowisku zostanie naruszona ciągłość ich rozwoju. Nastąpi cały kompleks zjawisk określanych zwykle mianem *zjawisk nieciągłości*, te zaś charakteryzują się m.in. tym, iż nigdy nie jesteśmy w stanie precyzyjnie przewidzieć nowego stanu równowagi, który – po ich wystąpieniu – po pewnym czasie ponownie się wyłoni.

Wiele populacji zwierzęcych nie przeżyje tego skoku – zabraknie czasu na przystosowanie, na wykształcenie się nowych mutacji, na wyciągnięcie z zanadru tego całego dostosowawczego instrumentarium, którym przyroda w obliczu ciągłych acz stosunkowo powolnych zmian nieomylnie posługiwała się od niepamiętnych czasów. Wiele gatunków zwierząt, owadów i roślin bezpowrotnie zniknie z powierzchni Ziemi. Nastąpi drugi czas masowego wymierania dinozaurów. W porównaniu z pierwszym – tym mającym miejsce w mezozoiku – będzie on jednak dużo bardziej bezwzględny i bezlitosny. Wymieranie będzie bardziej skoncentrowane w czasie i swym zasięgiem obejmie dużo więcej gatunków. Zresztą – użycie czasu przyszłego nie do końca wydaje się uzasadnione. L. R. Brown w „Raporcie – 1988” cały czas konsekwentnie stosuje CZAS TERAŹNIEJSZY! *Masowe wymieranie fauny i flory rozpoczęło się przed około 20 laty* – stwierdza. – *Obecnie trwa. Burzenie ekosystemów i wymieranie roślin oraz zwierząt następuje dziś już w całej pełni.*

Swoistą metodą zespołu Worldwatch Institute jest drażnienie świadomości odbiorców przez wielokrotne powracanie do tych samych tematów i ukazywanie ich raz za razem w kolejnych latach z całkiem różnych punktów widzenia i w najrozmaitszych perspektywach. Ten problem – problem masowego wymierania fauny i flory – pojawia się jednak w „Raporcie” po raz pierwszy; obok zagadnienia dechemizacji rolnictwa oraz tematyki ściśle strategicznej (problem SDI) na tle tego, co znamy z poprzednich roczników „Raportu o stanie świata”, stanowi on całkowite novum. Jednocześnie jednak jest to wątek, który doskonale wtapia się w wyraźnie „ekologiczną” tematykę tegorocznego opracowania

i stanowi ten jego fragment, który – będąc na pewno fragmentem najdramatyczniejszym – najsilniej przemawia do wyobraźni.

Tu punktem wyjścia jest prozaiczne, jak mogłoby się zdawać, stwierdzenie, iż **WIĘCEJ GATUNKÓW ZWIERZĄT MOŻNA ODNALEŹĆ NA POWIERZCHNI STU HEKTARÓW NIŻLI NA DZIESIĘCIU HEKTARACH**. Jeśli ów pozorny banał skojarzyć z tym wszystkim, co już uprzednio zostało powiedziane o masowym wylesianiu globu, cały dalszy ciąg rozumowania staje się bardziej niż oczywisty. Zależność między powierzchnią lasów w liczbą zamieszkujących je gatunków długo lekceważono. Zapominano o niej. Nikt podejmując działalność kolonizacyjną i gospodarczą nie chciał jej respektować. Przypomniano sobie o niej dopiero wtedy, gdy ogromne leśne kontynenty zaczęły się rozpadać na coraz większą liczbę coraz mniejszych wysepek. Gdy leśne masywy poczęły się rozsypywać w coraz bardziej odizolowane od siebie, kurczące się leśne enklawy. A przytoczoną wyżej zależność można przecież rozbudowywać jeszcze dalej. Bo na wyspie takiej jak Puerto Rico zamieszkuje dużo mniej różnych gatunków zwierząt niż na obszarze odpowiadającym jej wielkością a stanowiącym część zwartego kompleksu leśnego. Tymczasem takich zwartych kompleksów leśnych na Ziemi pozostaje coraz mniej; farmerzy i drwale rozrywają je siekierą, buldożerem i pługiem na coraz mniejsze skrawki, na coraz mniejsze fragmenty. Rzecz bowiem nie tylko w tym, że ogólna powierzchnia lasów się zmniejsza. Problem polega również na tym, iż coraz mniej korzystna jest ich struktura. Napór na tropikalne lasy Ziemi porównywany jest w „Raporcie” do powodzi. Tam, gdzie do niedawna jeszcze istniał Leśny Stały Łąd, dziś najczęściej pozostały już tylko Leśne Małe Antyle.

Cytowany w „Raporcie” Daniel Simberloff z Florida State University uważa, iż w przypadku gdy południowoamerykańskie lasy tropikalne skurczą się do 52% swej pierwotnej powierzchni (według aktualnych szacunków ma to nastąpić już w końcu obecnego stulecia), zanim zostanie osiągnięty nowy stan równowagi ekologicznej, bezpowrotnej zagładzie ulegnie 13 600 różnych gatunków roślin i zwierząt. Ekstrapolując tę sytuację na inne obszary oznacza to, iż **OGROMNA WIĘKSZOŚĆ GATUNKÓW FAUNY I FLORY ZNIKNIJE Z POWIERZCHNI ZIEMI, ZANIM JESZCZE W OGÓLE ZOSTANIE SKATALOGOWANA!** Ocenia się bowiem, iż tylko w tropiku żyją 3 mln rozmaitych gatunków roślin i zwierząt, zaś przyrodnicy poznali z tego dotąd zaledwie jedną szóstą!

Relatywnie jeszcze mniej wiemy na temat owadów, które spełniając w biosferze funkcję analogiczną do roli odgrywanej przez enzymy w organizmach żywych – stanowią najliczniejszą i najsilniej wyspecjalizowaną (a więc i najwrażliwszą na wszystkie zakłócenia w środowisku) populację na całym globie. Lecz i tu na pierwszy rzut oka fakty mogłyby mylić. Bo owady i rośliny stano-

wia aż 4/5 ogólnej liczby ZIDENTYFIKOWANYCH dotąd organizmów żywych. Z drugiej strony jednak, to właśnie owady są tą częścią żywej populacji, której ogromnej większości nie widziało dotąd oko biologa. Czyli – mówiąc jeszcze inaczej – przytłaczająca większość owadów WCIĄŻ JESZCZE NIE ZOSTAŁA ZIDENTYFIKOWANA! Może to właśnie dlatego procesy masowego wymierania biosfery w dużej mierze umykają naszej percepcji – ginie bowiem ta jej część, której oko człowieka nigdy jeszcze nie widziało. Owszem, biologia stosunkowo dobrze poznała kręgowce; te jednak stanowią ledwie 3% ogólnej liczby żywych organizmów.

W tej sytuacji koniecznością chwili jest dokonanie pełnej inwentaryzacji możliwie jak największej liczby ginących gatunków; na swych kartach „Raport” wielokrotnie wzywa do podjęcia takiej akcji. Miałaby to być akcja międzynarodowa, najlepiej przeprowadzana pod auspicjami ONZ. Zespół L. R. Browna określa ją jako *Projekt Absolutnego Minimum*. Minimum tego, co trzeba zrobić dla ginącej przyrody. Minimum tego, co należy uczynić, by zdać sobie sprawę z rozmiarów zniszczeń spowodowanych przez człowieka. W ten sposób potwierdza się już po raz nie wiadomo który prastara prawidłowość, którą można określić mianem **STRUKTURALNEGO NIEDOROZWOJU PROFILAKTYKI**. Człowiek lepiej potrafi usuwać i leczyć rany niż zapobiegać sytuacjom, w których wyniku dochodzi do zadawania tych ran (powstawanie najrozmaitszych konfliktów, wojny). Tu sytuacja jest nawet jeszcze bardziej groteskowa. Bo stając do wyścigu z ginącym tropikalnym lasem nauka ma się zająć już nie tyle szukaniem metod mogących zahamować proces zagłady, ile raczej ma się skoncentrować na skatalogowaniu nieznananych gatunków w obliczu ich nieuchronnego unicestwienia. Ma się więc zająć już wyłącznie swoistą typologią śmierci².

Zagłada całych, na dodatek nieznananych, gatunków oznacza stałe zmniejszanie się różnorodności genetycznej biosfery. Zbyt mało jeszcze wiemy o współzależnościach i sprzężeniach zwrotnych na różnych piętrach ekosystemu, by móc choć w przybliżeniu przewidywać przyszłe możliwe tego konsekwencje. Wiemy jednak, iż każda różnorodność oznacza potencjalną elastyczność i dużą zdolność przystosowawczą do zmieniających się warunków. Przypuszczamy również, iż skoro dany gatunek istniał przez całe miliony lat w określonym ekosystemie, to najwidoczniej stanowił jego konieczne ogniwo. Najprawdopodobniej więc masowe wymieranie tak roślin jak i zwierząt nie pozostanie bez wpływu na dalszy przebieg ewolucji biosfery. Jaki to będzie wpływ – nie sposób dziś przewidzieć; trudno jednak przypuszczać, by mógł to być wpływ pozytywny. Nic więc dziwnego, iż ludzkość często porównuje się do pilota samolotu lecącego na znacznej wysokości, który w napadzie szaleństwa zaczyna niszczyć te wszystkie mechanizmy i przyrządy kontrolne, które w tej fazie lotu nie są mu

akurat potrzebne. Z tego, co uczynił, zda on sobie sprawę dopiero wtedy, gdy będzie musiał zacząć sprowadzać maszynę na ziemię. Okaże się wtedy, iż zdemolował i wysokościomierz, i żyroskop, i wolant, który nie będzie już chciał słuchać rozpaczliwych ruchów jego ręki...

Mimo świadomości powagi obecnej sytuacji aż w taki pesymizm „Raport o stanie świata” jednak nie popada. To zresztą jedna z jego charakterystycznych cech, do której w ciągu swej pięcioletniej historii zdołał nas już nieco przyzwyczaić. Zawsze stara się on pokazywać potencjalne, w dodatku dość proste i nieskomplikowane drogi wyjścia z krytycznej sytuacji. W tym przypadku – gdy mowa o ginących lasach i wymierających gatunkach zwierząt – stwierdza, iż trzeba po prostu dokonać pewnej swoistej transakcji – kraje najwyżej rozwinięte, kraje wierzycielskie winny zaproponować zadłużonym państwom rozwijającym się odpisanie części ich zadłużenia w zamian za zachowanie w nienaruszonym stanie sporych powierzchni zalesionych znajdujących się na ich terytoriach. Przykłady Boliwii oraz Brazylii pokazują, iż mechanizm taki w praktyce funkcjonuje bardzo dobrze i że w dość krótkim czasie może przynieść nadszodkiewane, pozytywne rezultaty.

Poruszone zostają także te wszystkie problemy, które przez ostatnie 4 lata stale już przewijały się przez karty „Raportu”, a więc: przechodzenie na „czyste” i odnawialne źródła energii, powtórne wykorzystywanie odpadów przemysłowych, odchodzenie od chemicznych środków nawożenia ziemi na korzyść biologicznych sposobów zwalczania szkodników. Jak zwykle „Raport” oferuje wizję kompletną, całościową i całkowicie realną do urzeczywistnienia – wizję pozbawioną jakiegokolwiek dozy utopijności. A przy okazji pokazuje on i uświadamia, jak szybko postępuje obecnie proces rozpadu świata na dwie całkiem różne i trudne już nawet do porównywania połowy. Na tych, którzy już teraz próbują zastanawiać się nad rozmaitymi problemami w skali kontynentów i całej planety, oraz na tych, którzy z uporem maniaka wciąż bezskutecznie ścierają się z problemem... braku wagonów, z brakiem papieru toaletowego, z problemem krzywych gwoździ oraz z przysłowiowym już brakiem sznurka.

Roman Warszawski

² Problem ginących gatunków pojawia się również w raporcie *Our Common Future* (Nasza wspólna przyszłość), opracowywanym w l. 1984-87 przez Światową Komisję Środowiska i Rozwoju, powołaną do życia na mocy rezolucji nr 38/161 Zgromadzenia Ogólnego ONZ; szanse na podchwycenie apelu L. R. Browna przez tę organizację są więc chyba spore. W raporcie tym czytamy m.in.: „.../ oprócz względów użytkowych istnieją jeszcze racje moralne, etyczne, kulturowe, estetyczne oraz czysto naukowe przemawiające za ochroną dzikich gatunków. Problem ginących gatunków i zagrożonych ekosystemów powinien więc otrzymać priorytetowe znaczenie na liście głównych problemów gospodarki zasobami. /.../ Rządy powinny dążyć do zawarcia „konwencji gatunkowej”, podobnej do innych międzynarodowych konwencji odzwierciedlających zasadę „zasobów powszechnych”.

Słuszność i prawda „Dzieci Arbatu“

W miesięczniku „Nasz Sowremiennik” (4/1988) ukazał się artykuł prof. W. Kożynowa, pracownika Instytutu Literatury Światowej AN ZSRR, dotyczący problemu prawdy we współczesnej radzieckiej literaturze obrachunkowej na przykładzie powieści Anatola Rybakowa „Dzieci Arbatu”. Artykuł ten zasługuje na uwagę z tego względu, że dzisiejsze poszukiwania prawdy historycznej autor ujmuje w aspekcie filozoficznym, zwłaszcza historyzoficznym, jako problem poszukiwania istoty procesu historycznego, sprowadzając jednocześnie aktualne dyskusje na twardy grunt tradycyjnych problemów rosyjskiej myśli społecznej. W efekcie otrzymaliśmy jakby współczesną panoramę „kompleksu rosyjskiego” z zaznaczonymi jej ważniejszymi punktami.

Prof. Kożynow znany jest polskiej publiczności m.in. jako odytor spuścizny Michaiła Bachtina i działacz „Pamięci”. W opublikowanym przez „Ład” (29/1987) wywiadzie odcina się on od skrajnych elementów szowinistycznych tego ruchu, ale w pełni solidaryzuje się z jego głównym nurtem, dążącym do przywrócenia rosyjskiej tożsamości narodowej. Z tego powodu autor jest oskarżany o nacjonalizm. Nie wdając się w tym miejscu w rozważanie słuszności tego zarzutu, co jest trudne z tak odległej perspektywy, można jedynie wnioskować, że syndrom „Pamięci” (szowinizm, antysemityzm) wydaje się immanentną częścią „kompleksu rosyjskiego”.

Kożynow rozpoczyna od stwierdzenia, że powiedzenie głośno o wszystkim, o czym wcześniej milczano, jest głównym celem współczesnych radzieckich pisarzy i publicystów. Każdy autor stara się powiedzieć możliwie najpełniejszą i najbardziej okrutną prawdę. Ale gdy prawdę mówią nawet ci, którzy dawniej milczeli, można postawić pytanie: Czy mówienie prawdy nie jest zbyt lekkim zajęciem? Zwłaszcza że dzisiaj, aby głosić prawdę, wystarczy otrzymać odpowiednie zezwolenie.

Dlatego Kożynow sądzi, że problem prawdy jest bardzo złożony. Rozróżnia on przede wszystkim moralny i intelektualny aspekt prawdy, którym odpowiadają rosyjskie słowa „prawda” i „istina”. „Prawda” – to słuszność i racja, zaś „istina” – to właśnie prawda w filozoficznym znaczeniu¹. Michaił Priszwin pisał: *Słuszność wymaga wytrwałości; słuszności należy bronić albo wisieć za nią na krzyżu, do prawdy człowiek dąży. Przy słuszności należy obstawać, prawdy należy szukać*. Słuszność to coś mniej lub bardziej oczywistego i jednoznacznego. Nie jest ona zjawiskiem intelektualnym, ale etycznym. Mieć słuszność, to znaczy postępować odważnie lub w razie konieczności dokonywać mężnych czynów.

W warunkach gdy słuszność może głosić każdy, traci ona swoją etyczną wartość. Prawda nie jest oczywista i jednoznaczna; by ją pojąć, potrzeba wysiłku poznającego i myślącego ducha. Nie wymaga ona męstwa czynu, ale męstwa myśli.

Jednoznaczność i prostolinijność prawdy nie umniejszają jej wartości. Nie należy zabijać ludzi, niezależnie od tego kim są. Włodzimierz Majakowski pisał, przebywając na miejscu zamordowania cara Mikołaja II, w wierszu opublikowanym dopiero po 1956 r., że komunista i człowiek nie powinien być żądnym krwi. Sens tych słów jest również taki, że rozróżnienie słuszności i prawdy dokonuje się w ludzkim życiu.

W 1922 r. Eugeniusz Zamiatin pisał do swojego przyjaciela, Aleksandra Worońskiego (ich korespondencja została niedawno opublikowana), że nie rozumie, jak można zabić człowieka leżącego. Wątpliwość Zamiatina była związana z przewartościowaniem własnej postawy etycznej i politycznej. Na co Woronński – wysoko wówczas postawiony działacz partyjny – odpowiedział: *Jak to, dlaczego nie można? Czasami można, czasami nie można.* Aresztowany w 1937 r. Woronński sam się przekonał, jak niebezpieczne było podważanie uniwersalnych norm moralnych. Ale czy to znaczy, że Zamiatin miał rację? Przecież jego los był nie mniej tragiczny – zmarł w biedzie na emigracji. Czy nie świadczy to więc o słuszności Woronńskiego? Gdy Woronński zarzuca Zamiatinowi, że stoi on z boku współczesnej walki, to zapewne znajduje się w tym część jakiejś, choćby osobistej, prawdy. *Wmyślając się – komentuje opisywane zdarzenia Kożynow – w te osobiste losy, można zrozumieć, jak złożona i niejednoznaczna jest prawda, która przecież powinna powiązać dwie ludzkie racje. Ale oczywiście jeszcze bardziej trudna do zrozumienia jest prawda całego społeczeństwa, prawda narodowa.*

Odróżnienie słuszności i prawdy prowadzi autora do konstatacji, że współcześni pisarze, pośpiesznie opisujący najbardziej tragiczne zdarzenia, za prawdę uznają częściową albo nawet nie słuszność, lecz tylko te lub inne *okrutne fakty*. Kożynow pokazuje to na przykładzie powieści Rybakowa. Jej wybór nie jest przypadkowy, gdyż w najbardziej jaskrawy sposób wyraża ona to rozumienie prawdy, które charakteryzuje współczesną literaturę i publicystykę. Ponadto powieść ta obejmuje szeroki krąg zjawisk, stanowi próbę opisanie szerokiej panoramy życia ZSRR. Powieść ta również spotkała się z głośnym przyjęciem i zdobyła sobie uznanie

¹ J. Dobieszewski, tłumacz artykułu Mikołaja Bierdiajewa *Filozofskaja istina i intelligientkaja prawda*, postępuje inaczej i tłumaczy „prawda” jako „racja”. Por. M. Bierdiajew, *Filozoficzna prawda a inteligencka racja*, „Colloquia Communia” 56/1984, s. 307–321.

jako *prawda o wszystkim, co przeżył kraj*, a nawet jako *prawda szekspirowska*. Ale Kożynow sądzi, że powierzchowność i nieprawdziwość powieści szybko staną się oczywiste dla wielu czytelników.

Rozpoczyna on od omówienia kilku historycznych niedokładności powieści. Wspomnę o jednej z nich. Otóż w kluczowej scenie monologu wewnętrznego Stalina w czasie zebrania KC 14 VII 1934 r. na temat planu rekonstrukcji Moskwy przypisuje on Stalinowi inicjatywę i organizację tego przedsięwzięcia oraz motywację płynącą z *głębokiego rosyjskiego uczucia miłości do Moskwy*. Tymczasem wiadomo, że inicjatorem i organizatorem rekonstrukcji Moskwy był Łazar Kaganowicz i przebiegała ona w duchu zniszczenia moskiewskich zabytków³. Oczywiście sama zgodność faktów powieściowych z poszczególnymi faktami historycznymi nie jest sprawą istotną. Ważne jest tylko przedstawienie ogólnego procesu historycznego. A z tego punktu widzenia przypisanie Stalinowi *głębokiego rosyjskiego uczucia miłości do Moskwy*, na dodatek w scenie monologu wewnętrznego, w toku którego odkrywa on *rosyjski charakter władzy despotycznej*, jest już zagadnieniem pierwszoplanowym i wyraża zasadniczą linię ideową powieści. Z drugiej zaś strony uznanie przez Kożynowa głównej odpowiedzialności Kaganowicza za zniszczenie zabytków Moskwy może narazić autora na zarzut tendencyjnego doboru przytaczanych nazwisk.

Do zrozumienia ogólnego procesu historycznego ważne jest wyjaśnienie genyzy kultu Stalina. Rybakow podejmuje próbę udowodnienia, że Stalin sam stworzył swoje jedynowładztwo. Odnotowuje on, co prawda, niebywały potok pochwalnych słów w trakcie XVII Zjazdu w lutym 1934 r., który był dziełem wszystkich delegatów. Wychwalali Stalina zarówno G. Zinowjew, L. Kamieniew, K. Radek, M. Bucharin, A. Rykow, M. Tomski, jak i „niepewni” współpracownicy: S. Kirow, G. Ordżonikidze, W. Kujbyszew, J. Rudzutak. Tę postawę tłumaczy Rybakow w monologu wewnętrznym Kirowa jego przekonaniem, że Stalin poznał sekret władzy i zdołał wmówić narodowi wiarę w swoją wszechpotęgę. Ale przecież tę wiarę wmawiali narodowi przede wszystkim Kirow i inni „niepewni” członkowie Biura Politycznego oraz przywódcy opozycji partyjnej, nie zaś Stalin i jego kreatury.

Dla Kożynowa nie jest przypadkiem, że jedyną osobą, która już w 1934 r. przedstawiła Stalina jako Człowieka-Boga, a tym pojęciem F. Dostojewskiego posługuje się autor, była Dolores Ibaruri, czyli człowiek Zachodu. Być może, że jej przemówienie powstało na skutek intryg Stalina. Ale czy intrygami Stalina można wytłumaczyć książkę H. Barbusse'a, przenikniętą patosem wystąpienia L. Aragona, P. Eluarda, J. Feuchtwangera, R. Rol-

landa i tylu innych? Książka Barbusse'a jest nieporównywalna w swoim znaczeniu z broszurą L. Berii. Czy więc kult Stalina nie był także dziełem wybitnych europejskich intelektualistów? *Kult Stalina wcale nie jest – pisze Kożynow – rezultatem intryg jego samego lub jakichś domniemyanych pomocników, było to w bezpośrednim tego słowa znaczeniu zjawisko światowe, które urzeczywistniało się wszędzie od Madrytu do Szanghaju.*

W rozumieniu Kożynowa kult Stalina był wypadkową działania różnych ludzi kierujących się różnymi motywami. Był on obiektywnym rezultatem subiektywnych działań. Odwołuje się on do znanych sformułowań F. Engelsa, że końcowy rezultat procesu historycznego powstaje ze zderzenia różnorodnych sił. Jest to rezultat, którego nikt nie chciał, ale który jest koniecznym następstwem przeciwnych celowych działań. Powołuje się też na słowa W. Lenina o historycznej konieczności dyktatury Napoleona. Rezultat historyczny może być według Engelsa rozpatrywany jako wytwór siły działającej jako całość. *Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że podniesienie Stalina do rangi Człowieka-Boga było rezultatem działania takiej jedynej – potężnej i ogólnoświatowej w swym rozmachu – siły, a nie knowań „stalinowskiego” ugrupowania.*

Uzbrojony w ryzostunek kategorii materializmu historycznego Kożynow pisze, że jeśliby potężna światowa siła nie uczyniła Stalina Człowiekiem-Bogiem, to żadne zakulisowe intrygi nie mogłyby stworzyć sytuacji 1937 r. Koncepcja ta wywołuje jednak w autorze tego sprawozdania zasadniczą wątpliwość. Czy ta historiozofia nie kryje w sobie pewnego niebezpieczeństwa związanego z tym, że przeciw owej anonimowej sile historii łatwo nałożyć na twarz demoniczną maskę „siły szatańskiej”? I to się już stało, o czym dalej pisze sam Kożynow. Z drugiej strony nie wiem, czy problem zła w historii wymaga tłumaczenia działaniem siły światowej? Gdy Dostojewski używał pojęcia Człowieka-Boga, miał przeciw na myśli sytuację, gdy zło jest czynione bez wyraźnych motywów, w celu czystego eksperymentu. A w końcu jesteśmy już przecież bogatsi o całe doświadczenie „banalności zła”. Gdy czyta się książki R. Miedwiediewa czy A. Awtorchanowa, trudno nie przyznać racji H. Arendt, że główną przyczyną zła w dziejach była zwykła ludzka beczność i przemożna potrzeba sukcesu.

Terror 1937 r. znajduje się w centrum zainteresowania literatury obrachunkowej, ale właśnie w tym wyraża się jej czysto „subiektywna” słuszność, lecz nie prawda. Powołując się na prace demografów (W. Daniłowa, B. Urlanisa, J. Polakowa, O. Kisielowa) Kożynow podaje następujące dane. Ludność Rosji (w granicach

² Pisze o tym także R. Miedwiediew, *Ludzie Stalina*, Warszawa 1988, s. 55.

przedrewolucyjnych) na początku 1914 r. liczyła 139,3 mln ludzi, jesienią 1917 r. – 147,6, w połowie 1922 r. – 132,5. Ubytek ludności w latach wojny domowej wyniósł więc ok. 15,1 mln i to pomimo wysokiego współczynnika urodzeń. Z tego na straty bezpośrednio wojenne przypada ok. 800 tys., zaś emigracja objęła około 2 mln ludzi. Kogo więc obejmuje pozostała liczba 12,3 mln zabitych? Zdaniem Kożynowa w większości są to straty ludności wiejskiej spowodowane chorobami, głodem i bezpośrednie ofiary akcji rekwizycji zboża. Dla tego artykułu programowe znaczenie ma zwrócenie uwagi na chłopską tragedię lat 1918–22. Ale z punktu widzenia literatury ważne jest przede wszystkim zrozumienie i ocena tego zjawiska przez pisarzy. Otóż wielu pisarzy miało w tej sprawie własną „słuszność”, którą najlepiej oddają słowa Edwarda Bagrickiego: *Nie szumi bratizka. / Usom w mussornoju kuczu, / Rasstrielar' i kryszka.*

W latach 1929–39 ludność ZSRR wzrosła o około 17 mln ludzi. Oczywiście gdyby nie ofiary terroru wzrost mógłby być znacznie większy, ale największe straty przypadają nie na lata 1937–38, na których właśnie koncentrują się przede wszystkim pisarze i publicyści, ale na rok 1933. Liczba ofiar klęski głodu jest trudna do oszacowania. Według cytowanych przez Kożynowa oficjalnych danych I I 1933 r. ludności ZSRR było 165,7 mln, zaś I I 1937 r. – tylko 163 mln. Według B. Urfanisa w kwietniu 1933 r. ludność ZSRR miała liczyć tylko 158 mln, a więc głód spowodował śmierć co najmniej 7,7 mln ludzi. Przy czym należy dodać, że klęska głodu dotknęła najbardziej urodzajne, zbożowe regiony kraju. Tak więc dwie największe narodowe tragedie – wojna domowa oraz kolektywizacja – dotknęły przede wszystkim chłopów.

Z tego powodu pod adresem powieści Rybakowa rodzi się zarzut pseudointeligenckiego subiektywizmu. Kożynow mówi o literaturze, która skupiła się wyłącznie na problemach wąskiego środowiska inteligencji. Nie powinna ona jednak żyć wyłącznie własnymi problemami. Obowiązkiem inteligenta – jak pisał Siergiej Awierincew – jest rozumieć innych. Nie może on w swoim myśleniu ignorować złożonej całości i swojej odpowiedzialności przed całością.

Jak więc zrozumieć słowa Ilji Erenburga, który wspominając 1934 r. pisał: *Czasy były wcale dobre?* Tę samą postawę grupowego egoizmu odnajduje Kożynow w powieści Jurija Trifonowa „Odblask ogniska”. W utworze poświęconym pamięci ojca, W. Trifonowa, przytacza on archiwalny dokument, w którym ojciec poleca zniszczyć w całości te stronicę, które współpracują lub wspomagają zdrajców sprawy robotniczej. Pisarz wyrażający oburzenie z powodu zbrodni 1937 r. nie zauważa terroru – tragicznej strony każdej rewolucji, dopóki odnosi się on do mieszkańców odległych

stanie, nie zaś do mieszkańców domu nad rzeką Moskwą przy ulicy Granowskiego lub na Arbacie.

W ten sposób Kożynow łatwo może się narazić na zarzut antyinteligencji. Nie jest on w pełni uzasadniony. Sądzę, że chodzi tu przede wszystkim o zarzut sprzeniewierzenia się przez inteligencję obowiązkowi służenia prawdzie. Temu, co Awierincew nazwał odpowiedzialnością przed całością. Czy jednak w rozumieniu Kożynowa prawda całości, prawda narodu jest głęboką filozoficzną prawdą? Wątpię, że oznacza ona próbę przezwyciężenia tego niskiego stopnia kultury filozoficznej, który inteligencji rosyjskiej zarzuca Mikołaj Bierdiajew. Według niego dla rosyjskiej inteligencji był typowy mało kulturalny stosunek do filozofii, którą podporządkowano celom utylitarno-społecznym. Czy opinia ta jest słuszna i dzisiaj? Czy prawda narodu jest rzeczywiście prawdą filozoficzną, nie zaś współczesną odmianą *kryterium moralno-uitylitarnego*? Czy więc stanowisko Kożynowa rzeczywiście może służyć przezwyciężeniu *inercji myśli i konserwatyzmu uczuć*?

U podłoża powieści Rybakowa Kożynow dopatruje się *konceptji*, która najpełniej się wyraża w stałym, przeciwstawianiu zasad *europejskich i azjatyckich*. Otóż zdaniem Rybakowa dyktatura i terror Stalina były zjawiskami specyficznymi rosyjskimi, wywodzącymi się jeszcze z tradycji Iwana Groźnego. Wywołuje to ogromne oburzenie Kożynowa, który twierdzi, że terror polityczny w wielu krajach Europy Zachodniej w XVI-XVII w. był nieporównywalny z terrorem czasów Iwana Groźnego. Nadto w Rosji nigdy nie było kultu Iwana Groźnego, zaś jedynymi, którzy go wysoko cenili, byli „zapadnicy”: A. Hercen, W. Bieleński, P. Czadajew. Kożynow pisze, że w Rosji, w przeciwieństwie do krajów Europy Zachodniej, w XVIII-XIX w. z przyczyn politycznych skazano sądownie na śmierć jedynie 56 osób. Nawet terror lat rewolucji 1905-07 miał być nieporównywalny z terrorem w Paryżu w 1871 r. Dlatego też, zdaniem Kożynowa, terror polityczny jest obcy kulturze rosyjskiej. Na kanwie sporu o genezę stalinizmu otrzymujemy niemalże współczesną wersję dyskusji „zapadników” i „okcydentalistów”. Czy Kożynow nie przesadza pomijając liczne krwawe ofiary powstań i terroru pozasądowego? Być może w państwie cara skazanie przez sąd było przywilejem dostępnym tylko nielicznym? Z drugiej zaś strony trudno się nie zgodzić z opinią, że stalinizm stanowił zasadniczy przełom w dziejach kultury politycznej w Rosji. O łagodności rosyjskiego prawa najlepiej przekonali się sami bolszewicy. Gdy tymczasem jedna z bohaterek powieści Rybakowa mówi: *Dziękuję! Trzy lata zsyłki na Syberię za wiersze w gazecie ściennej.*

Wyprowadzenie genealogii Stalina od Iwana Groźnego wywołuje oburzenie Kożynowa także dlatego, że ignoruje ono nie-

uchronny tragizm historii rewolucji. Przytacza on opinię Tocqueville'a, że każda rewolucja kończy się umocnieniem potęgi państwa. Rewolucja zawsze oznacza zniesienie praworządności. *Naukowe rozumienie dyktatury* – jak pisał Lenin – oznacza niczym nie ograniczoną, opartą na przemocy władzę. W. Mienżyński wspominał, że F. Dzierżyński traktował wyrok jako burżuazyjny przeżytek, represje zaś uznawał za dogodny środek walki politycznej, stosowany wyłącznie w zależności od zmieniających się okoliczności. Przejęcie władzy przez „złych” ludzi niczego nie tłumaczy, gdyż tragizm rewolucji polega na tym, że „zło” czynią ludzie „dobrzy”. Kożynow przytacza w tym miejscu słowa A. Łosiewa z jego pracy o estetyce Odrodzenia: *Góra trupów, którą kończy się każda tragedia Szekspira, jest strasznym symbolem... Odrodzenia*.

Kłeska głodu w 1933 r. jest istotna nie tylko dlatego, że błędą przy niej zbrodnie 1937 r. Jest ona ważna także dlatego, że nie można całej odpowiedzialności za nią rzucić wyłącznie na Stalina. Odpowiedzialność ponoszą także ludzie, którzy później stali się jego ofiarami. Niewątpliwie w tym czasie Stalin nie miał jeszcze pełni władzy w swoich rękach, zaś większość w kierownictwie partii stanowili „niepewni” współnicy: Kirow, Ordżonikidze, Kujbyszew, S. Kosior i inni. G. Jagoda i J. Jakowlew, główni odpowiedzialni za przebieg kolektywizacji, na pewno nie byli stalinowskimi kreaturami, tak jak Beria czy G. Malenkow. Już w powieściowym styczniu 1934 r. Kirow rozmyśla nad usprawiedliwieniem przeraźliwych ofiar zastosowania „surowych środków”.

Kożynow nie ceni sobie artystycznych walorów „Dzieci Arbatu”. Píše, że nie ma w tej powieści ani słuszności w *autentycznym, etycznym znaczeniu słowa*, oznaczającym odważne przeciwstawienie się panującemu kłamstwu, ani oczywiście prawdy. Wszystko to, co „zdemaskowane” w powieści, było zdemaskowane już w 1956 r. i w latach następnych. Nieobecność prawdy przejawia się wyraźnie w nieprzekonywającym przeciwstawieniu w powieści Stalina i Pankratowa. Saszka Pankratow, czyli Wszechwładny, pod względem wewnętrznego charakteru, zachowania i myślenia niczym nie różni się od Stalina. Pankratow i Stalin to według Kożynowa bracia.

Autor kończy swój artykuł stwierdzeniem, że dążenie do prawdy napotyka wiele przeszkód, skoro inny jego artykuł o powieści D. Granina („Drużba narodów”, 1/1988) spotkał się na łamach „Ogonioka” z zarzutem tendencyjnego doboru „odpowiednio” brzmiących nazwisk. Co ma świadczyć o przypisywaniu przyczyn zła jedynie *obcoplemiencom*, czyli w terminologii „Pamięci” jakiejś „sile szatańskiej”. Oczywiście problem nie dotyczy przytaczania nazwisk, czego zresztą trudno uniknąć w jakimkolwiek rzetelnym

artykule dotyczącym historii ZSRR. Cała polemika Kożynowa z „Ogoniakiem” świadczy chyba o istnieniu przynajmniej dwóch niezwykle istotnych zagadnień.

Po pierwsze, Kożynow dowodzi, że cała literatura i publicystyka wysuwająca na pierwszy plan represje 1937 r. wyrasta na podglebiu grupowego egoizmu, a przecież najbardziej tragiczne w dziejach narodu rosyjskiego były lata wojny domowej i kolektywizacji. Ułatwia tym samym stwierdzenie, że terror 1937 r. był grupową tragedią, z czym już żadną miarą zgodzić się nie można. Tylko krokiem dalej jest interpretowanie ówczesnych zbrodni w kategoriach narodowościowych, np. jako walki z beznarodowościowym internacjonalizmem. Sam Kożynow ostro protestuje przeciwko „narodowemu” rozumieniu stalinizmu, jako zjawiska czysto rosyjskiego, i optuje za określeniem jego międzynarodowego charakteru. Wszystko to jednak świadczy, że dla świadomości społecznej określenie historycznej roli *inorodców*, a zwłaszcza Żydów, nastrocza wiele kłopotów i istnieje realne niebezpieczeństwo, że fala jawności rozbije się na skałach antysemityzmu³.

Czy jednak chodzi rzeczywiście o „obcych”? Kożynow, obrońca takich wartości kultury tradycyjnej, jak chłopskość, swojskość, narodowość, krytyczny stosunek do inteligencji i kultury zachodniej, występuje jako rzecznik rosyjskiej tożsamości narodowej. Czy niechęć do obcych jest konieczna, aby odrodzić narodowe poczucie tożsamości? Bohater książki Aleksandra Zinowiewa „Świetlana przyszłość” rozważając problem powstawania w Moskwie kosmopolitycznego środowiska dochodzi do wniosku, że w wyniku rewolucji, wojny domowej, kolektywizacji, represji i wojny światowej Rosja jako struktura narodowościowa przestała istnieć. Istnieje już tylko ludność rosyjska jako materiał na coś nowego. Rosyjski nacjonalizm, antysemityzm, żydowska konsolidacja i emigracja mogą tylko powstrzymać proces powstawania nowej społeczności. Nowej? Czyli jakiej? A może normalnej? Można więc odnieść wrażenie, że wśród wszystkich problemów narodowościowych w ZSRR najbardziej nabrzmiała jest kwestia rosyjska, zaś problem żydowski stanowi immanentną część „kompleksu rosyjskiego”.

Po drugie, koncepcja „obcych” jako „siły szatańskiej” w dziejach Rosji wydaje się odwrotnością tej koncepcji historiozoficznej, do której odwołuje się Kożynow w celu wy tłumaczenia genezy kultu Stalina. Przyjmuje on od Engelsa wyjaśnienie przy użyciu kategorii niejawnej siły, która działa w historii jako całość. Ta w gruncie rzeczy oświeceniowa koncepcja historiozoficzna (to

³ Sam się spotkałem z interpretacją artykułu w „Prawdzie”, dotyczącego jednego z procesów wojskowych, polegającą na ustaleniu narodowości skazanych, a zwłaszcza odsetka Żydów wśród skazanych i w ogóle „u władzy”.

Herder pisał, że tam gdzie jest skutek, tam jest i przyczyna, a gdzie jest przyczyna, tam musi być siła działająca) miała wielu wybitnych zwolenników. Hegel pisał o mocy całości, ale odróżniał ją od przemocy części, a Marks wołał: *Dzielnie ryjesz stary krecie!* W kulturze europejskiej koncepcja niejawnej siły historii ma jednak swoje drugie oblicze, powstałe pod wpływem uczucia zbiorowego strachu, gdy siła historii przybrała postać „siły szatańskiej”. Wtedy jest ona narzędziem wewnętrznego zniewolenia. Czy jednak obie te koncepcje nie mają cechy wspólnej – złożenia odpowiedzialności za bieg historii na jakąś siłę zewnętrzną? Powracając raz jeszcze do artykułu Bierdiajewa „Filozoficzna prawda a inteligencka racja” można przypomnieć jego myśl, że nie jest godne istot wolnych składanie odpowiedzialności na siłę zewnętrzną. *Tylko świadomość winy naszej* może prowadzić do powstania nowej duszy inteligencji rosyjskiej. Kożynow, który z równą mocą cytuje Lenina i Tocqueville’a, niewątpliwie podjął wysiłek podniesienia współczesnych problemów do rangi rzeczywistych dylematów moralnych i filozoficznych. Czy nie zatrzymał się jednak w pół drogi?

Włodzimierz Marciniak



Świadectwo wiary

Kościół Św. Joachima i Św. Anny w Dziewkowicach
k. Strzelc Opolskich

W dziele, jakiego dokonali mieszkańcy Dziewkowic, ujawnia się siła i ogromne możliwości laikatu, który mimo laicyzacji i ateizacji tkwi mocno w rzeczywistości Kościoła i przez współpracę z duszpasterstwem zdolny jest do wielkiego i bezinteresownego poświęcenia się dziełom apostołatu. Dla przyszłych pokoleń niech będzie to skromne świadectwo wiary, modlitwy i pracy Ojców /.../. Tak kończy wprowadzenie do swojej pracy „Budowa kościoła a ożywienie życia religijnego w Dziewkowicach” ks. Ernest Noziński – proboszcz i budowniczy. Wizytę tę planowałem i odkładałem już od kilku lat. Pierwszym sygnałem było przyznanie temu kościołowi w 1979 r. Nagrody Brata Alberta, później – podczas naszych seminariów na tematy architektury sakralnej – poznałem autora świątyni, mego opolskiego kolegę, architekta Zdzisława Budzińskiego.

Dziś, w styczniowy, ale słoneczny i bezśnieżny dzień fotografuję, rysuję i przede wszystkim rozmawiam z obu autorami Wydarzenia, bo czymś takim jest każda budowa nowej świątyni, zaś przez nią – budowa parafii. Rozmawiam z proboszczem i architektem o zbiorowym budowniczym, którym jest cała wspólnota parafialna.

Ale że Wydarzenie dzieje się na zachodnich rubieżach zarówno Polski jak i będących granicą tak żywej i powszechnej religijności katolickiej, nie można pominąć historii tego miejsca. Sięga ona XIV w., kiedy to Dziewkowice były posiadłością rycerską i później książęcą pozostającą przez kilka wieków pod wpływem cysterskiej parafii z niedalekiej Jemielnicy. Sekularyzacja zakonu i cały okres Kulturkampfu nie złamały przystawionej religijności podońskiej wsi dzięki gorliwości kapłanów diecezjalnych.

W okresie międzywojennym zaczęło dojrzewać pragnienie posiadania własnego kościoła. Jego namiastką stała się kaplica Św. Anny, do dziś istniejąca i pieczołowicie odnawiana przez obecnego proboszcza. W 1968 r. rozpoczęto tam odprawianie stałych mszy. Wieś liczyła już około 1580 mieszkańców, podczas gdy kaplica ma wymiary wnętrza 3,5×4,5 m! W 1969 r. zapoczątkowano formalne wystąpienia do władz o zgodę na budowę nowej świątyni i sal katechetycznych. Zatwierdzenie projektu nastąpiło w maju 1973 r. 4 lata starań o zgodną z konstytucyjnym prawem możliwość wygodnego odprawiania praktyk religijnych, to zupełnie normalna przeciętna krajowa. To wstydlivy temat dla nowoczesnego systemu władzy, ale jak w naturalny sposób historia upomi-

nała się o rozliczenie okresu czasów stalinowskich, tak i przyjdzie czas na opisanie historii budowy świątyni w Polsce od strony świadomego ich blokowania przez anonimowe przedstawicielstwa administracji. Dziewkowice i tutaj mają swoją kartę: od nieuznawania przez władze administracyjne Społecznego Komitetu Budowy i przesłuchiwanie jego członków, do wywierania prymitywnych nacisków na kierownika budowy, żeby... opóźniał realizację. Zna to prawie każda budująca wspólnota, znają proboszczowie, kierownicy budów, projektanci, a często i państwowe przedsiębiorstwa wspomagające budowę sprzętem. Zapomina się o tych przykrościach w sposób ludzki i zgodny z chrześcijańskim duchem przebaczenia wtedy, gdy wbrew wszelkim przeszkodom ludzi i materii biskup-konskrator wmurowuje relikwie męczenników w ołtarz nowej świątyni. W Dziewkowicach stało się to 10 X 1976 r. Po 50 latach silnej woli mieszkańców, i dlatego ks. Noziński dedykował swoją pracę: *Moim Parafianom*.

Obok kościoła powstawały jednocześnie niezbędne obiekty towarzyszące: plebania (w adaptowanym, opuszczonym i zdewastowanym budynku, odnowiona w ciągu 4 miesięcy 1974 r.), centrum katechetyczne (oddane do użytku w 1981 r., mieszczące także bibliotekę parafialną i salę spotkań całej wspólnoty). Wreszcie w 1984 r. ukończono mały klasztor dla sióstr obsługujących nie tylko kościół, ale także prowadzących punkt pomocy sanitarnej dla mieszkańców wsi.

Całość przedsięwzięcia finansowała w 80% sama ludność Dziewkowic (20% z dotacji Kurii Diecezjalnej w Opolu i kolekt w innych parafiach). W latach 1972–76 mieszkańcy wsi ofiarowali łącznie 3 mln zł oraz równą wartość godzin przepracowanych w autentycznym czynie społecznym. Wszystkie prace, oprócz montażu stalowej konstrukcji dachu, wykonywali bezpośrednio sami mieszkańcy. Wyrazem uznania dla zrealizowanej jakości świątyni stało się przyznanie autorom w 1979 r. Nagrody Brata Alberta w dziedzinie architektury, ze szczególnym podkreśleniem walorów wnętrza, oraz odznaczenie Józefa Cedzika przez Pawła VI Kawalerskim Orderem Świętego Sylwestra za bezinteresowne kierowanie budową. Czy jakiegokolwiek nagrody zrekompenzują jednak wysiłek wszystkich współtworzących? Nagroda jest jedna – własny kościół. Tyle suchej relacji historycznej. Nie zawsze poprzedzam nią opis architektury, chociaż zawsze istnieje ona jako tło oglądanej i przeżywanej przestrzeni. Z religijnego, teologicznego punktu widzenia jest równie ważna jak ostateczny efekt architektoniczny. W wymiarze ludzkim – często ważniejsza.

Teraz czas na opisanie świątyni. Została zaprojektowana przez architektów opolskich, Zdzisława Budzińskiego i Jakuba Schroetera, na planie centralnym krzyża greckiego przekrytego spadają-

cymi prawie do ziemi, stromymi połaciami pokrytych miedzią dachów. Na skrzyżowaniu kalenic umieszczono stalowy 10-metrowy krzyż. Jednoprzestrzenne wnętrze z prezbiterium umieszczonym w północnym ramieniu krzyża ma bardzo dobrze utrafioną skalę. Zarówno jego rzeźbiarsko traktowana namiotowa forma jak i ciepłe, modrzewiowe wykończenie podbicia dachu dają razem 500–600 wiernym dobre warunki do przeżywania sacrum na niedzielnych mszach. A to jest przecież w świątyni najważniejsze. Centralna kompozycja prezbiterium uderza czytelnością i jednoznacznością programu teologicznego – krzyż ukazuje Chrystusa zwyciężającego, triumfującego, odstępując od obrazowania Chrystusa cierpiącego. To dzieło rzeźbiarza z Legnicy, Z. Grossa. Osioło ustawione tabernakulum według pomysłu autora całości, Z. Budzińskiego, to symbolizująca Tróję Świętą kula, zaś płyta czołowa wyobraża kształtem okrągły bochen chleba. Otwarcie drzwiczek tabernakulum staje się równocześnie jego podziałem, a więc przygotowaniem Chleba do eucharystycznego spożycia. Tak mało jest dziś w naszych współczesnych świątyniach niezbędnych przecież od wieków podtekstów formy w stosunku do teologicznego programu. Tak rzadko również mecenas budowy, proboszcz, formułuje takie skonkretyzowane zamówienie u architekta, rzeźbiarza, malarza. Tutaj tak się jednak stało. Budziński, jak każdy prawdziwy architekt, opracował projekt aż do najdrobniejszych detali. Jego dziełem jest więc też ołtarz, ambonka i chrzcielnica zaprojektowane w oparciu o wspólny mianownik masywnego detalu i znakomicie zrealizowane w morawickim beżowym marmurze. Dojrzały i odpowiedzialny architekt musi doprowadzić (tak jak tu) swoje dzieło aż do decyzji o sposobie sfazowania bądź wyostrenia krawędzi kamiennego, kiedy indziej drewnianego detalu. Nie zawsze to czuje, nie zawsze wie o tej powinności budujący proboszcz.

Uzupełnieniem łagodnego w nastroju wnętrza jest dyskretna Droga Krzyżowa autorstwa A. Panitza z Opola, złożona z płasko-rzeźb tworzących horyzontalny ciąg, oraz rzeźb przedstawiających NMP Matkę Kościoła oraz św. Joachima i św. Annę z Matką Bożą. Całość wnętrza została oświetlona właściwym w skali otworów, żółtym i słonecznym w nastroju przeszkleniem fragmentów ścian szczytowych. O ile projektowana ponad 15 lat temu architektura zewnętrzna gorzej zniosła ten okres, to wnętrze broni się niewątpliwą sakralnością przestrzeni. Towarzyszy nawet kościoła kaplica Bł. Maksymiliana Kolbe z około 100 miejscami, służąca również skupieniu podczas sakramentu pokuty, w której znajdują się znakomicie rozwiązane konfesyjonały. Okazuje się, że można świetnie organizować spowiedź nie w przestrzeni służącej zbiorowej liturgii mszalnej, ale w odpowiedniejszej, kameralnej. Obala to

Kościół Św. Joachima i Św. Anny w Dziewkowicach

autorzy

architektura – Zdzisław Budziński, Jakub Schroeter

konstrukcja – Jan Piersiak

inwestor – ks. Ernest Noziński

ogólne dane

powierzchnia nawy – 500 m²

pojemność nawy – 1500 wiernych

wysokość kalenicy nawy – 16 m

istniejący u większości księży mit o potrzebie wizualnego kontaktu spowiednika z prezbiterium, wpływający jednak niekorzystnie na jakość spowiedzi.

Wreszcie najnowsza część zespołu, jakim jest klasztor dla Sióstr Służebniczek NMP. To ten rodzaj architektury sakralnej, który powinien być wzorem w naszym ubogim kraju. Ład przestrzeni i spokojna współczesność uzyskana przez nawiązanie do miejscowego budulca – wapienia, osiągnięta realizacyjnie prostą technologią wznoszenia i bezpretensjonalnym detalem. Równocześnie nie pozbawiona znaków z alfabetu ostatnich lat, aż do delikatnej stylizacji postmodernistycznej. To jest odpowiedź na coraz częstsze zarzuty zagranicznych krytyków architektury, że niewytłumaczalnie w stosunku do możliwości, przesadnie bogato formuje się i wykańcza architekturę sakralną w Polsce. Nie dotyczy to oczywiście standardu eksploatacyjnego. Przykład architektury klasztoru w Dziewkowicach, jej stosunku do otaczającego pejzażu, spontanicznej architektury wsi, niezbędnej kameralności i smakowitego detalu, świadczy o drodze, jaką może iść polska architektura sakralna. Chylę czoło przed pokorą autora wobec tematu. I równocześnie przed mądrą odwagą proboszcza wobec prawie obowiązującego wśród polskiego kleru nuworyszowskiego modelu architektury sakralnej – projektowanej zresztą przez nas, architektów.

Wreszcie teraźniejszość parafii. Własna gazeta parafialna „Poślaniec Świąteczny” i komputerowe wydruki parafialnej sprawoz-

dawczości. Równocześnie w 1988 r. wyjechało do RFN, z biletem w jedną stronę, 130 rodzin z Dziewkowic – prawie 10% ogółu mieszkańców. Kilkusetletnia próba trzymania się korzeni na Opolszczyźnie nie wytrzymała innej próby – warunków życia stworzonych przez powojenne 45 lat. Szczególnie tutaj to boli. Może nie ma to związku z zawodowym opisywaniem architektury, ale przecież staram się pisać o polskiej architekturze sakralnej, a ta nie istnieje bez Polaków w Polsce.

I chciałbym też, aby kiedyś i na naszej budowie proboszcz mógł napisać: *Wyeksponowanie podstawowych i istotnych treści wiary, atmosfera modlitewnego skupienia i aktywności zarazem, sprawiają, że ten dom Boży dobrze służy wiernym w oddawaniu czci i chwały Ojcu przez Syna w Duchu Świętym oraz budowaniu świętości własnej, a przez nią jedności z braćmi /.../.*

To najlepsza nagroda za trud tworzenia.

Konrad Kucza-Kuczyński



książki

Nowe perspektywy teizmu

ks. Józef Życiński

Teizm i filozofia analityczna, t. 2*

Znak, Kraków 1988, ss. 262

Filozofia procesu, od lat co najmniej kilkunastu jeden z najbardziej dyskutowanych prądów intelektualnych, stała się za sprawą wydawnictwa Znak znana także polskim czytelnikom¹. Jej podstawy stworzył oryginalny myśliciel, Alfred North Whitehead (1861–1947), którego nazwisko łączymy zazwyczaj z monumentalną pracą „Principia Mathematica”. Wbrew powszechnym opiniom nie stanowiła ona jednak ani dzieła jego życia, ani nie przyniosła mu wielkiego sukcesu naukowego. Z natury i zamiłowania był on filozofem mało wrażliwym na mody i opinie współczesnych mu autorytetów, zaś stworzony przezeń system metafizyczny przeżywa obecnie swój renesans. Na przekór obowiązującemu w początkach naszego stulecia paradygmatowi neopozytywistycznemu Whitehead pojmował filozofię jako naukę podstawową, nie podlegającą ograniczeniom tematycznym, poszukującą holistycznych ujęć rzeczywistości. Odrzucenie pojęć tradycyjnej metafizyki i jednocześnie budowa metafizyki racjonalnej na długie lata postawiły go

na intelektualnych peryferiach anty-metafizycznego wieku XX. Ezoteryczny język filozofii procesu nie zachęcał także do głębszego potraktowania treści zawartych w tym systemie. Odkrycie filozofii Whiteheada nastąpiło wraz z rozkwitem analitycznych metod badań języka i ukazaniem zarówno jego ukrytych możliwości jak i ograniczeń.

Filozofia procesu próbuje przeciążyć zakorzeniony w nowożytnej nauce dualizm materii i ducha, stawiający zwykle nieprzekraczalną barierę pomiędzy przyrodoznawstwem, filozofią i teologią. Powszechna tendencja ludzkiego umysłu do poszukiwania ładu przyrody, a wraz z nim gloryfikacja materialno-kausalnych związków między zjawiskami i nieufność do empirycznie nieweryfikowalnych sposobów wyjaśniania sprawokowały Whiteheada do rewizji podstawowych pojęć klasycznej metafizyki Arystotelesa. Arystotelesowska „hyle”, transformowana przez łacinę na „materia” – techniczny termin przypisany do substratu – nauki pozytywne zaczęły w czasach nam bliższych traktować w oderwaniu od jej pierwotnego znaczenia. Stopniowo „materia” stawała się pojęciem sensu stricto fizycznym, często także słowem-kluczem maskującym po prostu naszą niewiedzę. Whitehead radykalnie zerwał z tym obciążonym historycznie terminem i w swej metafizyce zaproponował nowe pojęcia wraz z nowymi zasadami ontycznymi. Uznał oczywiście konieczność istnienia

* Omówienie pierwszego tomu dzieła ks. J. Życińskiego, pióra J. Pleszczyńskiego (*Teizm w aspekcie paradygmatu nauki*) ukazało się w „PP” 2/1987, s. 273–276 (red.).

„substratu”, zasady najpowszechniejszej. Jest nią idea „kreatywności” stanowiąca rację zmienności aktualnych bytów i burząca stabilny porządek „substancjalnej” przyrody. W miejsce substancji pojawia się ciąg zdarzeń, zamiast materii – twórczość, pierwotna idea, wymykająca się dokładnej charakterystyce właśnie z powodu swej pierwotności. Pierwszeństwo abstrakcyjnych idei w porządku ontycznym stawia Whiteheada w rzędzie kontynuatorów myśli Platona. Jak w Leibnizu widziano Platona XVII w., tak Whitehead jest Platonem XX-wiecznym.

Książka ks. J. Życińskiego jest pierwszą większą polską pracą analityczną podejmującą trud nie tylko spopularyzowania, ale i dyskusji z tym modnym dzisiaj nurtem filozofii. Życiński, zgodnie ze swoimi głównymi zainteresowaniami dotyczącymi relacji pomiędzy wiarą a nauką, prowadzi dyskurs teizmu w nawiązaniu do idei filozofii procesu. Sądzi bowiem i przekonywająco – moim zdaniem – uzasadnia, że system ten jest dogodną bazą do rozwijania wielu aspektów filozofii Boga niemożliwych do podjęcia, z racji ograniczeń pojęciowych, w ramach klasycznego teizmu. Przedsięwzięcie jest o tyle skomplikowane, że niezwykle zawiła terminologia Whiteheada staje się zrozumiała dopiero w kontekście całego systemu. Jeden z rozdziałów książki Życiński przeznaczona wyłącznie na analizę tego języka i ustalenie jego międzypojęciowych relacji. Badanie logiki języka stanowi zresztą, zgodnie z tytułową zapowiedzą (*filozofia analityczna*) pokazną część pracy. Bez zrozumienia, czym jest język i jakie są jego ograniczenia, koncepcje White-

heada jawić się mogą jako swoista mieszanina nauki, religii i poezji; faktem jest, że tak je dzisiaj niektórzy widzą i na poparcie tej tezy przytaczają ważne argumenty².

J. Życiński nie kryje swej sympatii dla niekonwencjonalnych rozwiązań filozofii procesu, widząc w nich szansę na wzbogacenie możliwości prowadzenia filozoficzno-teologicznych rozważań. Tradycyjna metafizyka tomistyczna, będąca od lat bazą teizmu chrześcijańskiego, jest jego zdaniem nie tyle błędna, ile niewystarczająca współczesnemu człowiekowi przytłoczonemu praktycznymi osiągnięciami ludzkiego intelektu do stworzenia spójnej wizji Boga i świata. Dla nas, niedowiarków i niepokornych czcicieli rozumu, konieczne staje się zrozumienie Boga w perspektywach zarówno Ewangelii jak i racjonalności. Pragniemy unii Boga wiary i Boga filozofów, miotając się między bezduszną logiką kauzalnych wyjaśnień i trudną do przyjęcia (dla niektórych) prawdą objawioną. Ks. Życiński próbuje przeprowadzić tę unifikację nawiązując do metafizyki Whiteheada – jest to główna idea jego książki. Hermetyczny język filozofii procesu oprócz swych walorów heurystycznych ma dodatkową ogromną zaletę – uwalnia nas od znaczeń obciążonych tradycją i zmusza do myślenia niejako od podstaw. Język jest zresztą tylko jednym z poziomów rzeczywistości, za pomocą którego wyrażamy inne poziomy. Ta „prezentacyjna” funkcja języka rodzi naturalne dążenia do wypracowania idealnego systemu znaków syntaktycznie i semantycznie jednoznacznego, o pełnej ostrości pojęć i niezmiennej gramatyce. Wielokrotnie podejmowano takie

próby, zaś ich niepowodzenia traktowano jako przejściowe. Odkrycie limitacyjnych twierdzeń metalogiki ujawniło utopiijny charakter tych pragnień. Okazuje się bowiem, że tylko bardzo proste systemy logiczne są doskonałe. W systemach dostatecznie bogatych nie wszystkie twierdzenia dają się udowodnić przy zastosowaniu środków dowodowych należących do tych systemów. Życiński widzi pewne analogie pomiędzy światem, jawiącym się nam jako racjonalny, a niezwykle złożonymi systemami logicznymi. Można więc zaryzykować stwierdzenie, że wyjaśnienie racjonalności świata umożliwia nam wprowadzenie „pozasystemowego” czynnika – Boga osobowego, który jest nie tylko pierwszą przyczyną, ale realną obecnością w ontycznej strukturze zdarzeń, stając się integralną składową ontologii. Bóg filozofii procesu nie jest hipotetycznym bytem łatającym luki w naszej wiedzy. Jest racją ontyczną świata i jego ewolucji, gdyż świat zawiera się w osobowym Bogu, który z kolei, zachowując swoją odrębność, współuczestniczy w zdarzeniach. Ta panenteistyczna koncepcja, korzystnie odbiegająca od monistycznych panteizmów, przy bliższym poznaniu rzeczywiście stanowi spójną wizję rzeczywistości i jednocześnie stwarza warunki prowadzenia dyskursu w znacznie szerszym zakresie niż oferowany przez środki klasycznego teizmu³.

Możliwość ta jest wynikiem, jak już wspominałem, odmiennego aparatu pojęciowego przypisanego do filozofii procesu. Jest całkiem naturalne, że wraz z rozwojem nauk szczegółowych aparat językowy tradycyjnej filozofii staje się zbyt ubogi, by ogarnąć odkry-

wane aspekty rzeczywistości. Chcąc pozostawać w ramach racjonalnego dyskursu musimy rozszerzać nasze pole badawcze i respektując ograniczenia logiczne języka tworzyć nowe, bogatsze treściowo systemy, wnoszące oczywiście własne nie rozwiązane problemy⁴. Zgodnie z twierdzeniami limitacyjnymi nawet w przypadku całkowitego sformalizowania wiedzy treściowo pozostanie ona niejednoznaczna. Życiński proponuje więc wielość interpretacji, nie by usprawiedliwić łatwy relatywizm, lecz w celu przezwyciężenia, częściowego choćby, ograniczeń językowych. Wykazuje, że przełamanie monopolu tradycyjnej teologii na interpretacje Bożego Logosu jest uzasadnione nie tylko psychologicznie, lecz wynika też z logicznych przesłanek. W filozofii analitycznej widzi możliwość przykładu pojęć odmiennych pod względem języka systemów filozoficznych; podkreśla równocześnie, że logika nie może przysłonić ontologii. Czym innym jest bowiem np. konieczność logiczna, czym innym zaś ontyczna. Pierwotność ontyczna struktur matematycznych jest dla ks. Życińskiego racjonalną koniecznością, nie stanowi ona jednak dostatecznego argumentu na rzecz czysto spekulatywnych dociekań filozoficznych. Np. słynny argument ontologiczny św. Anzelm na istnienie Boga można udowodnić za pomocą logiki modalnej, jednakże wieloznaczność modalnych operatorów prowadzi do wielości interpretacji. Relacje pomiędzy zjawiskowym poziomem rzeczywistości a matematycznie sformalizowanymi prawami przyrody dają się uchwycić w teorii implikacji ontologicznych typu redukcyjnego. Pozwala ona uchwycić racje

ontyczne na podstawie ich obserwowanych następstw. Racje te mają wprawdzie status tylko hipotetyczny, ale stanowią konieczny warunek niesprzecznego wyjaśniania. I tutaj pojawia się element różnorodności interpretacji; nie prowadzą one jednak do poznawczego sceptycyzmu, lecz stanowią inspirację do poszukiwań nowych idei, w pewnym stopniu zawsze komplementarnych ze znanymi już ujęciami rzeczywistości.

Poruszone tutaj zagadnienia są drobnym fragmentem problemów rozważanych przez ks. prof. Życińskiego. Myślę, że 2 t. „Teizmu” jest najbardziej kontrowersyjną jego pracą wydaną w języku polskim. Autor, wierny swojemu stylowi, zasypuje czytelnika lawiną nowinek filozoficznych, często tylko sygnalizowanych (a to denerwuje), zastawia intelektualne zasadzki, by potem z właściwą sobie erudycją pomóc nam się z nich wyplątać. Taki sposób pisania jest atrakcyjny dla czytelnika, ale wprowadza tak dużą zawartość treści, że z konieczności wiele problemów pozostaje nie rozwiązanych. Specjaliści zapewne dostrzegają słabe punkty nowego teizmu i pozostawmy im prawo do kompetentnych ocen. A sobie, wzbogaconym o piękną ideę Boga – Subtelnego Poety Świata, pozwólmy na kontynuację własnych przemyśleń i poszukiwań.

Jan Pleszczyński

¹ W 1987 r. ukazała się wydana przez Znak książka Whiteheada *Nauka i świat nowożytny* w przekładzie M. Korzłowskiego i M. Piętkowskiego. Parę miesięcy później IW Pax wydał tę samą pracę pt. *Nauka i świat współczesny* (przeł. S. Magala). Wydanie Znak jest opatrzone wstępem (koniecznym, jak sądzę, w tego typu książkach) i słownikiem terminów filozoficznych.

² Bardzo pouczającą dyskusję nt. statusu ontycznego Boga w filozofii procesu prowadzi Eric L. Mascall w *Otwartości bytu* (IW Pax 1988). Według Mascalla Whiteheadowski Bóg nie jest ostateczną rzeczywistością metafizyczną, ponieważ rolę tę pełni „twórczość” („kreatywność”). W omawianej książce J. Życińskiego nie dostrzegłem zadowalającego rozwiązania tego, jakkolwiek by patrzeć, zasadniczego problemu.

³ Panenteizm typu Whiteheadowskiego implikuje według niektórych badaczy filozofii procesu zmienną i czasową naturę Boga. J. Życiński dostrzega oczywiście te trudności i podaje własną, oryginalną interpretację Bożej immanencji w ewoluującym świecie. Nawiązuje w niej do pewnych teorii fizycznych, w których pojęcia przestrzeni i czasu mają ograniczony zasięg na poziomie subkwantowym.

⁴ Filozofia procesu stała się w trakcie swego rozwoju teorią bardzo dyferencjalną. Zróżnicowanie to jest wynikiem jej plastycznego aparatu pojęciowego, zdolnego do wchłonięcia nowych interpretacji wyników nauk przyrodniczych. Klasyczne metafizyki mają znacznie bardziej statyczny charakter, zaś ich modyfikacje są praktycznie niewykonalne.

W poszukiwaniu Jezusa historii

Gerd Theissen
Der Schatten des Galiläers

*Historische Jesusforschung
in erzählender Form*

Chr. Kaiser Verlag, München 1986,
ss. 272

Jak wyglądał Jezus w oczach współczesnych sobie rodaków? Co czytał i czego nauczał? Dlaczego został ukrzyżowany? Od czasu gdy stwierdzono, że Ewangelie nie są kroniką życia Jezusa, lecz świadectwem powielkanocnej wiary, że nie zostały napisane przez naocznych świadków,

lecz przez chrześcijan drugiej i trzeciej generacji, udzielenie naukowo uzasadnionej odpowiedzi na te pytania nie jest łatwe. Trudność polega na oddzieleniu w tekstach ewangelicznych autentycznych czynów i słów Jezusa od tego, co może być interpretacją osoby i nauki Jezusa dokonaną przez ewangelistę.

Nie można dziś bezkrytycznie przyjmować wszystkich opisów ewangelicznych i pisać ŻYCIORYSU Jezusa składając razem i harmonizując dane czterech Ewangelii bez narażenia się na zarzut fundamentalizmu. Przykładem takiego błędnego podejścia jest chociażby tłumaczone z włoskiego „Życie Jezusa Chrystusa” G. Ricciotti (Warszawa 1954).

Za przewyżczając i przestarzałe należy dziś również uznać stanowisko przeciwnie, a mianowicie skrajny sceptycyzm historyczny głoszony, począwszy od lat 20., głównie przez niemieckiego protestanta, R. Bultmanna. Utrzymywał on, że osoba i poglądy Jezusa są niedostępne dla nauki, gdyż obraz Jezusa znajdujący się w Ewangeliach jest wytworem wiary pierwszych chrześcijan i między tekstami ewangelicznymi a Jezusem historycznym istnieje przepaść badawczo nie do pokonania. Czytelnik polski odnajduje te przestarzałe poglądy w książkach Z. Poniatowskiego („Wprowadzenie w Ewangelie”, Warszawa 1971) i Z. Kosidowskiego („Opowieści ewangelistów”, Warszawa 1979). Naukową polemikę z nimi prowadzi w swych publikacjach J. Kudasiewicz („Ewangelie synoptyczne dzisiaj”, Warszawa 1986 i „Jezus historii a Chrystus wiary”, Lublin 1987). Obraz Jezusa w opowiadaniu H. Panasa „Według Judasza” (Olsz-

tyn 1973) nie zasługuje na poważne potraktowanie. Jest to tendencyjnie antychrześcijański paszkwil o Jezusie i autor wychodzi z założenia, podobnie jak Z. Kosidowski, że Ewangelie to mityczny twór ahistoryczny i marzycielsko myślącej ciemnoty.

Po wykazaniu niezasadności też Bultmanna i jego zwolenników ma miejsce w nauce masowy powrót do Jezusa historycznego. U jego podstawy stoi przekonanie o ciągłości i wierności przekazu czynów i słów Jezusa od czasu jego działalności do momentu spisania Ewangelii. Jednym z wielu przejawów takiego powrotu jest książka „Cień Galilejczyka” napisana przez ewangelickiego profesora Nowego Testamentu na Uniwersytecie w Heidelbergu. Jest już dostępne jej angielskie tłumaczenie („The Shadow of the Galilean”, London 1987).

Książka ta jest cenna z tego względu, że stanowi próbę całościowego ujęcia życia Jezusa i wprowadza czytelnika również w problematykę tych badań. Ten drugi cel osiąga autor zamieszczając na końcu każdego z 18 rozdziałów listy do fikcyjnego i krytycznego kolegi po fachu o nazwisku Kratzinger, przed którym musi on bronić swej metody i wyników.

Oryginalny jest również sposób przedstawienia danych o Jezusie. Książka nie ma bowiem formy rozprawy naukowej, lecz jest żywo i barwnie napisaną nowelą historyczną. Autor stworzył fikcyjną fabułę, w którą wplótł dane historyczne, czyniąc to jednak w taki sposób, iż czytelnik w każdej chwili rozróżnia fikcję literacką od prawdy historycznej.

Fikcyjna postać, Andrzej, młody żydowski kupiec z Sefforis w Galilei, zostaje przypadkowo aresztowany

przez żołnierzy Piłata podczas antyrymskiej demonstracji w Jerozolimie. W zamian za uwolnienie zgadza się na szpiegowanie religijnych ugrupowań w kraju pod kątem ich wrogości wobec władzy rzymskiej. Sądzi on, że nadarza się okazja do oszukania podejrzliwego i zatroskanego o ład publiczny Piłata przez dostarczenie mu uspokajających informacji.

Podróż Andrzeja po kraju, jego liczne spotkania i rozmowy autor wykorzystuje do przedstawienia obszernej panoramy środowiska społeczno-religijnego Palestyny w czasach Jezusa. Do tego celu posługuje się pismami Józefa Flawiusza, Filona z Aleksandrii i zwojami znalezionymi w Qumran. Czytelnik poznaje tutaj Jana Chrzciciela i jego uczniów, ascetyczną wspólnotę esenicką z Qumran, nastawionych antyrymsko i ukrywających się w jaskiniach zelotów, jak również sektę saduceuszów i faryzeuszów. Pierwsza wzmianka o Jezusie znajduje się dopiero na s. 78, co świadczy o tym, jak wielką wagę przywiązuje autor do osadzenia Jezusa w realiach Jego kraju.

Andrzej wpada na Jego ślad będąc w Galilei. Usiłując Go odszukać udaje się do Kafarnaum, Betsaidy i Tyberiady, gdzie słucha opowiadań o Jego działalności i poznaje Jego naukę. Zobaczy Go jednak dopiero na krzyżu.

Jak wygląda Jezus historii w rekonstrukcji Theissena? Jezus pojawił się na scenie jako uczeń Jana Chrzciciela. Był uczonym żydowskim, bliskim w wielu swych poglądach faryzeuszom. Jako wierny syn swego narodu korzystał z jego duchowego i kulturalnego dziedzictwa. Swym zatroskaniem o sprawę Boże przypo-

minął starotestamentowych proroków. Ciągłe zmieniał miejsce pobytu unikając jednak dużych miast, takich jak Tyberiada czy Sefforis. Największy posłuch znajdował wśród niskich klas społecznych, w których rozbudzał nadzieję na wyzwolenie z niedoli i ucisku.

W centrum Jego nauczania znajdowała się idea o królestwie Bożym, które jest nie tylko duchową wielkością, lecz ma pociągnąć za sobą konkretne przemiany społeczne. Głosił, że Bóg ma przejąć panowanie nad światem i nie pozwoli, aby zło, niesprawiedliwość i przemoc trwały nadal. Ma nastąpić wielki zwrot: biedni, wyzyskiwani, bezrobotni, zadłużeni, dzieci odzyskają przysługującą im godność. Bóg da im to, czego inni im do tej pory odmawiają. Zmiana ta ma się dokonać jednak nie przez zbrojne powstanie i przelew krwi, jak by chcieli zeloci, lecz przez nawrócenie serca, niestawianie oporu złemu i miłość nieprzyjaciół.

Nauczanie o Bogu, który ma przejąć władzę, nie mogło nie wzbudzić podejrzeń u Rzymian. Piłat wziął Jezusa za politycznego agitatora i ukrzyżował Go wraz z dwoma zelotami. Kto ponosi odpowiedzialność za Jego śmierć? W sensie prawnym odpowiedzialny jest Piłat, ponieważ on wydał wyrok. Jezus został jednak aresztowany i wydany w ręce Rzymian przez żydowski Sanhedryn, dlatego że zakłócił porządek na dziedzińcu świątynnym i poddawał krytyce kult i samą instytucję świątyni, stwarzając zagrożenie dla władzy Sanhedrynu i dla dochodów jerozolimskiej arystokracji. W tym miejscu warto zaznaczyć, że autor stara się przedstawić świat judaizmu i okoliczności

śmierci Jezusa bez antyżydowskich uprzedzeń.

Historia Jezusa kończy się wzmianką, iż po Jego śmierci niektórzy uczniowie mieli prywatne wizje, w których ukazywał im się On jako żyjący. Z tego przekonania, że Jezus nadal żyje i że przejął w niebie władzę nad ich losem, zrodziła się w Jerozolimie pierwsza wspólnota chrześcijańska, która przez podział dóbr i równość praw usiłowała wprowadzić w życie Jego naukę o nowym łaździe społecznym.

Niewątpliwie nie wszyscy badacze zgodzą się z autorem w szczegółach. Chociaż w założeniu miało to być przedstawienie dzisiejszego stanu badań, to jednak łatwo zauważyć wpływ osobistych zapatrywań autora, znanych z jego wcześniejszych publikacji na temat socjologii Palestyny, jak np. podkreślanie społecznego wydźwięku nauczania Jezusa czy też uwarunkowane nowoczesnym feminizmem portrety kobiet. Dyskusyjne jest również wpisywanie w życie Jezusa istnienia politycznego ugrupowania zelotów, podczas gdy nie mamy pewności, czy istniała **ZORGANIZOWANA** antyrzymska partyzantka przed 44 r.

Jest to również Jezus widziany oczami zamożnego kupca i osoby wykształconej w greckiej kulturze. Andrzej, który prowadzi całą narrację, jest fikcyjnie rówieśnikiem Jezusa, ale w rzeczywistości jego sposób patrzenia na świat jest nowoczesny. To typ dzisiejszego człowieka-racjonalisty, sceptycznego względem wszystkiego co niewytłumaczalne. Wszczepia on w czytelnika np. krytyczne podejście do relacji o cudach przez poszukiwanie ich rozumowego wyjaśnienia.

Taki sposób patrzenia na działalność Jezusa nasuwa wątpliwości natury metodologicznej, na które książka nie daje odpowiedzi. Wszystkie dostępne świadectwa o Jezusie mówią mianowicie o Nim jako o człowieku obdarzonym szczególnymi zdolnościami i wiedzą. Jakie mamy więc powody, aby wykreślać z życia Jezusa to, co może być pozanaturalne i nie pasuje do kategorii racjonalnych? Taki obraz Jezusa staje się wprawdzie bardziej zrozumiały dla dzisiejszego człowieka, ale czy jest on naukowo uzasadniony? Czy aprioryczny racjonalizm nie czyni metody badawczej metodą nienaukową?

Te i podobne dyskusyjne ujęcia nie umniejszają wartości książki, lecz świadczą, że w poszukiwaniu historycznego obrazu Jezusa jest jeszcze wiele do zrobienia. Trudno znaleźć dziś jednak kogoś, kto by wątpił, że takie badania są możliwe i obstawał przy tezie, że Ewangelie budują na ludzkich wymysłach, nie zaś na autentycznych czynach i słowach Jezusa.

Czesław Łukasz S.J

Pytania najtrudniejsze

Tadeusz Pulcyn

Powracające pytania

Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1988, ss. 95

Potwory śpią.

Spi rozum.

Niestety.

A. Z.

1. Niedawno jeden z moich przyjaciół, zresztą znawca twórczości Norwida (pisma autora „Vade-mecum” doprowadziły go do uświadomienia potrzeby Boga i konieczności wiary), poprosił, abym podarował mu *jakąś książeczkę* (tak się wyraził), która mogłaby stać się pomocą w przeżywaniu tajemnicy mszy św., w lekturze Biblii, zrozumieniu istoty sakramentów świętych. Jego zdziwienie na moją negatywną odpowiedź nie miało granic. Jakże to – mówił. – Kościół nie dysponuje tego rodzaju pomocami? Istnieje przecież wielka dziedzina teologicznej refleksji, uniwersytety... reszty domyślamy się sami. Także w ten sposób dochodzi się do zagubienia radosnego smaku wiary, bo przecież winniśmy, o co zabiegał już Anzelm z Canterbury, poszukiwać rozumu w wierze i wiary w rozumie. Dlatego m.in. trudu zrozumienia tego, co w Objawieniu dane zostało do zrozumienia, nie można przecenić.

Powyższe uwagi nie oznaczają ograniczenia badań do problematyki teologicznej. Należy, zgodnie z sugestiami św. Tomasza, poszerzać zagadnienie o poznanie rzeczywistości, gdyż błędne rozumienie człowieka

doprowadza do błędnego mniemania o Bogu. Stąd praca teologa, by nawiązać więź bliskości z mową kerygmatyczną i teologiczną. W tym właśnie miejscu przebiega linia umożliwiająca rozpoznanie pokrewieństwa pomiędzy myśleniem a wiarą, szerzej – teologią i duszpasterstwem. Wiara bowiem wzbogaca myślenie (filozofię na przykład). W stwierdzeniu tym nie zauważam sprzeczności, ponieważ może istnieć chrześcijańska działalność rozumu, jak to formułował Gilson. Dane Objawienia uwrażliwiają na te aspekty rzeczywistości, których rozum nie jest w stanie uchwycić, odkrywają przed nim, jeżeli tak rzecz można, perspektywy same z siebie nigdy nie mogące powstać. Teologia dlatego nie jest jedynie dyscypliną akademicką, lecz także pewną dyspozycją umysłu do medytacji i kontemplacji. Podkreślam wzajemną zależność modlitwy i teologicznego pogłębienia. Nie ma autentycznej teologii bez modlitewnego przycięcia. Kiedy pragnie się uczynić przekonywającymi własne interpretacje, należy je przeświecić modlitewnym zaufaniem i religijną wrażliwością. Inaczej staną się religioznawczym sposobem porządkowania idei religijnych. Sprawa pozostaje skomplikowana. Trudno o bliższe precyzacje. Ważne pozostaje jedno – wiara musi, wyrzekając się fideistycznej łatwowierności, poszukiwać teologii a teologia wiary. Innym sposobów nie ma. Być teologiem (szkoda, że coraz rzadziej bywają nimi księża) znaczy mozolne i trudne budowanie łączności pomiędzy danymi Objawienia (tu: nauka i tradycja Kościoła) a ich rozumieniem i przeżywaniem przez wiernych. Ciągłe przybliżanie teologicznych sensów, które

kryją się w głębokiej strukturze języka biblijnego.

Takiego zadania podjął się ostatnio T. Pulcyn, teolog, dziennikarz „Przeglądu Katolickiego”, uczeń prof. Tadeusza Gogolewskiego. Chociażby z tych tylko powodów warto zapoznać się z jego propozycją. Pamiętajmy przy tym, że jedną z ważniejszych przeszkód na drodze prowadzącej do porozumienia z myślą teologiczną jest język, a właściwie brak odpowiednio precyzyjnego języka opisu. K. Rahner był wybitnym teologiem i myślicielem, niemniej zrozumienie jego założeń i sugestii bardzo utrudnia sposób ich prezentacji: zawiły, pokrętny, ciemny. Przecież wpływy Heideggera niczego bliżej nie wyjaśniają. Rozumiem, że niekiedy trudność problematyki wymaga odpowiednio złożonej składni, lecz (chyba) nie powinno to się stać obowiązującą regułą.

Pulcyn, choć sam wiele zawdzięcza Rahnerowi, nie próbuje go naśladować. Zbyt łatwa to pokusa. Stara się jedynie o uwyrażnienie trudniejszych aspektów wiary i doświadczenia, jakie przynosi obecność we wspólnocie Kościoła. Nie boi się własnego „niezrozumienia” świadom, że – tak naprawdę – **NAJWAŻNIEJSZE** pozostaje tajemnicą, rozjaśnianą niekiedy tylko błyskiem modlitwy bądź religijnego uniesienia. Są to jednak sprawy wykraczające poza możliwość komentowania. Nasze teologiczne szanse mówienia o Bogu ograniczają się (ależ to bardzo, bardzo dużo!) do interpretacji znaków docierających do nas z kart Objawienia, równocześnie sprawiając, że sami siebie poddajemy krytyce, ujawniamy iluzje, fałszy, które przynosi nasze cielesno-duchowe u-

kształtowanie. Lecz poprzez *słabość, cielesność* należy dostrzegać eschatyczną perspektywę kultury, w jej szczególnie związaną z cnotą nadziei, która jest obecna we wszystkich podstawowych wymiarach ludzkiej egzystencji.

2. Wszyscy pragniemy, aby teologowie cenili literaturę, a zwłaszcza poezję, aby uwrażliwiali się na humanistyczny styl myślenia i działania. Kościół pozbawiony tego wymiaru nie spełnia we właściwy sposób swojej roli przewodnika po duchowych bezdrożach współczesności. Uznajemy zatem poezję za ważny sposób poznania. Dzięki niej możemy odnosić się do siebie, budować, czyli przydzielać miejsce Bogu przez kulturę, a więc sakralizować świat. Filozofia, religia i sztuka stanowią jedną płaszczyznę poszukiwań. Dają nowy obraz człowieka i świata. Przykładowo, nauka św. Augustyna po antycznym pogaństwie daje zupełnie nowy początek. Otwiera, zaryzykuje twierdzenie, drogę do Szekspira i Dantego.

Pulcyn często sięga po teksty literackie i modlitewne, skwapliwie odróżniając te dwa porządki, choć czyni to dyskretnie, z umiarem. Najważniejsze pozostaje bowiem rozpoznanie rzeczywistości chrześcijańskiej, która jawi się jako związana z tajemnicą narodzenia, śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Trzeba – zauważa – rozpoznawać się pośród zawiłości Objawienia. I chociaż pomaga nam Chrystus (wydarzenie Emaus), próbujemy jakby na własną rękę nazywać obszar tego, co czyste i święte, narażając się często na niezrozumienie i śmieszność. Nadto winniśmy ufać Kościołowi, nie zaś teologom, w tym

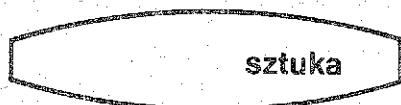
znaczeniu że teologia pełni rolę służebną wobec Kościoła. Precyzuje prawdy wiary i pomaga w ich rozumieniu. Jest jakby działem życia Kościoła, jego kultury duchowej (s. 74). Odróżnia się tutaj wyraźnie teologię będącą najpierw i przede wszystkim trudem uzasadniania twierdzeń o Bogu i człowieku jako osobie pragnącej zbawienia, nie zapominając, że tego rodzaju myśleniem (sposobem bycia) służy się innym, pomaga w odkrywaniu uniwersalnego sensu ludzkich doświadczeń.

Nasza refleksja zawsze pozostaje funkcją tego, jaką teologię preferujemy oraz jak widzimy sytuację człowieka we współczesnej kulturze. Być może dlatego Cz. Miłosz w „Metafizycznej pauzie” („Zeszyty Literackie” nr 20) zapytał: *Dlaczego Kościół udaje, że nie widzi, jak silnie pewne instytucje ulegają erozji?* Zapytał zapominając jednak, że w wymiarze religijnym, a więc tym, w którym najważniejsze jest zaufanie prawdzie płynącej z Objawienia, obowiązuje pewna, jeżeli dopuszczalne jest takie określenie, „stałość dogmatyczna”. Bez względu na przemiany obyczaju czy mentalności np. tajemnica przebaczenia dokonująca się w sakramencie pokuty pozostaje obowiązująca. Nic tu nie zmienia psychoanaliza, kultura, nauka itd. Pamięta o tym Pulcyn wciąż odwołując się do nauczania Kościoła ujętego dekretemi ostatniego soboru, największą uwagę kierując w stronę egzystencjalnego porządku teologicznych wyjaśnień. Brzmi to nieco patetycznie, ale nie znajduję lepszego określenia. Po prostu: Pulcyn zauważa konkretnego człowieka, który – wciąż od nowa – stawia tzw. trudne pytania o sens cierpienia, śmierci,

istotę Kościoła, możliwości rozumu w rozpoznawaniu tajemnicy wiary, pytania dotyczące spraw niełatwych do jednoznacznego wyrażenia, reagujące na „aktualne teraz” kultury, która jest naturalnym środowiskiem człowieka. Doświadczenie religijne ma tak szeroki zakres, iż nie sposób go wyjaśnić, wyczerpać w pojęciach czasu przeszłego. Są one przydatne, lecz nie ostateczne. Myślenie religijne to proces nieustannego wsłuchiwania się w „znaki czasu”, próba odnajdywania w osobistym losie każdego człowieka ingerencji Bożej, to włączenie życia w historię zbawienia, historię, której centrum stanowi wydarzenie najbardziej doniosłe: *Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami* (J 1,14). Tak pojęta historia (kultura), wyrażająca się w poznaniu, moralności, zorganizowanym sposobie oglądu świata i więzi przygodnej osoby ludzkiej z osobą Boga, jest początkiem zmartwychwstania. Umożliwia pracę przynoszącą owoce, bo mającą twórczy sens. Nic innego, żadna filozofia ani – tym bardziej – oszukańcze ideologie nie ukazują tak zbornie i pięknie obrazu świata i człowieka. Pulcyn – wobec powyższego – nie pragnie tworzyć nowych teologicznych koncepcji, co zresztą nie jest łatwe, chce jedynie towarzyszyć nam w drodze wyznaczonej spotkaniem Boga z człowiekiem. To już się stało. Nie można cofnąć prawa miłości, które ogarnęło świat. Trzeba natomiast nim żyć wsłuchując się – rozumiejąco – w głos dochodzący z Objawienia i świata. Refleksje teologiczne T. Pulcyna tę funkcję spełniają zaskakująco (trudno pozbyć się nieufności do teologów) dobrze. Nie ma tonu wysokiego, zbyt napiętego, abyśmy nie mogli usłyszeć

prawdy. Dalej niech samo się robi, jak wołał Gombrowicz.

ks. Jan Sochoń



Publiczność w Centrum, Centrum bez publiczności

Jest wiele powodów, aby zainteresować się dziś publicznością sztuki. Mam na myśli pewien krąg ludzi spoza elity twórców i krytyków sztuki rozumiejąco uczestniczących w obiegu wartości artystycznych. Swoista wypowiedź publiczności na temat sztuki, poza oczywiście księgami wpiśniętymi, nie bywa na ogół zbyt wyrafinowana. Publiczność po prostu interesuje się wystawą lub ją ignoruje, aprobuje lub odwraca się, kupuje dzieło lub nie.

Publiczność to pewna kategoria w teoretycznych rozważaniach na temat kultury artystycznej. Ma ona swoje ramy historyczne, bywa wyposażona przez badaczy w tzw. kompetencje kulturowe, w każdym razie jest to kategoria różna od myląco nakładającego się czasem na nią pojęcia masowego odbiorcy. Ale nie chcę rozważań teoretycznych jest powodem, że przywołałem tutaj ten problem,

lecz konkretne zjawisko intrygujące obserwatora najnowszych wydarzeń na artystycznej scenie.

Wydaje się, że publiczność współczesnej sztuki liczebnie rośnie. Może nie wszyscy zgodzą się od razu z tym spostrzeżeniem, wiele galerii wciąż przecież świeci pustkami, nie wszyscy (a już na pewno nie artyści) zgodzą się z opinią, by jakoś szczególnie wzrosły zakupy dzieł sztuki. Właściwie dysponuje jednym (ale bardzo spektakularnym) przykładem na potwierdzenie owego wzrostu liczebności – 100 tys. widzów na wystawie „Arsenal’88”. Mógłbym dorzucić jeszcze kilka innych (zachęcających gdy idzie o liczbę widzów) przykładów wystaw młodych artystów uprawiających sztukę zbliżonego gatunku. Myślę chociażby o „Noworomantykach” w Norblinie, „Realizmie radykalnym” w Muzeum Narodowym czy o wystawie „Świeżo malowane”.

A zatem, ściślej rzecz biorąc, jest powód, aby mówić o pojawieniu się znaczącej liczby na ogół młodych ludzi, którzy chcą uczestniczyć w obiegu określonych wartości wnoszonych przez młode malarstwo i rzeźbę. Tak czy inaczej jest to fakt znaczący i dość intrygujący. Tym bardziej że towarzyszy mu jakby nowa pozycja publiczności w świadomości samych twórców. Odbiorca zaczyna się u nich liczyć, jego obecność i przychylność staje się namacalną wartością w grze o pozycje artystyczne, a także – co znamienne w tej sytuacji – o pieniądze, gdyż sztuka wróciła na rynek. Odbywa się to również w sprzyjającym publiczności klimacie społecznym obejmującym inne dziedziny życia. (Najprościej mówiąc – liczą się ludzie w ogóle, spadło za to zaufanie

do elit, zaś do elity władzy w szczególności).

Praktyczna rola publiczności, w sytuacji gdy tworzy się rynek sztuki, to jedna strona zagadnienia, ważniejsze jest chyba jednak to, że pozycja odbiorcy wzmacnia się – by tak rzec – ideowo. Słabnie bowiem koncepcja artysty-kreatora, artysty poruszającego się wśród wysublimowanych problemów sztuki, z wyżyn których spogląda na całą resztę ludzi i bezapelacyjnie wyrokuję. Taki, jeśli się zniża do poziomu zwykłych ludzi, to po to, by ich pouczyć, trochę rozwinąć i podciągnąć. Może on ewentualnie zdać się na upowszechnianie, powierzając nie bez niechęci okrucy swojego geniuszu specjalistom od tego typu transmisji „w dół” lub poddając się trywializującej działalności mass-mediów. Ta relacja w świadomości wielu twórców jakby odwraca się, artysta zamiast kreować „nowe” interesuje się raczej niezmiennikami, prostymi i trwałymi wartościami będącymi od dawna w powszechnym obiegu i nie wymagającymi dodatkowych objaśnień, zakorzenionymi bardziej w obyczaju niż w jakiejś nabytej wiedzy. Artysta zatem apeluje dziś chętniej wprost do ludzi, zaś szerszy publiczny rezonans jest potwierdzeniem jego pracy i miarą jego osiągnięć. Twórcze przekroczenie ma zostać zastąpione przez wrażliwy rezonans, wyniosły samotnik-kreator zamienia się w popularnego trybuna. Wydaje się to możliwe i zrozumiałe w takim schematycznym uproszczeniu, choć rzeczywistość współczesnej sztuki stanowi problem o wiele bardziej złożony. Kłopot polega przede wszystkim na tym, że tych wyidealizowanych powszechników brakuje albo

znajdują się one w dość dramatycznej sytuacji – w rozproszeniu, rozpadzie, dekompozycji. Praktyka jest więc taka, że artysta raczej po omacku szuka publicznego rezonansu dla prywatnych mitologii. Owe powszechniki w ogromnej większości są materiałami wtórnymi, są zakorzenione w schematach, którymi operuje kultura masowa. Zostawmy na razie ten problem, faktem jest, że niłodzi na ogół odrzucają postawy elitarystyczne, szukają takich koncepcji, w których publiczność nie odgrywałaby całkiem drugorzędnej roli.

Powieć ktoś – rzecz wcale nicnowa, ileż to namiętnych koncepcji widza wyprodukowała sztuka nowoczesna przyznając mu niekiedy całkiem pierwszoplanowe role. Kto jeśli nie awangarda wciąż powtarzała hasła *partycypacji, współdziałania, formy otwartej*? To ona przecież od początku nastawiała się na społeczne oddziaływanie, zastawiając wyrafinowane sidła na coraz chyżej wymykających się jej widzów. Ileż to zbudowano „struktur”, które miały się wypełnić publicznością, ileż to nauganiano się po ulicach, parkach i skwerach w pogoni za widzem. Wiem coś o tym, bo sam biegałem... To sztuka nowoczesna, awangardowa wykazywała wprost nadzwyczajną skwapliwość w teoretycznym określaniu swych społecznych ról i w zabiegach o społeczne oddziaływanie. Czy koncepcja UPowszechniania sztuki jako idea polityczna nie była pochodną tych dążeń? Skutki są dokładnie odwrotne, nowa sztuka została odrzucona przez szersze kręgi publiczności, oparła się na wąskich kręgach profesjonalistów, publiczność współczesnej sztuki to w większości środowisko artystyczne.

Jeśli chodzi o losy upowszechniania jako ideę polityki kulturalnej, skutki również są, niestety również marne. To także ogromny problem, którym warto się zająć osobno. Tu powiem tylko tyle, że przy całej owej społecznej frazeologii była to strategia sidła i pułapek, nie wynikała ona z głębokiej potrzeby współbrzmienia z widzem. W istocie stała za nią idea artysty jako wielkiego i wyniosłego mistrza. Dobrym przykładem realizacji takiej postawy może być chociażby T. Kantor. Dziś jest to co prawda nieco inny artysta, jak nikt inny czuł on ducha czasu, toteż nie dziwi mnie, że w swych najnowszych wypowiedziach (telewizyjnych) podkreśla ważną rolę publiczności. Ale sposób, w jaki obchodzi się on w swych spektaklach (znamiennie pełniąc w nich rolę dyrygenta) z pewnymi symbolami o powszechnym zasięgu, np. z krzyżem, znamionuje typową dla „nowoczesnych” demiurgiczną i bluźnierczą nonszalanję. Inaczej to zresztą działało, gdy było pokazywane w wąskim kręgu koneserów awangardy, a zdecydowanie inaczej, gdy ukazuje się w telewizji.

A skoro mowa o telewizji, warto może poświęcić chwilę uwagi stosunkowi do publiczności, jaki ma u nas państwowy mecenas. Powołam się jeszcze raz na przykład wystawy „Arsenał '88”. To impreza, za pomocą której tenże mecenas próbował wrócić na utracone pozycje w świadomości twórców i społeczeństwa. Operacja – trzeba przyznać – udała się. A to właśnie dzięki widzom, którzy dopisali nadspodziewanie mimo solidarnej odmowy udzielonej wystawie przez krytyków i dużą część środowiska artystycznego. Dopisali również –

mimo kilku dotkliwych absencji – młodzi artyści. W rezultacie w orbitę współczesnej twórczości plastycznej została porwana spora liczba ludzi. W moim przekonaniu przesadza to o sukcesie wystawy niezależnie od wszystkich zastrzeżeń co do samej twórczości tam pokazanej, formy, w jakiej zostało to zrobione, i wszystkich innych dąsów co do jej nazwy i roli. Młodzi ludzie – organizatorzy „Arsenału '88” – zrobili to, na co było ich w tym momencie stać, a nawet więcej. Wypada im pogratulować.

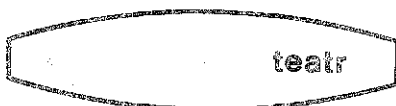
Z drugiej strony, ten sam mecenas prowadzi wobec publiczności w Centrum Sztuki, w Zamku Ujazdowskim, politykę skrajnie odmienną. Pomińmy ewidentne nieudolności i brak koncepcji przez kilka lat od momentu powstania. Oto koniec 1988 przyniósł dwie programowe imprezy: Międzynarodowe Seminarium Sztuki oraz spotkania poświęcone „mediom”, głównie filmom artystów i o artystach. Imprezy były nader skromnie wsparte przez publiczność, Międzynarodowe Seminarium Sztuki było zresztą programowo elitarnie (wstęp tylko dla zaproszonych). Czy należałoby podziwiać elastyczność państwowego mecenas, który prowadzi działalność w takiej skali form – od „Arsenału” do Seminarium – i o tak zróżnicowanym, stosownym do potrzeb, podejściu do publiczności? Zróżnicowanie takie byłoby godne poparcia, gdyby nie to, że elitaryzm tkwiący w tradycjach awangardy postuluje akurat Centrum Sztuki. Przyczym – od razu chcę podkreślić – nie neguję elitaryzmu, są mi wciąż bliskie również te pozycje, które przyjmuje dziś, po licznych zakrętach, formacja artystyczna przyznająca się do powi-

nowactw z awangardą. Wydaje się, że formacja ta chce dziś pełnić rolę samoświadomości sztuki. Nie dyktuje ona już nowych mód, nie zależy jej, by być „motorem postępu”, ze straży przedniej zamienia się w radę starców. Tymczasem potężna i szeroko rozlana dziś fala różnorodnych form praktyki artystycznej, porywająca nowe grupy odbiorców, odzyskuje swoje prawa i ogromnie ważną rolę w całości życia artystycznego. Świadomość i sumienie elit artystycznych pielęgnujących złożone doświadczenie sztuk pięknych ma w swej sytuacji do odegrania ogromną, choć już nie pierwszoplanową rolę. Wielki „symboliczny niepokój”, jaki wnosi lub pogłębia owa powszechna praktyka artystyczna, wymaga stałej gotowości artystycznych elit do mierzenia się z nim. Nie mniej od czujności potrzebne jest jednak OTWARCIE. Wyraźnie widać, że duże grupy młodych artystów spoza elit, spore grupy nie-artystów, po prostu młodzi ludzie w ogóle, chcą dzielić ten „symboliczny niepokój”, część z nich jest do tego przygotowana i odpowiedzialna. Wnoszą oni też swoje problemy i na swój sposób starają się z nimi uporać.

Otwarcie się na szersze lub całkiem nowe grupy twórców, na zaskakujące z punktu widzenia awangardy, tradycyjne środki wyrazu, odmienną od awangardy formułę widza przynoszą zachęcające rezultaty w postaci rozdającej się nowej publiczności – to ważne kulturowe zadanie. Jest zrozumiałe, że powinno być ono podejmowane za pomocą różnych orientacji artystycznych i społecznych. Ostatnie zmiany organizacyjne w Centrum Sztuki, nowa formuła Rady Artystycznej i pierwsze efekty tych zmian

w postaci propozycji artystycznych zapowiadają niestety zgola coś przeciwnego.

Jan Stanisław Wojciechowski



Portret z Krakowa

Stary Teatr w Krakowie (w ramach Warszawskich Spotkań Teatralnych), „Portret” Sławomira Mroźka. Reżyseria – Jerzy Jarocki, Scenografia – Jerzy Juk-Kowarski.

1. W języku politycznym obowiązuje od pewnego czasu słowo „destalinizacja”. Upowszechnione przez Gorbaczowa – jakby na wzór denazyfikacji – przyjęło się w prasie i w mowie potocznej jako główna kategoria rozrachunków z systemową przeszłością. Słowo ma zresztą walor zaklęcia, które pozwala – może nazbyt łatwo – odczarować rzeczywistość.

O destalinizacji mówi się także w Polsce. Słowem-kluczem czy słowem-wytrychem posługują się i Jaruzelski, i Wałęsa, i – powiedzmy – Michnik. Ale zarówno w radzieckich jak i polskich dyskusjach tkwi pewien paradoks. Stalin zmarł w 1953 r. Rozprawianie się z jego widmem po 35 latach musi się wydać albo dziwnie anachroniczne, albo też w destalinizacji chodzi o coś innego. Jeśli zwa-

żyć, że w ZSRR rewizji i krytyce podlega praktycznie cały okres między NEP-em a objęciem władzy przez Gorbaczowa; jeśli w Polsce takim samym zabiegiem poddaje się PRLowski system od późnych lat 40. aż do lat 80., to – moim zdaniem – nasuwa się wniosek, że destalinizacja jest kryptonimem oznaczającym zerwanie z całą dotychczas obowiązującą realizacją ustroju komunistycznego czy socjalistycznego. Logicznie rzecz biorąc chory okazał się nie wycinek historii, lecz cała historia tej części Europy.

„Portret” Mrożka oscyluje właśnie między chorobą a historią, pokazując coś w rodzaju „długiego trwania” stalinizmu. Tyle że Mrozek przenosi problem w wymiar psychologiczno-egzystencjalny i dowodzi, jak historia spuszczone z łańcucha okalecza życie. Ten sens „Portretu” – „długie trwanie” stalinizmu i konsekwencje „romansu z historią” – podniesioną do rangi idei – ten sens wydaje się szczególnie nośny w przedstawieniu Jarociego.

2. Widmo Stalina nawiedzało Mrożka parokrotnie. Napisana pod koniec lat 60., mało znana sztuka „Drugie danie” jest w pewnym sensie prefiguracją „Portretu”, choć nosi jeszcze cechy Mrożkowej metafory skrywającej bezpośrednie sensy w aluzjach. Na inny sposób parabolicznym rozrachunkiem z przeszłością było znakomite opowiadanie „We młynie, we młynie, mój dobry panie”.

Bardziej wprost zaczął Mrozek mówić dopiero w ostatnich latach. Ważnym i jakoś przełomowym momentem stała się publikacja eseju „Popiół? Diament?” napisanego po śmierci Jerzego Andrzejewskiego i

opublikowanego w paryskiej „Kulturze” (1985). Esej ma cechy mini-biografii ideowej i odkrywa powody, zresztą psychologiczne, dla których Mrozek dał się uwieść – na krótko – stalinizmowi. Tego typu wyznań pojawiło się zresztą sporo. Wielu pisarzy, znacznie bardziej zaangażowanych w latach 40. i 50., poczuło potrzebę publicznej spowiedzi, a może bardziej jeszcze – potrzebę uzyskania społecznego rozgrzeszenia. Myślę tu zwłaszcza o rozmowach, które z kilkunastoma pisarzami przeprowadził Jacek Trznadel i opublikował w tomie „Hańba domowa”.

Ten, wynikający ze stalinowskiego akcesu, kompleks polskiej inteligencji znalazł zresztą wyraz w wielu publikacjach, filmach i dyskusjach. Temat należał do chętnie roztrząsanych. Ludzie generalnie podzielili się na takich, którzy coś ze stalinizmem mieli wspólnego, oraz takich, którzy nie mieli nic wspólnego, głównie dlatego że urodzili się za późno. Ci pierwsi próbowali się tłumaczyć, ci trzeci próbowali coś zrozumieć, jedni atakowali, drudzy się bronili albo odżegnali od przeszłości.

Punkt widzenia Mrożka wyrażony w „Portrecie” wydaje się odbiegać od dotychczasowych dyskusji. Mrozek pokazuje konflikt między historią a życiem, między duchem dziejów a prawdą o istocie bytu. Potrzeba nieustannego odnoszenia się do stalinizmu w planie metaforycznym oznacza zdominowanie życia przez historię czy – ściślej biorąc – przez jakąś Hegłowską ideę historii. W tym sensie ważne, choć tajemnicze są literackie aluzje do „Dziadów”, które wikłają problematykę „Portretu” w kontekst romantyczny. Dlaczego?

W „Dziadach” Mickiewicza ponad porządek historii wyrasta porządek sakralny, tzn. udręka sumienia może jeszcze znaleźć sąd. Jednocześnie pojawia się podejrzenie, że Bóg nie ingeruje w sprawy ziemskie. Sacrum istnieje, lecz zostaje podważone. Konrad przedstawia Bogu własny porządek zbawienia, taki, który by usprawiedliwił historię. Usprawiedliwić historię, to w praktyce znaczy – ubóstwić ją. Myśl Konrada jest plodem swego czasu, powstaje mniej więcej współcześnie z koncepcjami Hegla. Ubóstwiona historia to Miłoszowy *gorszy Bóg*, *Zeitgeist*, o którym mowa w „Portrecie”. Życie, które kiedyś należało do planu boskiego, teraz należy do planu historii: w jej perspektywie wszystko, co się wydarza, jest konieczne i rozumne. Skoro tak, to historia wyklucza się z sumieniem, sumienie jest reliktem czasów przedhistorycznych, jest spoza świata i błaka się jak widmo. W najlepszym razie zostaje zakwalifikowane jako przypadek chorobowy; w ten sposób, za pomocą psychiatrii porządek społeczny broni się przed tym, co nierozumne.

Człowiek jest zatem skazany na historię, jak niegdyś był skazany na wieczność. A ponieważ historia postępuje, więc jest względna, wyklucza winę i sąd. Każde sobie służyć, wszystko pochtania, niczego nie wyjaśnia.

W „Portrecie” jeden bohater, o znaczącym imieniu Bartodziej, był stalinistą, drugi – jego przyjaciel z dzieciństwa, Anatol, walczył z nowym ustrojem. Pierwszy drugiego zadenuncjował i odtąd żył z wyrzutem sumienia. Na tak zarysowanym tle Mroźek konstruuje paradoksalną psychomachnię niejako z „Dziadami” w tle: rozpo-

czynająca sztukę przemowa Bartodzieja do portretu Stalina zawiera aluzję do Wielkiej Improwizacji Konrada; Anatol przywołujący w finale II aktu ducha Stalina posługuje się prawie dosłownym cytatem z Guślarza; ten sam Anatol ma pewne cechy bohatera Mickiewiczowskiego: najpierw występuje jako upiór, widmo, potem – jako żywy człowiek, wreszcie na końcu jako sparaliżowany, oniemiały kaleka, więc ktoś przebywa *na świecie, lecz już nie dla świata* – milczy: *Nie odchodzi i nie gada*. Sumienie, które szuka rozgrzeszenia, też zdaje się wyjęte z „Dziadów części II”. Nawet cytaty z Miłosza wybrane zostały z „Ducha dziejów” („Traktat poetycki”), w którym Miłosz odwołuje się do „Dziadów”.

Ta konfrontacja z romantyczną historiozofią i prometejskimi mitami o konieczności zbawienia ludów i społeczeństw, to wywoływanie duchów i widm, poszukiwanie moralnej sankcji, męka niespokojnego sumienia – to wszystko zdaje się pokazywać, jak doświadczenie historii niszczy prawdę bytu. *Gorszy Bóg* dziejów zadał gwałt i cierpienie obu bohaterom Mroźka, obaj – mimo przeciwnych biografii – są ofiarami stalinizmu. Ale ten stalinizm, oznacza tu jakiś błąd zgola ontologiczny. A jeśli tak, to destalinizacja – jeśli ma być rozumiana głębiej niż tylko politycznie czy systemowo – powinna być przemianą całego porządku istnienia, wywikłaniem się spod nie-boskich wyroków historii.

3. Jarocki rozgrywa „Portret” w niezwykle ascetycznej przestrzeni – scenę z trzech stron zamykają gołe ściany o barwie złamanej bieli. Na centralnej ścianie – ślad po portrecie

Stalina, do którego Bartodziej mówi w „Prologu”. Na scenie – kilka niezbędnych sprzętów: krzesła, stolik. Dominuje wrażenie pustki zakomponowanej światłem, które od sterylnej jasności przechodzi do wyrafinowanej gry światłocieni w finale.

Tak zaprojektowana przestrzeń decyduje o pewnej, zamierzonej, sztuczności świata. W ten sposób Jarocki odrzuca wszelkie sugestie tzw. życiowego prawdopodobieństwa, ale zarazem unika tak częstej w realizacjach teatralnych Mrożka łatwej groteski, wywiedzionej jeszcze z czasów teatru absurdu. Jarockiemu chodzi, jak się zdaje, o stworzenie modelu czy paradygmatu pewnej sytuacji egzystencjalnej, co w planie artystycznym pozwala uzyskać bardzo czysty, wysmakowany efekt kompozycyjny, zaś w planie myślowym od razu narzuca zmetaforyzowany, uogólniony sens.

O sile krakowskiego przedstawienia rozstrzygają aktorzy: Jerzy Radziwiłowicz (Bartodziej) i Jerzy Trela (Anatol). Obaj grają w sposób starannie wystudiowany, budując wymyślną, „sztuczną” formę działań aktorskich. Ruch sceniczny, gesty, mimika, ekspresja słowna, modulacja głosu, ton – wszystko to opiera się na jakichś niemal muzycznych tempach, pauzach, rytmach wygrywanych na instrumencie ciała, bezwzględnie posłusznym, doskonale plastycznym, rozwibrowanym; każdy palec zdaje się grać swoją odrębną partię. Absolutną maestrę osiąga pod tym względem Radziwiłowicz, który – powiedziałbym pół żartem – gra chorobę Parkinsona. Jest to wirtuozeria, która już w pewnym momencie staje się sztuką samą dla siebie, nieledwie – manierą. Spośród wszystkich akto-

rów warszawskich zdołałby sprostać Radziwiłowiczowi chyba tylko Tadeusz Łomnicki. Ale co w Warszawie uchodzi za znamię geniuszu, w krakowskim Starym Teatrze zdaje się należeć do codziennej praktyki. Jak oni to robią?

Janusz Majcherek



Trzy słowa otuchy

Prawdopodobnie nie miałoby większego sensu mówienie o kinie religijnym jako o jakimś gatunku filmowym. Wśród rozlicznych funkcji pełnionych przez kino i pośród różnych wymiarów religii znajdziemy z pewnością wiele punktów, gdzie te dwa zjawiska dotyczące życia duchowego człowieka się przecinają. Znajdziemy wiele filmów, dla powstania których istotna była inspiracja chrześcijańska. Wiele innych, w których są prowadzone rozważania moralne o religijnej proveniencji. Znajdziemy ilustracje Ewangelii bądź opowieści o ludziach Kościoła. Znajdziemy wreszcie bardzo dużą grupę filmów opowiadających o różnych sprawach ziemskich z punktu widzenia osób wierzących. Trudno byłoby jednak znaleźć jakąś rozsądną definicję religijności w kinie i chyba nie trzeba takiej szukać.

Jeżeli jednak poruszyłem ten wątek, to nie bez przyczyny. Otóż zdają się dzieła w szczególny (i nie zawsze wytłumaczalny) sposób łączyć się z religią; są to utwory nie tyle mówiące o sprawach wiary, ile same będące jakby częścią obszaru sacrum. To filmy, które – koncentrując w sobie siłę moralnego posłania – wywołują niezwykle intensywne przeżycia duchowe, podobne np. tym, jakich doświadczamy podczas mszy świętej.

Z pewnością do takiego religijnego napięcia zbliżył się w swoich ostatnich filmach Andrzej Tarkowski, którego „Nostalgia” i przede wszystkim „Ofiara” są – jak to określił jeden z krytyków – swoistymi, kinematograficznymi modlitwami. Fenomen Tarkowskiego, reżysera bliskiego prawosławiu i z tego obszaru czerpiącego duchową inspirację, jest niezwykły i nie do powtórzenia w tej formie; jego kino wyznacza – dość daleko zakreślone – granice, dokąd może przybliżyć się film zgłębiający tajemnice wiary. Podobną intensywnością charakteryzują się niektóre dzieła Ingmara Bergmana. Z iście protestanckim uporem reżyser snuje refleksje nad marnością ziemskiej egzystencji, nad nieracjonalnym bólem istnienia. Lecz właśnie pokonanie zwątpienia, trudne i raczej nie wprost wyrażone w jego filmach, staje się brakującym aktem wiary.

Film Andrzeja Jurgi „Odwagi, ja jestem”, będący przedziwnym poetyckim zapisem pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Polski w 1987 r., również należy do tej kategorii utworów, które wywołują głęboką zadumę i oczyszczające przeżycie typu religijnego. Jednocześnie to film zupełnie odmienny zarówno od gorliwych

modlitw Tarkowskiego jak i ascetycznej, „racjonalnej” wiary Bergmana.

Papieska wizyta w kraju pochodzenia Ojca Świętego jest rozpisana na wiele sekwencji odpowiadających poszczególnym etapom podróży, choć niekoniecznie zachowano chronologię wydarzeń. Ten dziwny dokument kieruje się trochę inną logiką niż reportażowy opis, stara się uchwycić co nieuchwytnie – bardziej ducha pielgrzymki niż fakty z nią związane.

Mamy więc sceny z Gdańska i Łodzi, z grobu ks. Popieluszki i uroczystości wyświęcania nowych kapłanów. Mamy fragmenty spotkania z młodzieżą, ze studentami, z młodymi małżeństwami, z włókniami, z ludźmi ułomnymi... Mamy zarejestrowaną homilię wrocławską, w której dominują słowa o umiłowaniu do końca, oraz homilię z Częstochowy o wstrzeźliwości i ochronie życia. Całość kończy wielomilionowa msza na placu Defilad w Warszawie. W pewnym sensie film jest skrótowym zapisem geograficznych wędrówek kapłana.

Jednocześnie jest to zapis duchowej wędrówki, jaką wraz z Karolem Wojtyłą odbywamy po chrześcijańskim uniwersum znaków, wartości, symboli. Nie ma w filmie żadnego zewnętrznego komentarza; obrazom towarzyszą tylko słowa Papieża wypowiedziane wobec zbiorowości wiernych: słowa otuchy, słowa przestrogi, to znów słowa nadziei.

Jakże mocno brzmi głos, który mówi o tym, że człowiek powinien widzieć sens swojej pracy. Także jej sens ostateczny, sens, który jest na jego miarę. Z kazania wygłoszonego w Gdańsku przebija дума z ludzkiej możliwości kontynuowania dzieła

stworzenia... i zarazem obawa, by nie zagubić perspektywy, która nadaje wartość temu dziełu. *Ewangelia pracy wpisana jest w całość ewangelicznego orędzia* – te słowa zostały wypowiedziane w Łodzi, lecz mogłyby być mottem do wielu innych spotkań, do całego filmu.

Rzeczywiście motyw pracy, budowania, tworzenia jest dominantą tej poetyckiej relacji. Pojawia się często w warstwie wizualnej jako niezbędne uzupełnienie masowych scen mszy pod otwartym niebem. To przecież dla tych ludzi, w znojmym trudzie tworzących jutrzejszy dzień, Ojciec Święty przybył do Polski. To przecież oni są obecnością na spotkaniach z Ojcem Świętym i swym uporem w codziennym życiu potwierdzają tożsamość chrześcijańskiej wspólnoty. Praca nie jest ekonomiczną koniecznością, nie powinna być niewolniczym wysiłkiem. Jest porządkiem wprowadzanym w bezład rzeczywistości, ona stanowi o godności człowieka – i aby to sobie przypomnieć przyszli do kościoła na błoniach, na placu, na polu. Bowiem Kościół jest wszędzie.

Kolejnym wyznacznikiem wizualnym filmu Jurgi i głównego operatora, Jacka Petryckiego, jest jakieś odczucie harmonii. Autorzy unikają dysonansów, nagłych zderzeń, zgrzytliwych przeskoków, jakby starali się pogodzić swą relację z dostojnym porządkiem natury, jaki symbolicznie wyrażają w filmie choćby ujęcia dojrziałych kłosów zbóż. Ten rytm nabiera szczególnego znaczenia, gdy uświadomimy sobie, jak burzliwa jest polska rzeczywistość doby kryzysu, jak bardzo jest odległa od stanu harmonii. I dlatego tym bardziej pojawia

się potrzeba uniwersalnego, wprowadzającego pokój spojrzenia. Miłość i zgoda są fundamentem, na którym należy stawiać budowlę społecznego gmachu. Kto tego nie rozumie, nieustannie będzie się miotać w okowach własnego gniewu.

Charakterystyczny jest wybór perspektywy, z jakiej autorzy spojrzeli właśnie na ów gmach, na więzi go scalające. Nieobecni są w filmie przywódcy i organizatorzy życia społecznego, brakuje przedstawicieli władz; film nie jest też relacją o spotkaniu z politycznymi sprzymierzeńcami lub politycznymi adwersarzami. Życie oficjalne i dyplomatyczne rozmowy, które jednak zawsze toczą się przy okazji wizyty najwyższego przedstawiciela państwa watykańskiego i przywódcy milionów wiernych z całego świata, zniknęło z kadrów. Nie było zamiarem twórców powtarzanie konwencji telewizyjnego sprawozdania. Świadomie ograniczyli ten wątek wizyty próbując wyartykułować inny obraz relacji społecznych – zawierając w nim pewne postanie. Spojrzenie na niezliczone rzesze, które zgromadziły się na krakowskich błoniach, śląskiej górze czy warszawskim placu Defilad mówi przecież o tym, że mamy do czynienia ze zbiorowością wolnych ludzi, dobrowolnie przybyłych na spotkanie z ich duchowym przewodnikiem. Świadomych swej wartości, być może wymęczonych biedą i chaosem wynikającymi z poważnego kryzysu, przekonanych jednak o słuszności wybranej przez nich drogi. Transparenty „Solidarności” powiewające nad modlącymi się podczas mszy tłumami są przecież nie tyle wyrazem politycznych opcji, ile moralnego wyboru tego społeczeństwa.

Zrozumienia tego, co najbardziej istotne – co ich łączy i czyni silnymi. I w chwili gdy chodzi o sprawy najważniejsze, stanowiące o ich godności, określające ich tożsamość, nie potrzeba żadnych pośredników, niktogo więcej. Tylko miejsca, gdzie mogą się zebrać, i człowieka, który wypowie słowa najprostsze, przywróci nadzieję.

Niezwykle trudno jest pisać o filmie poetyckim, skonstruowanym za pomocą metafor i asocjacji, w którym ani wyrazista fabuła, ani solidny

dokumentalny wywód nie porządkują wstępnie materiału. Jeszcze trudniej jest pisać o religijnym przeczuciu, które zdaje się przenikać takie dzieło filmowe; trudno choćby ze względu na niewyraźność pewnych stanów duszy. „Odważy, ja jestem” – brzmi tytuł filmu Andrzeja Jurgi. I w trudnej, polskiej sytuacji, która napawa ogromną troską, a czasami zwątpieniem, zdanie to jest równoważne głębokiemu wyznaniu wiary. Cóż z tego, że nie tylko religijnej.

Jerzy Uszyński

Komunikaty

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu oraz redakcja dwumiesięcznika „Literatura Ludowa” ogłaszają konkurs otwarty na wspomnienia i materiały dotyczące Polaków na Syberii, Dalekim Wschodzie, Kazachstanie oraz innych terenach ZSRR w latach 1939–56. Piszącym pozostawia się pełną swobodę w wyborze formy i zakresu tworzonego świadectwa tych czasów. Jeśli we wspomnieniach własnego losu, losu najbliższych zachowały się informacje o kontaktach z ludnością tubylczą, jej kulturze, zwyczajach, o zesłańczym folklorze, jeśli zachowała się jakaś dokumentacja tekstowa, fotograficzna – organizatorzy będą wdzięczni za włączenie tych materiałów do wspomnień.

Uczestnikom konkursu zostaną przyznane następujące nagrody: I – 100 tys. zł, dwie II – po 50 tys. zł, dwie III – po 30 tys. zł. Przewiduje się druk nadesłanych prac za oddzielnym wynagrodzeniem oraz kupno innych materiałów, wybranych przez jury, których nie nagrodzono w konkursie. Jury składające się z historyków, etnografów, filologów i socjologów zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród.

Prace opatrzone godłem i zaopatrzone w zaklejone koperty zawierające imię, nazwisko i adres uczestnika konkursu należy przesyłać pod adresem: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Zarząd Główny, ul. Szewska 36, 50-139 Wrocław. Termin składania prac upływa z dniem 30 września 1989 r. Dodatkowe informacje o konkursie można uzyskać w ZG PTL we Wrocławiu, tel. 44-38-32 lub 44-46-13.

Werdykt jury zostanie ogłoszony w styczniu 1990 r.

Komitet Organizacyjny Konkursu

*

Jury Nagrody Poetyckiej im. Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego, przyznawanej co 2 lata przez redakcję miesięcznika „W drodze” i Duszpasterstwo Środowisk Twórczych przy bazylice Św. Mikołaja w Gdańsku, obradowało 28 X 1988 r. w Gdańsku w składzie: Marcin Babraj OP, Zbigniew Bieńkowski, Małgorzata Czermińska, Zbigniew Jankowski, Ryszard Krynicki, Jacek Łukasiewicz (przewodniczący) i Kazimierz Nowosielski.

Jury jednogłośnie postanowiło przyznać Nagrodę Główną Wisławie Szymborskiej za tom „Ludzie na moście” (Czytelnik, 1986). Poezja ta broni wartości bliskich każdemu chrześcijaninowi, mimo że w kwestiach metafizycznych zachowuje sceptycyzm. Osoba ludzka ma w niej godność z niczym nieporównywalną i niesprowadzalną do niczego innego. Nagrodę Młodych przyznano (przy jednym głosie wstrzymującym się) Waldemarowi Żelaznemu za tom „Pokój z zabawkami” (Czytelnik, 1986). W dyskusji podkreślono żywość wyobraźni i dramatyczność tych wierszy – niepokornych, ale wypełnionych przejmującym wołaniem o sens, próbujących odnosić sprawy ludzkie do transcendencji.

W ubiegłych latach laureatami Nagrody im. M. Sępa-Szarzyńskiego byli: Anna Kamieńska, Zbigniew Jankowski, Zbigniew Herbert, Jan Twardowski i Roman Brandstaetter (Nagroda Główna) oraz Bronisław Maj, Jan Polkowski i Krystyna Lars (Nagroda Młodych).

KSIAŻKI NADEŚLANE

Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”

ks. Alfons Skowronek, *Odkrywanie Jedności* (Biblioteka Ekumeniczna). Warszawa 1988, nakł. 5000 egz.

Instytut Tomistyczny Ojców Dominikanów

„Przegląd Tomistyczny”. Rocznik poświęcony historii teologii. Tom III. Warszawa 1987, wyd. I, nakł. 700 egz.

Instytut Wydawniczy Księży Misjonarzy Nasza Przeszłość

„Nasza Przeszłość”. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce. Kraków 1988, nakł. 70 egz.

Instytut Wydawniczy Pax

Walenty Bartoszewski, *Parthenomelica albo pienia nabożne o Pannie Najświętszej, które poważny senat miasta wileńskiego... na roracích przystojnie co rok odprawuje*. Warszawa 1988, nakł. 3350 egz.

Kuria Biskupia w Przemyślu

Aleksander Nałęcz, *Cerkwie greckokatolickie w diecezji przemyskiej po roku 1945. Zarys problematyki*. Przemyśl 1988.

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

Stefan Chaskielewicz, *Ukrywałem się w Warszawie styczeń 1943 – styczeń 1945*. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 9659+350 egz.

Józef Życiński, *Teizm i filozofia analityczna*, t. II. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 7000+350 egz.

Cierpienie ma tysiąc twarzy. Jan Paweł II i chorzy, oprac. Zdzisław Ryn. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 9659+350 egz.

Uniwersytet Jagielloński

Beznadziejność i nadzieja. W kręgu myśli Stanisława Ignacego Witkiewicza, pod red. Włodzimierza Maciąga. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 950+22 egz.

Uniwersytet Warszawski, IPSiR, INP

Postulaty. Materiały do dziejów wystąpień pracowniczych w latach 1970/71 i 1980 (Gdańsk, Szczecin), pod red. Beaty Chmiel, Elżbiety Kaczyńskiej. Warszawa 1988, nakł. 100 egz.

Verbinum. Wydawnictwo Księży Werbistów

Zofia Jasnota, *Mały misjonarz*, ilustr. Danuta Konwicka. Warszawa 1988, wyd. I, nakł. 20000 egz.

Josef Schulte, *Wielki wódz prerii. Misjonarze, którzy tworzyli historię Albert Lacombe (Kanada)*, przeł. Jan Środulski. Warszawa 1988, wyd. I, nakł. 8000 egz.

Z badań nad religią i religijnością ludową, praca zbior. pod red. Henryka Zimonia SVD. Warszawa 1988, wyd. I, nakł. 1500 egz.

Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne

Posłaniec Warmiński czyli kalendarz maryjny na rok 1989. Olsztyn 1988, nakł. 10000 egz.

Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy

ks. Wacław Świerzawski, *Panie, pokaż nam Ojca. Mistyka zakorzeniona w liturgii*. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 7650+350 egz.

Apostoł Madagaskaru. Wybór listów ojca Jana Beyzyma, wybór i oprac. ks. Czesław Drązek SJ. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 9650+350 egz.

Kalendarz Serca Jezusowego 1989. Kraków 1988, wyd. I, nakł. 20000+350 egz.

Wydział Filozoficzny Towarzystwa Jezusowego

Nauka – Religia – Dziej. IV Seminarium interdyscyplinarne w Castel Gandolfo 6–8 sierpnia 1986, pod. red. Jerzego A. Janika i Piotra Lenartowicza SJ. Kraków 1988.